ślizg

SIERPIEŃ 08/128

WWW.SLIZG.COM.PL

DESKOROLKA
TO NIE PRZESTĘPSTWO

ICE CUBE



ZŁY GANGSTER

ADIO MENTOR SESSION

BEEF!!!
TEDE VS. PŁOMIEŃ 81

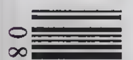
PARKOUR



MIASTO BEZ GRANIC

SIERPIEŃ 08/128
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
CENA 6,90 PLN
(w tym 7 % VAT)









ELDO/BITNIX

CZŁOWIEK KTÓRY CHCIAŁ OKRAŚĆ ALFABET

mass

+48 42 6523992

FALL 2006 WWW.MASSDNM.COM

W numerze 08/128



projekt okładki Tomek Szkiela (kapitankot.com)

W(Y)STĘPNIAK

Jak to jest, że policja ma duży dar do zniechęcania do siebie różnych grup społecznych, to jest temat na socjologiczną rozprawę. My postanowiliśmy ugryźć go z nieco innej strony. Przedstawiamy Wam bowiem materiał, w którym ukazujemy „odwieczną" walkę deskorolkowców z policją (i nie tylko). Niestety, nie dostaliśmy od panów policjantów odpowiedzi na naszą prośbę do ustosunkowania się do stawianych w artykule zarzutów (stąd jak najbardziej można zarzucać nam stronniczość), ale za to nasza ekipa miała przyjemność przejażdżki radiowozem w wyniku zatrzymania w czasie robienia zdjęć do materiału. Z tym większą i bardziej złośliwą satsfakcją zapraszamy do lektury tekstu „Deskorolka to nie przestępstwo".

Do lektury innych zresztą też.

GRB

Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa, ul. Brzozowa 35
konto: Bank Zachodni WBK S.A. 35 o/W-wa
14-1090-2851-0000-0001-0357-7914

p.o. redaktor naczelny: Krzysztof Grabowski (grabiszczy@o2.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl)
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl), Cessya (cess@slizg.com.pl), Flintstone (ef@slizg.com.pl),
Korekta: Krzysztof Grabowski
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (adam.sklad@gazeta.pl)
Okładka: Tomek Szkiela (www.kapitankot.com)
Zespół: Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Marek Oleksicki, CNE, Sebastian Rerak, Paweł Gadaczek, Mateusz Orłowski, Tymek Kubik, Keb, Hadero, Med, Dill-o
Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@slizg.com.pl)
Sekretariat i promocja: Monika Jurczak (monika@slizg.com.pl)
Druk i przygotowanie: ELANDERS

Adres redakcji:
Ślizg
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa
tel. 022 635 84 10 wew. 131
tel. 022 635 98 74 wew. 131
tel. 022 635 58 41 wew. 131
fax 022 635 62 85
e-mail: slizg@slizg.com.pl



FLINTESENCJA
NA KIKUTACH

Kluby piłkarskie mogą sobie walczyć, ścigać się na budżety, pełnić rolę zabawek oligarchów, zamykać w małych, bogatych, elitarnych kółkach drużyn grających cały czas ze sobą. Mistrzostwa Świata – to jest coś. Piłkarze grają w myśl jednej idei i dla wyższego celu, kopanie dla swojego kraju napawa ich dumą, po boisku nie biega zbieranina z całego świata tylko ludzie, których łączy coś nadrzędnego. Nie liczy się, że ktoś nie ma pieniędzy, a kto inny ma kraj dziesiątkowany przez wojny i AIDS. Wygrać może każdy i póki co nie jest to Ameryka. Czas płynie w inny, magiczny sposób, od meczu do meczu. Moja babcia dzwoni do „Ślizgu" i rozmawia ze mną o dyspozycji Holandii. Mama chodzi nerwowo po domu i pyta, kiedy mecz. Cess wychodzi z pokoju, bo łapie paranoję, że kiedy komuś kibicuje, ten ktoś zawsze przegrywa.

Idąc przez Warszawę można było przez moment uwierzyć. Flag bylo więcej niż przy okazji rocznicy Powstania Warszawskiego, Konstytucji 3 Maja i przyjazdu papieży: naszego polskiego i od niedawna naszego, ale niemieckiego. Czuć było tego ducha, wzruszenie szczypało człowieka. Może powieziemy to górskie, bananowe państewko, co to wszystko osiągnęło ponoć dzięki grze na wysokościach... Ta, dostaliśmy jak w haśle reklamowym napoju – „banana, bum, prosto w japę". Jak trzeciorzędne raperki z małych miejscowości, które bardzo chcą się wybić. I szczerze mówiąc, w ostatnim meczu kibicowałem Kostaryce, żeby nie łagodzić ciosu. Rana ma boleć, jeśli ranny ma wyciągnąć wnioski.

Jednym z nielicznych raperów, który mógł wyciągnąć mnie z domu podczas meczu Brazylia-Francja – i to jeszcze na Starą Pragę – był Sway. Już na miejscu Novika powiedziała nam, że nie jest najszczęśliwszy po odpadnięciu Anglii, chociaż jedna osoba z jego ekipy kibicowała akurat Portugalii. Kiedy zbierał wśród bardzo nielicznej publiczności tematy, na jakie później freestyle'ował, jednym z nich był „Steven Gerrard". Sway zarymował, że Gerrard nigdy nie pudłuje. Jasne... Nieważne. Jak na ironię, i tak skromną już publiczność Swaya okroil pewno fakt, iż w sali obok na telebimie można bylo oglądać, jak Brazylia daje ciała. A i tak raper gral świetnie, szalal z flow, rozdawał mixtape'y, opowiadal anegdotki, mając cały czas nieprawdopodobny kontakt z publicznością. Za mną stał Łukasz Kamiński z „Wyborczej", który kwestią imprez zajmuje się na co dzień i widuje ich zapewne tysiące. Patrzył z podobnym co my uznaniem, odkrzykiwał mc z równie szerokim uśmiechem.

Wiem, że Tyskie łącząc chlanie piwa z najpłytszą formą patriotyzmu wykazało dużą marektingową inteligencję i tylko tego dowodem były wszechobecne flagi

Sway jest wielki i mam nadzieję, że chociaż na Hip-Hop Kempie Polacy go zauważą. Przynajmniej wynik meczu poprawił mu humor, w myśl zawistnej męskiej logiki wyrównywania rachunków. Francja zemściła się za to, że Brazylia wyeliminowała Ghanę, kraj, z którego raper pochodzi. Ja dla odmiany oczekiwałem, że Canarinhos zrewanżują się za to, co perfidne żabojady zrobiły Hiszpanii. Swoją drogą, ciekawe jest to, że Brazylia jak mało co pogodziła raperów w ślizgowej sondzie. W drodze absolutnego wyjątku wszyscy zgodzili się, że Brazylia wygra. I – co najzabawniejsze – nie mieli racji.

W oczekiwaniu na półfinały, w których nie za bardzo, niestety, jest już komu kibicować, obejrzalem „Jablka Adama". Szokujący, odważny jak cholera i ekstremalnie czarny w swoim poczuciu humoru film z jednym tylko piłkarskim akcentem. Przywoływana jest tam historia hinduskiego piłkarza, który stracil stopy, ale mózg nie przyjął tego faktu. Chodzil na kikutach, a co więcej, z racji na to, że występowal w piątej lidze, gral tymi kikutami. Doskonale wiem, że piłkarze biegają na mundialu między reklamami napojów i zupek, w dodatku nie za szybko, żeby nie odnieść kontuzji. Reprezentacje mają malutko wspólnego z narodami, dzięki kabaretowemu rozdawnictwu obywatelstw, w które bawią się chlopcy na stanowiskach. W pomylkach sędziów jest mniej przypadkowości niż można by myśleć, a drużyny bogatsze są lepiej przygotowane. Z tym że przez te kilkanaście dni mój mózg tego nie przyjmuje. I nawet nie jestem w stanie napisać felietonu z hip-hopem w roli głównej...

Flint



ciuchy mass

Jesień zbliża się do nas nieubłaganie, dni będą coraz krótsze, a wieczory staną się dużo chłodniejsze. MASS dbając o Wasze zdrowie i styl, wypuszcza nową jesienną kolekcję, w której znajdą się jak zwykle świetnie zaprojektowne i bardzo dobre jakościowo bluzy! Wybór modeli i kolorów jest na tyle duży, że każdy powinien znaleźć coś dla siebiei Całość kolekcji już wkrótce będzie dostępna na SHOP.MASSDNM.COM



nokia 6233 & 6131

Nowe modele telefonów komórkowych Nokii. 6233 to aparat o klasycznym wyglądzie, przeznaczony zarówno do pracy, jak i do zabawy. Wyposażony jest w aparat o rozdzielczości 2 megapikseli, kolorowy wyświetlacz o rozdzielczości 320 x 240 pikseli, odtwarzacz muzyki cyfrowej, głośniki stereofoniczne oraz szereg innych funkcji i aplikacji. Elegancki telefon Nokia 6131 to z kolei składana, bogata w funkcje konstrukcja, obejmująca aparat fotograficzny o rozdzielczości 1,3 megapiksela i wysokiej jakości wyświetlacz o 16 milionach kolorów.



ubrania error

Letnią kolekcję ciuchów przygotowała dla was firma Error. Na fotce powyżej przedstawiamy Wam dwa przykładowe t-shirty tej firmy. I co? I fajnie, bo ciekawa stylizacja, skąpo odziana pani na grafice z przodu, letnie kolorki... Szał ciał po prostu, zatem nie czekać, tylko przyodziewać!

@listy

Witam, kupuję SLG już od jakichś trzech lat i chciałbym powiedzieć, że gdy wezmę do ręki numer z maja 2003 roku (mój pierwszy) oraz ten najnowszy i porównam je ze sobą, to prawie pod każdym względem lepszy będzie ten nowy. A teraz kilka propozycji odnośnie Ślizgu: 1. Jest szansa, żeby „Za Trzy" wróciło? 2. Można by zrobić taki dział o oldschoolowcach i prawdziwych pionierach hip-hopu. Artykuły o takich jak Kurtis Blow czy Run D.M.C. byłyby bardzo ciekawe i mogłyby zaciekawić wielu czytelników. 3. Co do płyt dodawanych do magazynu, to jestem na tak, w dawnej formie, ale mam i nowy pomysł... Był już artykuł o pimpach, raperach występujących w filmach pornograficznych, to może można by było zamieścić na płycie jakiś film pornograficzny z raperem? Proszę o odpowiedzi na nurtujące mnie pytania! Pozdrawiam,

Olik

Siemasz, od razu dzięki za zainteresowanie i troskę poświęconą „Ślizgowi". Teraz zaś odniesiemy się do Twoich propozycji:

1. „Za trzy" to już raczej historia, ale nigdy nie mów nigdy, szczególnie że „Druga strona" pewnie niedługo się skończy i być może „Za trzy" powróci jak uśmierceni bohaterowie południowoamerykańskich seriali po kilku operacjach plastycznych.
2. Swego czasu myśleliśmy o czymś takim, ale póki co niewiele z tego wyszło. Pomysł jednak nie został zawieszony, a wisi gdzieś w próżni.
3. Płyty będą, ale okazjonalnie i na pewno nie pornosy (lub jak to nazywają niektórzy „pornusy"). Jakoś ani wydawca, ani red. nacz. nie mają zamiaru iść do pierdla za deprawację młodzieży. Też pozdrawiamy.

Czelo,

Na początku mojego e-maila chciałbym pozdrowić całą redakcję „Ślizgu", gdyż uważam, że odwalacie kawał naprawdę dobrej roboty! Chciałbym powiedzieć, że bardzo podoba mi się świński deser i chciałbym was poprosić, aby w następnym (może) przedstawić prawdziwą historię jakiejś porno star np.: Briana Banks (ona też umie śpiewać! Po francusku) albo Tera Patrick (ma niezłe flow, hehe) lub Jenna Jameson? Proszę was także o więcej działu z muzyką! W ostatnim czasie najbardziej przypadł mi do gustu artykuł z porno hip-hopowcami oraz o raperach-gangsterach... Gdybyście mogli, wspomnijcie coś o jakimś lekkim reagge np. Gentleman (wiem, że był już we wcześniejszym numerze, ale teraz niedawno wydał płytę i może warto byłoby coś napisać). Na koniec chciałbym pochwalić Flinta za felietony. I mam jeszcze pytanie: czy wróci Fala do pisania felietonów? Pozdro,

Pampersiak Fun

Witamy. Tematyka pornograficzna widać was mocno pasjonuje, rozumiemy. Nie wiadomo, czy podołamy jej zaspokojeniu, ale w bieżącym numerze powinien was częściowo chociaż zadowolić pewien gadżet;) Kwestia obecności Fali, hm... Jeżeli uważnie przeczytasz jej ostatni felieton, to się dowiesz dlaczego był ostatni i tyle. A Flint z radości wynikłej z pochwały fiknął koziołka, zaklaskał pośladami i udał się w kierunku ubikacji. Pozdro.

3x600V



Nikt nie kwestionuje tego, że gdyby nie Volt, polska scena hip-hopowa mogłaby się nie rozkręcić. To na jego podkładach bazowała większa część rapowej Warszawy, na jego płytach i imprezach wychowywała się generacja słuchaczy. Z czasem Volt stał się 600V, a ciężka rdzenna muzyka ewoluowała w syntetyczny eksperyment. Ciekawa droga: od Preemo z czasów Group Home po Timbalanda.

Trzypłytowa kompilacja wydana nakładem Camey Records uwiecznia większość jej etapów. Większość, ponieważ nie ma klasycznych kawałków ze Smak Beat'u, niczego co odzwierciedlałoby działalność remiksową, czy numerów robionych na płyty artystów. O ile więc mamy solidny przegląd voltowych składanek, to nie usłyszymy klasycznego „Śródmieścia Południowego" czy w miarę nowych tracków dla Gurala, Wojtasa czy Pokahontaz. Nie przygotowano też dla słuchaczy czegokolwiek nowego. Cóż, skoro stare jest jare...

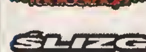
To kawał historii hip-hopu, cenny dla najmłodszych jego słuchaczy, dla których klucz przy wyborze i kozacka poligrafia nie liczy się najbardziej. Dowód na to, że można wyłazić z muzycznych szufladek i puszczać w niepamięć bzdury w rodzaju konfliktów między miastami. Czekamy więc na nowy autorski album, polecając wywiad na s. 26-27.

kreskówka Tony Hawk



Do czego zmierza ten świat, do czego zmierza skateboarding? Nie wiem, ale na pewno nigdzie go nie zaprowdzi kierunek obrany przez twórców filmu animowanego o przygodach Tony Hawka. To bardzo smutne, że niegdyś alternatywny sport zrzeszający alternatywnąmłodzież, dziś jest elementem popkulturalnej papki w rodzaju tej bajki dla dzieci. Tony'emu chyba nie wystarcza już kasy z gier sygnowanych jego nazwiskiem, teraz nadszedł czas na odcinanie kuponów z produkcji filmu animowanego. Ciekawe, co będzie następne – pampersy z Tony Hawkiem czy może promodele wózków dla dzieci? Więcej nic nie napiszę, mam nadzieję, że rozumiecie sami...










VIENIO
MARTWY ETER

Jeszcze kilka lat temu mieliśmy przyjemność raczyć się rzęsistymi setami dj-skimi w popularnych rozgłośniach radiowych. Radiowcy wypuszczali w eter okrutną ilość kawałków często niezależnych i nieznanych artystów. To było ciekawe, bo poprzez swoją selekcję uruchamiali w słuchaczu przemożną chęć do szukania i kupowania nagrań nowych gatunków. Radio spełniało wówczas swoją pierwotną funkcję kreowania i promowania nowych artystów. Obecnie polskie radia to jedna wielka play lista, w której mieli się tylko mainstreamowe nagrania topowych artystów. Nagrania, które często mają mierny poziom. Jadąc samochodem przerzucam stacje i szukam czegoś sensownego i okazuje się, że nic takiego nie ma za wyjątkiem Radia PIN i Kampus. Cała reszta to bezlitosna komercyjna gra o przetrwanie i popularność dla kilkunastu artystów przeplatana gęsto reklamami. Rozumiem, że radia puszczają to, czego ludzie chcą słuchać, ale na miłość boską, zróbcie trochę miejsca dla młodych debiutantów i gatunków innych niż pop!

Vienio

all star strip poker



Ten super gadżet dotarł do naszej redakcji i zdezorganizował jej działanie do tego stopnia, że ukazanie się tego numeru „Ślizgu" było mocno zagrożone. Mało kiedy wszak mamy okazję do rozebrania najgorętszych gwiazd porno, nieprawdaż? Wystarczy ograć panie w pokera i już zrzucają z siebie ciuszki, a pod koniec gry działają w bardziej konkretny sposób... Do wyboru mamy Suzie Diamond, Nikky Blond, Marię Bellucci i jeszcze trzy inne gwiazdeczki. Nie musimy chyba przypominać, że niniejsza informacja przeznaczona jest tylko dla pełnoletnich czytelników „Ślizgu";) Aha, redakcyjnym mistrzem gry został – co nie jest dla nas niespodzianką – nasz grafik, Szatan.

rzeź niewiniątek

Internet to doskonałe źródło wiedzy. Obecnie możemy dowiedzieć się z niego prawie wszystkiego o prawie wszystkim i wszystkich. Uporządkowanie tej wiedzy było zapewne myślą przewodnią twórców witryny wikipedia.org. Na jej polskiej wersji dużo miejsca poświęconego jest także rapowi. O ile pomysł jest dobry, to wykonanie szwankuje. Wiele hałasu w środowisku forumowym zrobiła notka o rzekomym solowym albumie Wilka z Hemp Gru. Informacja zawarta w serwisie brzmi (brzmiała, bo może ten fake już został usunięty): krążek nosi tytuł „My, Myself & I" (bliźniaczo podobny do tytułu hitu De La Soul z ich debiutu „3 Feet High & Rising" – przyp. red.), a gościnnie pojawią się na nim m.in.: Eis, Mes i Łona (!!!). Jest to zupełnie niewiarygodne, więc należy to traktować z wielkim przymrużeniem oka.

Inna ciekawostka, jaką udało nam się znaleźć w serwisie, to data śmierci Tupaca. W jego biografii jest wszystko w porządku, ale kiedy odwiedzimy stronę poświęconą Notoriousowi B.I.G., dowiemy się, że jego „przyjaciel" zmarł dwa lata wcześniej, czyli w 1994 i to nie po walce Mike'a Tysona w Las Vegas tylko w Nowym Jorku podczas nagrywania kawałków przez Biggie'go. Seria pośmiertnych krążków Tupaca zaczynałaby się już od „Me Against The World", a filmowe dzieła skończyłyby się na „Juice".

Teraz zastanówcie się dwa razy na jakie źródło się powołujecie, bo już nawet nie można ufać encyklopediom. Internetowym...

konkursy

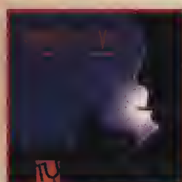
Jedna z Waszych ulubionych rubryk "Ślizgu" powraca! Jak co miesiąc dajemy Wam szanse na wygranie płyt w naszych tradycyjnych ostatnimi czasy konkursach. Płyt dużo, zwycięzców również, ale co by nie przedłużać, przejdźmy do rzeczy.



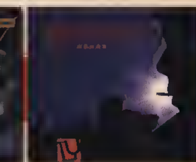
Najpierw dwie pozycje z Camey Records. Pierwszą z nich jest krążek „Na linii ognia" Skazanych Na Sukcezz, czyli duetu składającego się z Piha i Pyskatego Skurwiela. Wywiad z chłopakami można przeczytać w poprzednim „Ślizgu", a teraz macie szanse na wygranie albumu. Wystarczy odpowiedzieć na pytanie: „Z jakich miast pochodzą członkowie Skazanych Na Sukcezz?"



Drugie wydawnictwo to trójpłytowa składanka „Na bitach 600 V. Historia polskiego hip hopu". Niedaleko tego tekstu macie krótkie przedstawienie projektu, za który obok wytwórni Cameya odpowiada Terror Musik. Zestawy składające się ze wszystkich trzech płyt mogą wygrać ci z Was, którzy prześlą nam listę z tytułami co najmniej czterech składanek z bitami DJ 600 V. Tymczasem zachęcamy do przeczytania wywiadu z Voltem w ramach cyklu 'Profil pokoleń'".



Kolejną patronowaną przez nas płytą, którą możecie wygrać, jest producencki krążek Lu zatytułowany „Night Moves". Album ukazał się nakładem Blend Records we współpracy z Rockers Publishing. Nasze zadanie: „Wymień dwóch wykonawców, którym Lu zrobił niegdyś bity".



No i „last but not least" dzięki naszej współpracy z wytwórnią Wielkie Joł możecie stać się posiadaczami najnowszego albumu Tedego, czyli „Esende Mylffon". Płyta w sprzedaży od końca czerwca, duży materiał z raperem w czercowym „Ślizgu", a w bieżącym wydaniu naszego magazynu mamy dla Was raport z głośnego konfliktu w naszym hip-hopowym światku, w którym Tede jest jednym z głównych bohaterów. Pytanie, na które musicie odpowiedzieć brzmi: „Którą solową płytą Tedego jest 'Esende Mylffon'?"

Odpowiedzi przesyłajcie na kartkach pocztowych na adres „Ślizg", ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa. Nie zapomnijcie o naklejeniu na kartkę kuponu z rogu strony (oczywiście na jednej kartce pocztowej możecie udzielić odpowiedzi na wszystkie cztery pytania) i o podaniu swojego adresu. Powodzenia!

kupon konkursowy

imprezowe info



Zaczynamy od Mazury Hip Hop Festiwal. Odbędzie się on 4-5.08 w Giżycku. Na scenie zaprezentują się zarówno hardkorowcy: WWO, Juras/Wigor, Bez Cenzury, Molesta/Ewenement, jak i ci od klimatów lżejszych: Tede, Abra Dab i Bass Medium Trinity. Oprócz tego w programie imprezy przewidziane są bitwy freestyle'owe i beatboxowe.

Od początku wakacji trwa trasa pod kryptonimem „Napad na bauns". Imprezy gromadzą czołówkę polskich DJ'ów: 600 V, Kostek, Macu, Twister, Cent, Noz i Macu. Pozostały jeszcze imprezy: 03.08. Gdańsk (klub Piękni i Bogaci), 11.08 Władysławowo (La Plage), 21.08 Sopot (Copacabana), 24.08 Toruń (Hipnoza), 31.08 Toruń (Find Us...) i na koniec znowu Gdańsk 7.09 (Piękni i Bogaci). Grzech nie wpaść będąc w okolicach, szczególnie że imprezy rozgrzewają tancerki z grupy Outbreak.

17-19.08 to data najbardziej znanego chyba letniego wydarzenia muzycznego. Jarocin, bo o nim mowa, zgromadził całą masę kapel amatorskich i mniej lub bardziej uznane gwiazdy. Wśród nich należy wymienić: Hurt, Indios Bravos, Farben Lehre. Lecha Janerkę czy Włochatego.



Druga połowa sierpnia zapowiada się bardzo reggae'owo. Najpierw Ostróda i Reggae Fest 18-20.08. Podczas tych trzech dni usłyszymy: Steel Pulse, Culture i Jah Tigera z Jamajki, Yellow Umbrella z Niemiec czy Tonny'ego Juniora & Omniris Toledo z Kuby, wymieniając tych najciekawszych. Z polskiej sceny zaś zaprezentują się m.in.: Natural Dread Killaz, Vavamuffin czy przedstawiciele projektu „Polski Ogień".



W weekend po Ostródzie czas na Bielawę. Tam w dniach 25-26.08 odbędzie się Reggae Dub Festival. Największą gwiazdą będzie Gentelman. Oprócz niego chociażby jego rodacy z House of Riddim & Ganjaman, Francuzi z Dubians i Jamajczycy - Skatelites. Do tego „nasi": Jamal, Habakuk, Strachy na Lachy.



Hip Hop Kemp to już uznana marka na rynku festiwali. Od 18 do 20.08 na lotnisku w Hradec Kralove odbędzie się jego jubileuszowa, bo piąta już edycja. Wśród gwiazd znajdziemy: Guru (Gang Starr), Little Brother, Non-Phixion, Cali Agents, Medaphoara, DJ'a Krusha, DJ'a Vadima & One Self, Swaya, Klashnekoffa. To tylko ci najważniejsi. Zapraszamy do Czech. Do końca lipca bilety w cenie 105 złotych, później już 120.



9 września stadion Wisły w Krakowie będzie należał do Coke Live Music Festival i zaproszonych artystów. Nas najbardziej interesować będzie występ Jay'a-Z, trochę mniej zaś Sugababes i Shaggy'ego.



9-10.09, Warszawa, Tor Wyścigów Konnych na Służewcu, Summer Of Music. Do Pete Shop Boys, Peaches, Ian'a Brown'a, The Crystal Method i Stereo MC's, o których wspominaliśmy w poprzednim numerze dołączyli: Gilles Peterson, Bugz In The Attic, Mr. Scruff i Maximo Park. Bilety na dwa dni - 249 złotych, na jeden dzień: 139, a później 159 złotych.

TOP 10 Ranking wakacyjnych przebojów

01 "Letnia miłość" 3H – „Podczas gdy byłem już blisko, spierdoliłem wszystko / tylko dlatego, że nie umiem tańczyć disco", rymuje Tede pokazując, że wraz z kompanem nie umie rwać rudych w niebieskich sukienkach, ale przynajmniej umie robić hip-hop. Klasyk.

02 „Letniak" Płomień 81 – „Pięć razy mocne, no i może tego loda", hehe. Młodzieżowy, szczery i cholernie zajawkowy hicior dla tych, którzy będą starali się przeżyć lato w cieniu wielkiej płyty, a wieczorem pobajerować osiedlowe sztuki. „Żeby tylko picie było tańsze"...

03 „40 stopni w cieniu" 3H – Czyli od stołecznego skwaru po lenistwo nad Morzem Bałtyckim, a to wszystko na samplu z nieśmiertelnego hitu zespołu Maanam. Szumi, szeleści, ledwo słychać, ale ten klimat...

04 „Czerwona sukienka" Fisz – Czyżby polemika z „Letnią miłością"? Coś dla outsiderów, dla których lipiec i sierpień są miesiącami, podczas których nocami należy się samemu szlajać po klubach. Bez happy endu. Uważajcie na czerwone sukienki!

05 „Temperatura" Kali – „Teraz temperatura wzrasta, chłopaki opuszczają miasta / i piją na plaży wódę, tak jak lubię / a w klubie robią pigułę". Hedonistyczny przewodnik po kurortach wybrzeża. Na ostro.

06 „Plażowi Playboye" Elemer – Eis i jego „na chama odpałam szampana" brzmi raczej jak szturm na Ciechocinek, a nie plażowe rwanie, zaś refren tylko potwierdza przypuszczenia... Całość jednak bawi i ma wdzięk.

07 „Tyle słońca" T?mon – „Tylko nie mów, że za twardy jesteś, by się latem bawić"... Kawałek z czasów, gdy Tymon chodził jeszcze do szkoły, Magiera był szczupły i obaj rozkręcali hip-hopowy Wrocław. Głos i flow to horror, ale i tak piosence Anny Jantar więcej krzywdy wyrządziła jej córka.

08 „Pod palmą" Mezo/Tabb – Palma była, ale musiała rzucać kiepski cień. Jeżeli ktoś nagrywa taki numer, a potem porównuje się do Willa Smitha, autora letnich bangerów pokroju „Summertime" czy „Miami", to musi to być udar. Bo niby nie jest źle, ale w tej nucie brakuje słońca.

09 „Pocztówka z wakacji" Aro – Pocztówka doszła dopiero na jesieni. Zanim ktokolwiek zdążył ją zjechać, artysta zrobił to sam, głośno narzekając na własną wytwórnię. Wygląda to słabo, więc po co bylo wysyłać? Chyba tylko z sentymentu do lizania znaczków.

10 „Letnie przesilenie" Funky Filon – Raczej letnie rozwolnienie po McDonaldsie, lodach Koral i sztucznym Filonie. Miejmy nadzieję, że wyjedzie na wakacje i już nie wróci. I niech ogromni Chinole zajmą się jego dupą w rewanżu za „Małą Chinkę".

✱– Wyróżnienie: „Lato" Monitor FM – „Mariusz, Jacek, Sebastian i Robert w wakacje nad wodę ojca samochodem / wieśniaki takich akcji nie robią, my razem z dziewczynami i razem ze sobą". Prosto z opolskiej Westfalii.

KONKURS NA NOWE LOGO MAGAZYNU „ŚLIZG" TRWA!

Zapowiadany w ubiegłym miesiącu konkurs na projest nowej logówki „Ślizgu" trwa. Pierwsze pomysły już od Was otrzymaliśmy, czekamy na kolejne. Przypominamy jednocześnie o naszym wymogu, by projekty były wektorowe, czyli w formatach takich programów jak Corel Draw (.cdr) czy Adobe Illustrator (.ai). Jeśli któryś z nowych pomysłów spodoba się redakcji na tyle, że zdecydujemy się go używać, autora spotka nagroda-niespodzianka. Dla reszty uczestników przewidzialiśmy upominki od magazynu. Czekamy na kolejne propozycje. Przesyłajcie je na adres e-mailowy slizg@slizg.com.pl



CISZA & SPOKÓJ

NIE MA CISZY W BLOKU

To już nie „Sinus", to raczej parabola. Duże Pe i DJ Spox wzmocnieni konfliktami i koncertami, bogatsi w doświadczenie, gotowi do udowodnienia słuchaczom wielu rzeczy przechodzą do ataku. Przygotowywali się długo. Ich płytę słyszał póki co tylko „Ślizg". Chcecie wiedzieć, co dla was mają?

rozmawiał Marcin Flint
foto Cess

Płyta Ciszy & Spokoju odwraca proporcje z „Sinusa". Rzeczy poetyckie, które były głównym daniem, stały się przyprawą. Bardziej kierujecie się w stronę poruszania tłumów.

DJ Spox: Cisza & Spokój to Pe jako raper, MC w dosłownym tego słowa znaczeniu, czyli mistrz ceremonii, na którego koncert można pójść, by poczuć moc i energię płynącą ze sceny i czuć się zajebiście. A do tego moje produkcje. Dla mnie klimaty poetyckie, rozmyte, „sinusowe" są jednak dalsze. Stawiam raczej na okraszony funkiem i skreczami hip-hop złotej ery. Chcemy pokazać się w każdej stylistyce, w rzeczach lirycznych jak „Sinus", w imprezowo-funkowym hip-hopie jak „Cisza & Spokój" i... w następnych. Nie jest mi bliższa żadna strona Pe, bo znam go z każdej. Jeżeli którakolwiek wydawałaby mi się gorsza czy słabsza, to przycisnąłbym go, żeby tę kwestię poprawił. Kolejne płyty nie będą klonem tego, co już było. Mogą stanowić rozwinięcie w jeszcze innym kierunku.

To przyszłość, tymczasem już na tej płycie rozdźwięk między klimatami kawałków jest bardzo duży.

Duże Pe: Na kolejnych będzie jeszcze większy... Ale zawsze jest sposób, żeby to pogodzić. Słuchasz płyty Promoe „Long Distance Runner" i masz tam zupełnie różne numery. Od konceptualnych braggów, jak mówiący o drodze do bycia najlepszym utwór tytułowy, po storytelling o typie zdominowanym przez wielką korporację. Wszystko jednak łączy się w spójną całość, jeśli jest wspólny mianownik, np. bity czy specyficzny sposób składania słów.

DJ Spox: Pe zawsze miał słuchaczy z dwóch obozów. Koncerty dajemy przecież mocne, energetyczne, wzbogacone freestyle'em. „Obóz sinusowy" dziwił się więc przychodząc i widząc, że nie gramy np. siedząc na wysokich taboretach, przy świecach i z gitarą. Tą płytą pokazujemy, że w studio też potrafimy być tacy jak na żywo. Nie będzie już, mam nadzieję, sytuacji, w której ktoś kupi naszą płytę po koncercie i trafi na coś innego. Lub odwrotnie.

Duże Pe: Zarówno numery imprezowe czy braggi, jak i „przemyśleniówki" stają się na swój sposób mocniejsze, bardziej ostre. Dorastając, z każdym dniem widzi się coraz wyraźniej, że świat wcale nie jest kolorowy i znajduje to swoje odbicie w tekstach.

Pesymizmu jest zaskakująco dużo. W dwóch utworach na płycie jest mowa o katastrofie i jej widmie. Prorokujecie sobie też „dwa tysiące spięć".

Duże Pe: To był akurat dość proroczy wers, jeśli idzie o rok 2005, nie? Jeżeli chodzi zaś o widmo porażki – nie miałem w żadnym wypadku na myśli tego, że unosi się nad nami. Wydźwięk był raczej globalny. Ktoś kiedyś stwierdził, że „pesymista to dobrze poinformowany optymista". Mając sprawny umysł oraz otwarte oczy i uszy nie sposób mieć pozytywne wizje przyszłości. W długim okresie wszyscy będziemy martwi.

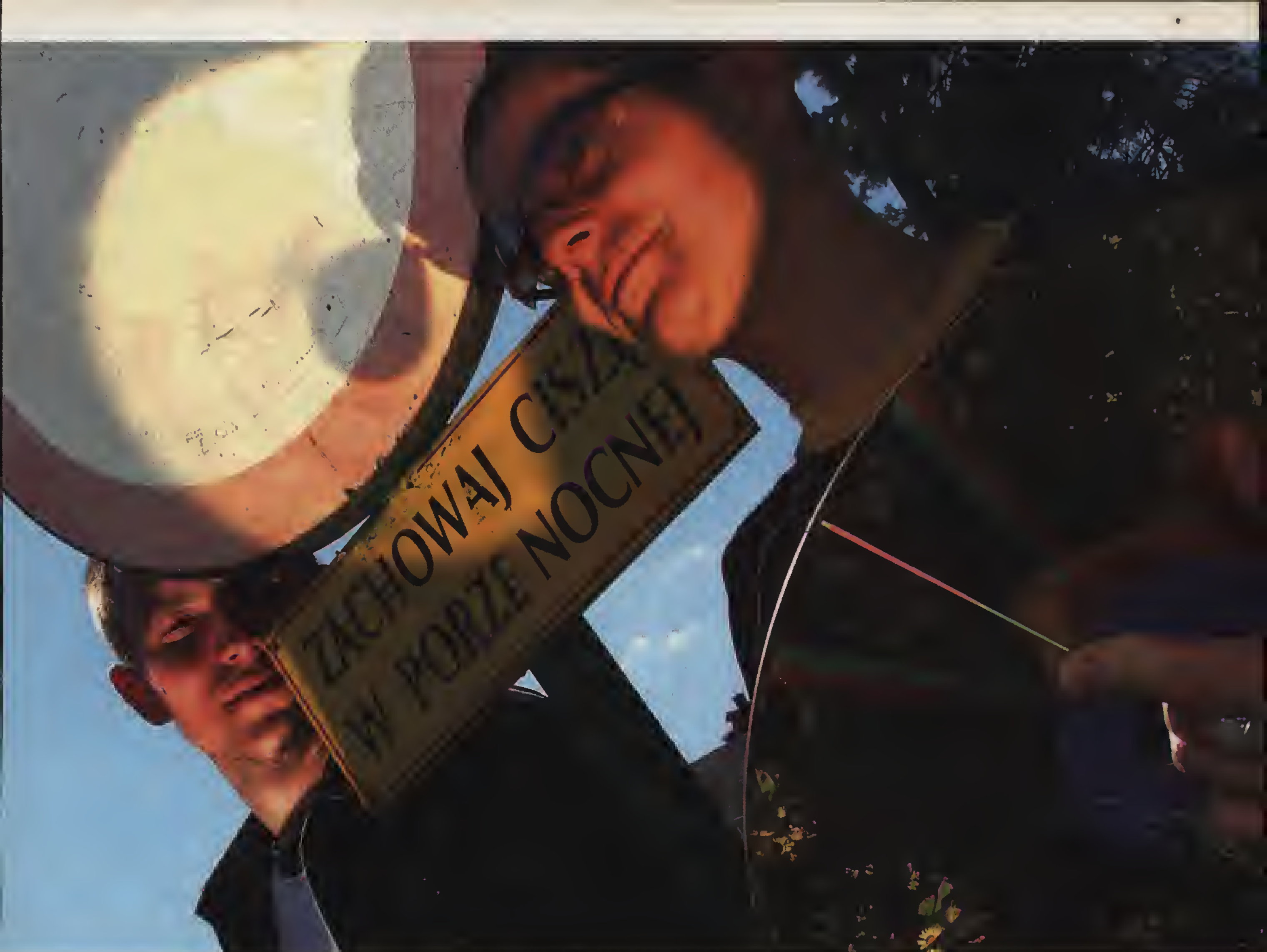
Zapamiętałem też linijkę, w której mówisz o tym, że boisz się, że „zgnijesz zanim zdążysz dojrzeć". To Was dobrze oddaje – z jednej strony masa zupełnie szczeniackiej energii, z drugiej dystans i gorycz w podejściu do gry.

Duże Pe: Po prostu wyrażam to, co czuję, tak w tym jak i w każdym innym zdaniu. Ten wers był zresztą napisany wieki temu, po prostu siedział w jednej z szufladek w mojej głowie i czekał na bit oraz resztę linijek, którym będzie go brakować. Na przykład na „Szukając Wyjścia" mamy dwuwarstwową opowieść, którą rozumieć można jako historię miłości do kobiety lub miłości do hip-hopu. Taka lekka reminiscencja „I Used To Love HER" Commona, choć skojarzenie przyszło mi do głowy dopiero teraz. Obecnie idę w stronę kawałków tematycznych, konceptualnych. Jeszcze nie do końca słychać to na płycie „Cisza & Spokój", ponieważ trafiły na nią teksty z lat 2001-2006. Są numery jak „Miejska Poezja", które pochodzą jeszcze sprzed „Sinusa". Z drugiej strony bywało, że zwrotki pisałem na bieżąco, w studiu. Czasem czułem potrzebę, by coś dodać i spontanicznie wcielałem ten plan w życie...

Czemu na Waszą płytę trzeba było tyle czekać? To przez brak czasu, poboczne projekty, których jest sporo, a może różnice charakterów między Wami?

DJ Spox: Obaj jesteśmy perfekcjonistami. Nie chcieliśmy wypuszczać czegoś, co jest przygotowane nie do końca tak, jak byśmy chcieli. Płyta dorastała razem z nami – pomysły, umiejętności, możliwości... I ja się z tego cieszę.

Duże Pe: Ja również. Dorosnąć trzeba było na naprawdę wielu płaszczyznach. Również jeśli chodzi o współgranie naszych charakterów, choć akurat tu rzadko były konkretne zgrzyty. Wcześniej nie byliśmy gotowi, by zrobić płytę tylko we dwóch, ani tym bardziej by samodzielnie ją wydać. Nie było studia w takim kształcie jak obecnie, nie było wielu możliwości i kontaktów, nie było doświadczenia, funduszy... Przed „Sinusem" uciekłem od Ciszy & Spokoju, bo zaczynała coraz jaśniej świecić mi kontrolka „teraz albo nigdy", a nie widziałem w zaistniałych okolicznościach wyraźnych szans na „teraz". Cisza & Spokój jest jednak dla mnie „macierzystym" projektem, o czym od początku doskonale wiedział IGS, tak jak dobrze wiedzą o tym członkowie Cinq G czy Masali. Pierwsze wizyty w IGS Studio w 2003 roku były dla mnie, nagrywającego dotąd w dość „partyzanckich" warunkach, szokiem.



Ale raczej takim motywującym, a nie demoralizującym?

Duże Pe: Profesjonalne studio, zajebisty sprzęt, współpraca z producentem o sporym doświadczeniu i umiejętnościach oraz otwartej głowie... Pomyśleliśmy wtedy ze Spoxem: „Dobra, nie jesteśmy w tej chwili w stanie samodzielnie osiągnąć takiego brzmienia, powalczmy więc z płytą razem z IGS'em i osiągnijmy pierwszy etap realizacji naszych celów wspólnymi siłami".

DJ Spox: Kiedy Pe spróbował współpracy z innymi producentami, ja pograłem trochę więcej imprez, zajmowałem się mocniej turntablizmem. I cały czas produkowałem, remiksowałem... To zaprocentowało, dało kontakty z ludźmi, dało pogląd na to, jak publiczność reaguje w klubach czy na koncertach.

Dało też pomysły... Wiem, że robiąc muzykę z myślą o Ciszy & Spokoju, nie samplowałeś przypadkowych płyt. Był w tym pewien klucz. Starałeś się dorwać do tej szczypty funku w polskiej muzyce rozrywkowej.

DJ Spox: Nie było tak, że wybierałem płyty z półki i mówiłem: „Ta będzie na Ciszę & Spokój". Jak każdy inny producent miałem katalog ze szkicami beatów i słuchaliśmy ich z Pe zawężając wybór. Rzeczywiście, te, które znalazły się na Ciszy i Spokoju, zawierają między innymi odrobinę funku zaczerpniętą z rodzimych nagrań. Zatem ten klucz, o którym mówisz, jest wynikiem selekcji, a nie odgórnym założeniem. A sporo z pozostałych beatów znajdzie się na innych projektach.

Jest coś ironicznego w tym, że wypuściliście z Igorem płytę w UMC paląc wiele mostów, a teraz przy Ciszy & Spokoju nie korzystacie z przetartego szlaku. Bierzecie sobie na barki ciężar wydawniczy, chociaż mieliście przecież okazję wydania Waszego krążka w tej wytwórni. Groteską jest też to, że osoba odpowiedzialna za jej repertuar jest u Was gościnnie na płycie.

Duże Pe: Umiejętności Hansa jako MC nie powinien podważać nikt o zdrowych zmysłach, kto ma parę uszu i potrafi z nich korzystać. Tyle. Co do kwestii wydawniczych – gdyby nie to, że wypuściliśmy pierwszą płytę w wytwórni, która potrafi sprzedać materiał, to nie wiadomo czy wydalibyśmy go wtedy legalnie, w jakiej formie i tak dalej. Gdyby nie to, że „Sinus" ukazał się w tej a nie innej wytwórni, nie byłoby nas mentalnie i finansowo stać, żeby dzisiaj wziąć kwestie wydawnicze na siebie. Pewien etap mamy za sobą, w pokoju rozeszliśmy się z Urbanem i Remikiem, nie powiem o nich w życiu złego słowa jako o biznesmenach. Ich gust muzyczny to ich sprawa. Kropka. Największą zaletą wydawania płyty samemu jest to, że odpowiedzialność masz w pełni w swoich rękach. Nie zostaniesz z nikim wrzucony do jednej szufladki, a jeśli coś nie wyjdzie, to pretensje będziesz mógł mieć tylko do siebie. A to cholernie mocna motywacja do działania.

Z entuzjazmem promujecie underground, czy to puszczając go w Waszej radiowej audycji w Radiu BIS, czy biorąc się za organizowanie imprez, gdzie mogą pokazać się młodzi freestyle'owcy. Jak to się dzieje, że na kolejnej płycie nie ma żadnego z podziemnych talentów?

Duże Pe: Na wszystko przyjdzie czas. Żałuję, że nie nagraliśmy jeszcze kawałka z TeTrisem, ale nic straconego. Zresztą sądzę, że obecna na płycie Lilu to podziemny talent czystej wody, więc czemu nie? Ogólnie, tam, gdzie napisany tekst „poprosił" mnie o konkretnego gościa, tam gość się pojawił i tyle. Żeby promować zdolnych twórców z podziemia, nie trzeba koniecznie zapraszać ich na płytę. Ostatnio wzięliśmy na siebie sieciowe wydanie płyty Smagalaz, która trafiła tą drogą do kilku tysięcy odbiorców, wynikiem czego kawałek „Nie Trzeba Słów" trafił na playlistę ogólnopolskiej rozgłośni. Współpracujemy też z „Dumą Polskiego Mash Up'u", czyli z El Barto i Liamem B, których twórczość powinien poznać każdy, kto twierdzi, że w muzyce nie zdarzy się już nic ciekawego. Działamy i będziemy działać dalej. Sprawdzajcie www.tosiewytnie.com, szukajcie „szokujących informacji z ostatniej chwili", które „wstrząsną rodzimą fonografią", a wkrótce zobaczycie, co też wpadło nam do głów. Zdradzanie niespodzianek nie ma sensu.

Tha Dogg Pound

Wygłodniałe psy na smyczy Snoopa

Duet, który dokonał w przeciągu ostatnich ponad dziesięciu lat bardzo wiele dla hip-hopu. Duet bardzo pechowy zarazem, ciągle będący w cieniu sławniejszych kolegów, notorycznie zmagający się z problemami wydawniczymi, a co gorsza - dość często rozbrajany od środka konfliktami wewnątrz samej grupy

tekst Andrzej Cała / „Machina"

Teraz Daz Dillinger i Kurupt dostali kolejną wielką szansę powrotu do ekstraklasy. Czy korzystając z nieocenionej pomocy Snoop Dogga i jego niesłabnącej popularności, chłopakom uda się odzyskać utraconą pozycję?

SZCZENIAKI

Dat Nigga Daz i Kurupt The Kingpin poznali się na początku lat 90. Daz (Delmar Arnaud, rocznik 1973) to rodowity Kalifornijczyk z Long Beach. Od najmłodszych lat zajmował się muzyką i „zabawą" w gangsterkę, co przy rozwijającej się w niesamowity sposób scenie Zachodniego Wybrzeża na przełomie lat 80. i 90. było najlepszym połączeniem. Kurupt (Ricardo Brown, rocznik 1972) przyszedł na świat w Filadelfii, ale jeszcze jako młody chłopak przeniósł się do Cali, konkretnie do Hawthorne, liczącej niespełna sto tysięcy mieszkańców miejscowości położonej bardzo blisko lotniska Los Angeles International Airport, czyli LAX (konkurs – w ilu kawałkach rapowych padła nazwa tego terminala?). Poznali się w Cripsach, który to gang w pewnym momencie stanowił największą „wylęgarnię" rapowych talentów. Niebieskie bandany, wspólne wypady „na miasto" oraz nagrywki w towarzystwie Snoopa, Dre i reszty zaowocowały pierwszymi wspólnymi kawałkami. Psy spuszczono ze smyczy…

PLATYNOWE UGRYZIENIE

Najpierw były gościnne udziały na płytach zaprzyjaźnionych artystów z Kalifornii. Daz jako producent nabierał szlifów u Dre, wypracowując przy tym swoje oryginalne, sycące, ciekawe brzmienie, oparte na wykorzystaniu żywych instrumentów. Stałym współpracownikiem Daza był Soopafly, bardzo utalentowany multiinstrumentalista, którego klawisze pobrzmiewają w większości podkładów Dillingera. Kurupt imponował już od początków kariery swoimi umiejętnościami językowymi. Ogromny zasób słownictwa pomagał mu tworzyć kapitalne zbitki słowne. Umiejętna gra słowami wprawiała w zaciekawienie i na dobre obaliła mit, jakoby gangsta-raperzy nie zwracali uwagi na technikę i umiejętności, skupiając się jedynie na przekazie gloryfikującym przemoc i poniżanie kobiet. Bzdura największa.

Daz jako raper imponuje trochę mniej niż Kurupt The Young Gotti, ale słabym go nazwać na pewno nie można. Przede wszystkim ma zapadający w pamięć głos. Mocną, szybką, energetyczną nawijką potrafi zmusić odbiorcę do wytężenia uwagi. Trochę gorzej wypada tekstowo, raczej nie wychodząc poza pewne schematy i obracając się w klimacie dziewczyn, gangsterki, kasy i imprez w Long Beach.

Pierwszy album duetu, „Dogg Food", ukazał się w 1995 r. Dokładnie 31 października, w momencie najgorętszego konfliktu na linii East Coast – West Coast. DPG wdarli się w sam jego środek nagrywając kawałek „New York, New York" wspólnie ze Snoop Doggy Doggiem. Był to świetny numer, na który odpowiedzieli Capone-N-Noreaga. Na szczęście w wypadku tego beefu obeszło się bez ofiar. Swoją drogą – Kurupt spotkał się z wieloma słowami krytyki za przyczynienie się do eskalacji beefu, co wiązało się z tym, że sam pochodził przecież z Filadelfii, w której zamieszkał też niedługo po wydaniu płyty Dogg Poundu.

Odpowiedź na to była prosta: „Nieważne skąd pochodzisz, ważniejsze jest to, gdzie teraz jesteś. Nigdy nie zapomnę, gdzie się urodziłem, ale od lat mieszkam w Kalifornii, tutaj mam swoich ludzi,



na tym, by udowodnić wszystkim, że jestem dobrym raperem. Ważną rzeczą jest też, że gdy produkowałem nasze albumy, nie miałem dystansu do muzyki na nich. Wydawało mi się, że zawsze jest dobra. Teraz jedynie wybieraliśmy bity i mogliśmy dobrać takie, które nam najbardziej pasowały do poszczególnych kawałków. Na pewno dzięki temu płyta brzmi bardzo dobrze". Owszem, brzmi nieźle. Ale czy uda się Dogg Poundowi odzyskać dzięki niej utraconą pozycję na scenie Zachodniego Wybrzeża? Czas pokaże, na pewno opieka artystyczna i finansowa Snoopa to ogromny potencjał. Wystarczający na tyle, by „Cali Iz Active" doszło jak na razie do 28. pozycji na liście „Billboardu". Potencjał singlowy na płycie na pewno jest, Kurupt i Daz w formie są bardzo dobrej, więc jeśli machina promocyjna ruszy w dobrym tempie to... Zresztą, nie zapeszajmy.

POZYCJE OBOWIĄZKOWE:



THA DOGG POUND
DOGG FOOD
(1995, DEATH ROW)

Nie tylko ze względu na kapitalne single i rewelacyjne featuringi Snoop Doggy Dogga i Nate Dogga. Nie tylko dlatego, że to najlepszy album na letnie podróże samochodem. Nie tylko dlatego, że g-funk (i wszelkie możliwe wariacje na temat tego, od jakiego naprawdę słowa pochodzi to „g") smakował wtedy wybornie. Przede wszystkim dlatego, że Dat Nigga Daz był wówczas w najwyższej formie, tworząc bity pełne smaczków, jadu, kapitalnie bujające i dopracowane, a Kurupt rapersko zachwycał wprost świeżością, umiejętnościami technicznymi i bardzo rzadko spotykanym u gangsta raperów zasobem słownictwa.



KURUPT
THA STREETZ IZ A MUTHA
(1999, ANTRA)

Dla mnie to najlepszy album drugiej fali g-funku, bijący na głowę wszystko, co po „Doggfatherze" zrobił Snoop Dogg, a nawet „2001" Dr. Dre. Mistrzowskie bity, niesamowita wprost ilość bangerów, kapitalny diss na DMX'a i klimat albumu sprawiają, że do dziś słucha się „Tha Streetz..." z ogromną przyjemnością, bujając do tego głową od pierwszej do ostatniej sekundy.



DAZ DILLINGER
RETALIATION, REVENGE AND GET BACK
(1998, DEATH ROW)

Legenda głosi, że ten album miał ukazać się jako trzeci po „Chronic" i „Doggystyle", jeszcze w 1993 r. Tak się nie stało, płyta przeleżała dobrych kilka lat w studio. Suge wydawał ją mając już wielkie problemy z prawem i zapomniał o promocji materiału. Dla Dat Nigga Daza oznaczało to finansową klapę, dla nas na szczęście nic strasznego, ponieważ album pomimo tego, że wychodząc przykryty był już nielichą warstwą kurzu, bronił się swoją muzyczną zawartością w stu procentach. Pozycja zdecydowanie obowiązkowa, niejako pomost pomiędzy klasycznym g-funkiem a jego nową fazą.

z tym miejscem się związałem". To fakt nie do podważenia - hymny pochwalne dla Los Angeles i okolic, a przede wszystkim klimat klasycznego, świetnie brzmiącego g-funku, który unosił się przy słuchaniu „Dogg Food" na wysokość co najmniej porównywalną z dymem wydmuchiwanym przez Kurupta i Daza przy paleniu jointów. Album przyniósł jeszcze dwa duże hiciory – „Let's Play House" i „I Don't Like To Dream About Getting Paid" – okrył się przy okazji podwójną platyną i... No właśnie. Na parę lat drogi naszych „psów" się rozeszły.

NA WOLNOŚCI

Nie byli do końca zadowoleni ze sprzedaży „Dogg Food", nie czuli już pomiędzy sobą takiego vibe'u i zrozumienia, jak na początku współpracy. „Pierwsze lata w Kalifornii mocno nas wymęczyły. Potrzebowaliśmy trochę odpocząć od siebie, rozwinąć kariery solowe. Suge (Knight, szef Death Row – przyp. red.) też miał wtedy swoje problemy, Snoop trochę się od nas odciął. Nie był to najlepszy moment. Jak w życiu każdego związku, a takim jest również grupa muzyczna i układ przyjacielski, przychodzą czasem momenty, gdy trzeba dać sobie trochę przestrzeni, czasu. Udało się nam to przetrwać, to najważniejsze". To słowa Daza.

Kurupt założył własny label Antra. Wydał kilka solówek, przeżył bardzo upojny okres z Foxy Brown, z którą był nawet zaręczony. Daz Dillinger też nie próżnował. Użyczył swoich bitów wielu artystom, nagrał kilka własnych krążków, założył wytwórnię DPG, a jakby tego było mało, poważnie udzielał się w działalności wytwórni Gangsta Advisory. Jego producencki styl w międzyczasie ewoluował, ulegając zdecydowanie wpływom brudnego południa.

Raperzy zeszli się ponownie w 2000 r., rozpoczynając pracę nad albumem „Dillinger & Young Gotti", który pomimo że wydany niezależnie, z dala od majorsów, to sprzedał się w bardzo przyzwoitym nakładzie. Co z tego jednak, skoro artystycznie był bardzo daleki od nadziei i oczekiwań fanów? Podobnie rzecz się miała z kolejnymi krążkami duetu. O ile „2002" wydany przez Death Row jeszcze jakoś trzymał się kupy i ostatecznie nią nie był, o tyle na dwa kolejne „Last Of Tha Pound" i „Dillinger & Young Gotti, Vol. 2: Tha Saga Continues" możemy spuścić zasłonę milczenia.

ZNOWU RAZEM

Nie do końca było jasne, jakie układy panują w ostatnich latach na linii DPG – Snoop Dogg. Pojawiło się wiele plotek mówiących, że raperzy są skonfliktowani. Ostatecznie rozwiązał je sam Snoop podpisując z Tha Dogg Pound kontrakt. Efektem tego nowy krążek „Cali Iz Active", jeden z najciekawszych jak dotąd materiałów w 2006 r. Jedyne co dziwi, to fakt, że za muzykę na płycie nie odpowiada w najmniejszym stopniu Daz Dillinger. Dlaczego tak się stało? „Chciałem tym razem skupić się w stu procentach na rymowaniu,

LU
Z MIASTA GRZECHU

Wrocławski muzyk unika zamieszania wokół siebie tak dobrze, jak jego muzyka unika szufladek. Jesteśmy pewni, że właśnie wydane „Night Moves" to unikalna podróż przez dźwięk. Czego możecie się spodziewać?

tekst Marcin Flint

To, że na Twojej płycie można było oczekiwać hip-hopu i odrobiny jazzu, jest dla ludzi znających „2071" oczywiste. Funk stanowił esencję późniejszego Sfondu Sqnksa. Ale to, że „Night Moves" ociera się momentami o trip-hop czy lounge, jest już niespodzianką.

Po mnie można się spodziewać wszystkiego. Jestem zaskakujący. Wyskakuję zza drzew i strzelam szyszkami (śmiech). Płyta powstawała dłużej niż przewiduje ustawa. Tak więc, nie przez pół roku, nie przez rok, a przez trzy lata kombinowałem i ślepłem przed dziesięcioletnim monitorem. Przez ten czas wpływały na mnie różne fale, większe i mniejsze. Ich moc wykorzystałem na płycie. „Night Moves" to moja wizja muzyki popularnej. Ciężko mi to zdefiniować w inny sposób. Czekam na recenzje dziennikarzy, chciałbym dowiedzieć się czegoś ciekawego o tym, co zrobiłem. Mam też nadzieję, że nie będą przepisywali broszurki, którą dostali z wytwórni (śmiech).

Słychać, że dialog ze swoimi beatami wolisz prowadzić za pomocą wycinanych z winyli iraz niż przez rymy rzucane przez raperów do mikrofonu. To też zmieniało się na przestrzeni czasu?

Na samym początku nie zamierzałem w ogóle korzystać z pomocy raperów. Chciałem nagrać płytę, którą przetrę nowe ścieżki dla siebie samego. „Night Moves" było wyzwaniem do zrobienia czegoś, co wcześniej nie było mi znane, m.in. dlatego tak długo pracowałem. Lubię używać adapterów, to jest instrument, którym operuję na różnych płaszczyznach. Jeśli chodzi o cuty wokalne, to jest to rozwiązanie dużego problemu, z którym boryka się większość producentów – teraz nie jestem uzależniony od wokalistów, wycinam cuty i składam frazy na nowo. Oczywiście technika ta ma też swoje ograniczenia. Rekord padł w utworze „Ooh Lord", z którego wyciąłem 3 fragmenty wokalne z 3 różnych utworów jednego artysty i złożyłem nową frazę. Jeśli jest ktoś, kto umie wskazać wokalistę, niech pisze na nightmoves@o2.pl.

Twoje podejście dobrze pokazuje rozwiązanie kwestii kawałka z Ostrym. U większości producentów byłby on anonsowany na okładce dużymi literami, być może na nim opierałaby się promocja. Ty chowasz go jako bonus track. Trzeba otworzyć płytę, żeby się o nim dowiedzieć.

Kiedy zainicjowałem nagranie utworu, Ostry nie pojawiał się jeszcze na każdej płycie. Ostatnio było inaczej i można go było usłyszeć i zobaczyć w wielu klipach.

A ty wyraźnie nie lubisz intensywnej promocji... Wyjeżdżasz zresztą z Polski tuż po wydaniu materiału.

Dobra muzyka potrzebuje teraz odnalezienia i nie chodzi tu o to, co robię samemu, ale o muzykę w ogóle. Dzięki kulturze masowej jesteśmy zalewani jednolitym szambem. Nie ufam promowanym produktom, więc czemu miałbym samemu chcieć się gdzieś wciskać? Większość artystów, którzy odnieśli sukces, zawdzięcza to intensywnej promocji. Jako osoba, która wędruje chodnikami miasta i lubi spokój, wolę pozostać na tyle anonimowy, na ile to możliwe. Poza tym, nie sprawia mi przyjemności rozmawianie o tej płycie publicznie. Jestem muzykiem, zajmuję się muzyką. To moja rzecz. Promocja, o którą sam mógłbym zadbać, to koncerty, których na razie nie będzie, a jeśli chodzi o zabiegi promocyjne wydawcy, to wiem, czego mogę się spodziewać i niczego więcej nie potrzebuję.

Promocja z głowy, może teraz coś o image'u. Już oglądając klip do „Zabawnej zbrodni" Sfondu Sqnksa odniosłem wrażenie, że lubisz amerykańskie czarne kryminały. Widząc ciemne okulary, kapelusz, płaszcz, mrok i ponure miasto w tle na okładce „Night Moves" i słuchając tej płyty, zyskałem pewność.

Muzykę filmową wprost uwielbiam i nie tylko tę z filmów amerykańskich. Niektóre tematy niosą ze sobą niesamowite emocje. Podoba mi się niepewność, niebezpieczeństwo, tajemnica tej muzyki, świetnie stymuluje nastrojem. Mrok i ciemne typy pokroju „Pana z nosem" to temat, który zapewne będzie kontynuowany. Jednak okładka i tytuł mojego albumu może sugerować troszkę coś innego niż to, co znajduje się na krążku.

Owszem. Nie jest tak senne i powolne, jak można by sądzić. Czasem to zupełnie żywa, dynamiczna płyta.

Lu, „Night Moves"... To tylko nazwy. Każdy musi tego posłuchać, żeby sobie coś wyobrazić. Nie chcę niczego narzucać, to tylko sugestie.

A koncepcja utworu „Miasto Grzechu"? Była przez cokolwiek narzucona?

Utwór faktycznie powstawał w okresie premiery filmu, ale nić ciągnie się od kilku lat. Wspominana „Zabawna zbrodnia" wyszła w pewnym sensie z komiksu „Sin City". Jakiś czas temu wpadłem na pomysł, żeby do muzyki, którą już miałem, nagrać rap. Wiedziałem, że Roszja chętnie w to wejdzie, więc wysłałem mu sms'a z tytułem. Zapytał tylko o tempo, dwa dni później miałem zwrotkę. Potem doszli Bianca i Jot.

Skoro mowa o Jaroszu znanym także jako Roszja. Dziękując mu na płycie, używasz zwrotu „krok do Finału". Można się spodziewać czegoś wspólnego od Was?

Jesteśmy z Roszją przyjaciółmi od wielu lat, przeżyliśmy wiele dobrego i złego. To, nad czym obecnie pracujemy, to dla nas duży krok naprzód, jesteśmy niedaleko naszego osobistego Finału. To jest moja adnotacja dla niego, taki list motywacyjny. Ja już zakończyłem swoją pracę, on kończy. Gdyby tylko nie ten wyjazd... Lu, the norwegian globtrotter, pozdrawia wszystkich! W tej chwili już gdzieś z dalekiej północy.

SOFA
MUZYKA DLA OSOFIAŁYCH

Toruńskie „pierniki" mają Ojca Dyrektora. My zamiast klęczników polecamy tamtejszą Sofę. Sprzyja relaksowi. Jest czarna, miękka, stylowa. Jaka jeszcze? O tym poniżej

tekst Marcin Flint

Wasz debiutancki album jest reklamowany hasłem „Najwygodniejsza płyta roku". Co takiego wygodnego jest w tej Sofie?

Tomek: Łatwiej odpowiedzieć na pytanie związane z drugim hasłem reklamowym „Sofa – usiądziesz z wrażenia" (śmiech).

Stub: Jest wygodna o tyle, że każdy znajdzie coś dla siebie. Różni ludzie o różnych osobowościach docenią poszczególne fragmenty.

Jak na ironię, dużo płyt mierzonych w różne grupy ludzi, nie trafiło do żadnej...

Tomek: Jeżeli Stub uważa, że płyta jest zrobiona dla jak największej ilości ludzi, to ja się nie zgadzam. Masowy słuchacz nie ma o takich gatunkach pojęcia.

Kasia: Materiał tworzyliśmy spontanicznie i dopiero na końcu okazało się, że mamy utwory utrzymane w różnych stylistykach. W jednej piosence hip-hop miesza się z soulem, drum'n'bass i tak dalej. Mam nadzieję, że ludzie docenią, że umiemy i chcemy mieszać.

Tomek: Nie ograniczamy się, bo każdy z nas ma inne inspiracje muzyczne. Słuchamy mniej więcej tego samego, ale każdy z nas na czym innym jest skoncentrowany i chce to słuchaczom przekazać.

Skoro mówimy o zróżnicowaniu gatunkowym... W filmie „Blues Brothers" jest scena, w której zespół przyjeżdża do knajpy, gdzie gra się dwa gatunki: country i western. Zna jedną piosenkę w tych klimatach i gra ją w kółko. Wy na albumie też macie taką jedną, a właściwie skit. Widzicie się w ich sytuacji?

Stub: Na jednym z naszych normalnych koncertów była improwizacja w stylu country. Wyszła tak, że ludzie oszaleli i chcieli więcej.

Tomek: Kwestią chwili jest, kiedy coś takiego się wydarzy. Zespół podłapuje i czasami wychodzą z tego śmieszne rzeczy. Dużo utworów powstało na bazie takiej improwizacji. Nie wiem, czy moglibyśmy grać country godzinę, ale przez chwilę z pewnością.

Stub: Dobrzy muzycy zagrają wszystko.

A tych z Sofy ucho laika będzie kojarzyć z SiStars...

(zespół zwiesza głowy, Kasia celuje palcami, jakby strzelała z pistoletu)

Tak, wiedziałem, że tak zareagujecie. Trafiacie do podobnego odbiorcy, ale zamiast gryźć się i szarpać – współpracujecie. Bartek Królik jest gościnnie na Waszej płycie.

Kasia: Tak, i niemal na każdym naszym koncercie w Warszawie (śmiech).

Stub: Bartek Królik chodził do tej samej szkoły co nasz basista Adam. Mieszkali nawet w tym samym akademiku.

Tomek: Takie porównania są naturalne. Rynek jest mały, niewiele mamy zespołów czerpiących z tej stylistyki. Gdyby było ich więcej, nikomu takie skojarzenia nie przychodziłyby na myśl.

Stub: Zwłaszcza że oni nie mieszają tak mocno. Wolą pielęgnować swój soul i r'n'b. Ale już w fazie produkcji wiedzieliśmy, że takie pytania będą się pojawiać.

SiStars wypłynęło wcześniej. Czy słuchając ich w rozgłośniach i telewizjach nie mieliście żalu, że ktoś Was wyprzedził?

Kasia: Powstaliśmy w podobnym czasie. Kiedy usłyszałam utwór „Spadaj", który do dzisiaj bardzo lubię, akurat startowaliśmy z pierwszymi koncertami. Byłam w szoku, że ktoś w Polsce gra taką muzę. Strasznie się zdenerwowałam..., ale tym, że tak fajnego zespołu nigdzie nie słychać. Wszystko potoczyło się dopiero po Eurowizji.

Stub: Dzięki sukcesowi SiStars mieliśmy łatwiej. Bez niego nie byłoby szans, żeby zainteresowała się nami jakakolwiek wytwórnia.

Tomek: Zwłaszcza że to oni dali początek śpiewaniu tekstów angielskich. Anglojęzyczne „Freedom" okazało się ich przepustką do kariery.

Wy nie startujecie na Eurowizji, ale jedziecie na festiwal w Sopocie. Dobrze wiemy, ile jest tam lipy i szmiry. Nie czujecie niesmaku?

Stub: Nie, my wysłaliśmy numer wręcz antyradiowy i się przebił.

Tomek: Ja muszę stanąć w obronie Top Trendów. To najlepszy z trzech letnich festiwali. Organizatorzy dopuszczają w preselekcji grupy, które gdzie indziej nie miałyby racji bytu. Poza tym, nie jest obciachem pojawienie się gdziekolwiek, obciachem jest dopiero dostosowanie się do obowiązującego poziomu, żeby wypłynąć.

Szefowa na płycie mogłaby wiele ułatwić...

Kasia: Kiedy dowiedzieliśmy się, że jesteśmy w Kayaksie, marzyliśmy o tym. Ja szczególnie. Kayah była i jest dla mnie idolką. Po pierwszym etapie ekscytacji zaczęliśmy nad tym intensywnie myśleć i doszliśmy do wniosku, że mogłoby nam to niestety zaszkodzić. Wiesz... „Powtórzyli sukces Kiljańskiego, bo wzięli ją gościnnie". Bardzo chcielibyśmy, by Kayah zaśpiewała na drugiej płycie – byłoby super.

Nie obawiałabyś się starcia wokalnego z osobą o takim głosie?

Kasia: Miałam już tę przyjemność. Śpiewałyśmy „Superstition" Steviego Wondera. Wiadomo, że miałam pewne obawy, ale po próbie zniknęły. Kayah jest świetna osobą. Wydaje mi się, że fajnie razem zabrzmiałyśmy.

Stub: Pasowało to do siebie, panie mają podobną barwę głosu.

Ty, Stub, musiałeś przypasowywać się do różnych miejsc. Spędziłeś sporą część życia w RPA. Białym nie jest tam chyba teraz najłatwiej?

Stub: Opuszczając RPA miałem 15 lat i zupełnie nie myślałem w tych kategoriach. Od znajomych z RPA słyszę, że białym nie jest łatwo, jednak czarni nie są takimi rasistami jak biali w czasach apartheidu.

Twoja przygoda z hip-hopem zaczęła się jeszcze w RPA?

Stub: Krótko przed wyjazdem. Nie chciałem sprawdzić czegoś więcej ponad szlagiery, dopóki nie trafiłem do szkoły, gdzie miałem czarnego kolegę – on wciąż pisał rymy, zamiast notować, przez co trzeci raz powtarzał klasę. Pożyczał mi klasyki, a decydującym momentem było prawdziwe freestyle session obok naszego sklepiku szkolnego. Gapiłem się jak głupi. Zaczepiłem wtedy tego kumpla, że chciałbym spróbować i tak to się zaczęło.





MUFLON

ZNAM SWOJE MIEJSCE

WBW 2006

Nie dajcie się zwieść tym, że Muflon wygląda na miłego chłopca, który w wolnym czasie jeździ autobusami tylko po to, by ustępować miejsca staruszkom. Tegoroczny zwycięzca WBW nie tylko umie dopieprzyć wersem, ale ma też sporo do powiedzenia w wywiadzie

tekst Marcin Flint
foto Cess

Jak widzi Ci się finał WBW na chłodno? Czy impreza rzeczywiście marginalizuje się przez niedobór sław, flow i klimatu, czy może to tylko zgredy nie mogą się pogodzić, że pewne rzeczy już nie wrócą?

Ogólnie mogę się zgodzić z wieloma zarzutami kierowanymi w stosunku do tegorocznego WBW. Sam też uważam, ze zabrakło różnorodności, ludzi o wyrazistej scenicznej osobowości. Brak postaci takich jak Pe czy Tetris to duży cios i osłabienie nie tylko poziomu, ale też charakteru, splendoru imprezy. Z drugiej strony, krytyka jest w wielu przypadkach niesprawiedliwa i przesadzona. Fakty są takie, że połowa zeszłorocznych finalistów startowała również i w tym roku, a jednak tylko jeden z nich znalazł się w finale. Może jest w tym wina błędnych decyzji jury, ale czy tylko?

Zatem Twoim zdaniem umiejętności wzrosły?

Klimat z 2006 rzeczywiście nie umywa się do tego z zeszłych lat. Jeśli chodzi zaś o „skillsy", to rok 2005 był dwa razy lepszy niż 2004, zaś w 2006 postępu nie było, co nie jest jednak równoznaczne z regresem. Teraz znacznie więcej oczekuje się od mc, co akurat samo w sobie jest słuszne, tylko należy pamiętać o tym, czym jarało się dwa lata temu. Ja znam swoje miejsce w szeregu, wiem, że muszę pracować nad flow czy emisją głosu, ale jeżeli czytam, że „tegoroczne WBW to sprofilowany kinderfest z wersami o dupach, fiutach i ciuchach", to jednak czuję się oceniony niesłusznie.

Skoro mówimy o ocenianiu – przyznam, że tylko raz jako juror miałem wątpliwość, kto dla mnie pojechał lepiej: przy Waszej pierwszej walce z Gresem. Poza tym, zdarzało mi się wybierać jedynie mniejsze zło. A dla Ciebie, które walki byłyby najtrudniejsze do rozstrzygnięcia?

Kiedy biorę udział w bitwie, jestem bardzo skoncentrowany i mało uważnie słucham innych bitew, więc trudno mi się wypowiedzieć w tym temacie. Nie przypominam sobie teraz walki, z której ostatecznym werdyktem bym się nie zgodził. O swoich nie mówię, bo ich w ogóle nie oceniam.

Walczysz często, masz okazję trenować z całą ekipą. Czym jest właściwie to słynne Patac Crew, które zdominowało zawody? Na jakich zasadach funkcjonuje?

To jak z Szybkim Szmalem: „Mają zeza ilu jest w PC, oj tam, pompa, żaden w składzie nie wie do końca". W zależności od tego, kogo od nas spytasz, dostaniesz inną odpowiedź. Dla mnie jest to raczej idea niż organizacja. Wszystko zaczęło się od fristajlowych spotkań pod Pałacem Kultury, z czasem grono osób, które się tam pojawiało, mocno się wykrystalizowało. Wspólne melanże, jakieś śmieszne tracki, różne takie akcje, przez które większość tych ludzi to dla mnie raczej koledzy i koleżanki, nie zaś raperzy czy sparingpartnerzy.

No więc wygrałeś. Wyjazd do Madrytu szczególnie Cię nie podnieca, bo w samym tylko ostatnim czasie byłeś w Berlinie i Barcelonie. Mówi się, że nagroda powinna być hip-hopowa – kontrakt, godziny studyjne. Z tym że Ty i tak nie nagrywasz tracków, jesteś typowym freestyle'owcem. Ani Cię to ziębi, ani grzeje.

Rozsądnie byłoby, aby nagrody albo były związane z rapem i pomagały rozwijać się danemu twórcy w tym, co robi, albo po prostu, żeby za zwycięstwo był hajs, który jest mobilizujący dla każdego.

Jak Ci się wydaje, gdyby nagrodą było 20 tysięcy w gotówce, to czy na następnym WBW nie pojawiłby się nam przypadkiem Tetris, Pe, a nawet O.S.T.R., Jajonasz i Tedunio?

Z pewnością więcej osób próbowałoby wtedy swoich sił, ale Tede i Ostry raczej by się w to już nie bawili, więc bez przesady.

Teraz krótkie piłki. Wśród losowanych tematów niektóre wyraźnie sprzyjały promocji repertuaru Wielkiego Joł. Przypadek czy zamysł?

Nie lubię teorii spiskowych. Przypadek. Taką mam przynajmniej nadzieję.

Bitwy, w których mc robią wszystko, by się tylko nie urazić. Norma czy absurd?

Absurdem byłoby stwierdzać, że nie obrażę kolegi na wolno. To, co mówię na scenie, i tak z założenia prawie nigdy nie jest na serio.

Pojedynki mc posługujących się różnymi językami, tak jak na Hip Hop Kempie. Dobry pomysł czy idiotyzm?

Hmm... Nigdy nie widziałem czegoś takiego, więc nie mam pojęcia, jak to wychodzi.

Kiedy ten SLG się ukaże, mundial też będzie przeszłością, ale podczas finału porównania piłkarskie były na czasie. Wiem, że mocno kibicujesz, a życie przenosi się w wolny styl. Masz jakiegoś piłkarza, do którego porównujesz się w wersach częściej? Np. Messi?

Często porównuję się do piłkarzy Barcelony, bo to od wielu lat mój ulubiony klub poza klubem z mojego miasta. Szkoda tylko, że do „Ronaldinho" nie ma zbyt dużo rymów (śmiech).



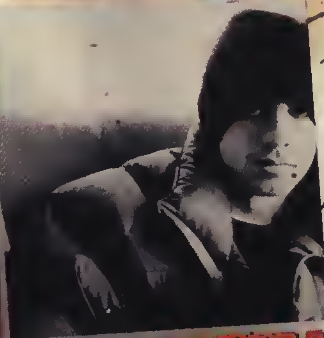
LEGENDY FREESTYLE'U


SUPERNATURAL



JIN


EMINEM


EYEDEA

Freestyle to stan ducha. Gotowość ciała i umysłu do walki od zawsze wpisanej w kulturę hip-hopową, do pojedynku na wolne słowa mającego jasno i wyraźnie pokazać, kto tu rządzi... No właśmie, kto wiedzie prym w tej dziedzinie w Stanach Zjednoczonych?

tekst Cess

Jest jeden problem, bo kiedy rzucić dzieciakom hasło „amerykańscy freestyle'owcy", najczęstszy odzew to... Eminem. Owszem, ma on spore zasługi, olbrzymi talent, kreatywność i nawet kiedy improwizuje, składa ze słów koronkowe konstrukcje, gdzie wszystko do siebie pasuje. Zagrał w „8 Mili", pierwszym filmie fabularnym, opowiadającym o werbalnej walce, która może dać niektórym więcej niż „ciepło" rodzinnego domu.

Jednak to jeden z weteranów freestyle'u, MC Juice, pomógł Emowi wspiąć się na szczyt kariery. Oczywiście najpierw pokonał go na wolno, a potem – być może z obawy przed olbrzymim potencjałem młodego rapera – zapisał go do swojej drużyny na Rapową Olimpiadę w 1997 roku z adnotacją, że ten koleś zmieni historię hip-hopu. Cóż, Juice niewiele się pomylił, choć sam pozostaje w cieniu. Przejście od improwizacji do nagrań studyjnych nie spełniło oczekiwań tak fanów, jak i samego artysty. Juice unika komercyjnych pojedynków w stacjach telewizyjnych (jedyna rzecz, którą robi „komercyjnie", to pisanie reklam np. dla Absoluta czy McDonald's) stawiając na konfrontacje na koncertach albo po nich, kiedy to za sceną czeka grono młodych kotów żądnych pokonania legendy. Nie pozostaje niepokonany, ale nadal potrafi zaskoczyć punchline'ami w stylu: „Nie jesteś w stanie zwyciężyć bestii, którą się stałem / bo to jakby Stevie Wonder próbował jeździć na rowerze".

MC Supernatural, żywa legenda wolnego stylu, boryka się z podobnymi problemami co Juice. Nie dość, że wciąż musi trzymać formę, to jeszcze ciąży nad nim przekleństwo słów zapisanych. Ze wszystkiego co nagrał, najwyżej oceniany jest album „Lost Freestyle Files" zawierający niemal same „pamiątki" pojedynków – czy to tego najsłynniejszego z Juice'em, czy z Craigiem G. Sam Supernatural stara się realizować także na inne sposoby, np. jak wielu innych freestyle'owców anonimowo pisze teksty znanym raperom.

Jeden z młodszych stażem wolnostylowców, Rhymefest, dzięki temu zajęciu stanął w świetle reflektorów. Do niedawna był znanym tylko w Chicago przyjacielem Kanye Westa, a potem stworzyli razem utwór „Jesus Walks". Rhyme napisał dwie zwrotki i znalazł sample, a Kanye zrobił z tego hit, po czym obaj panowie odebrali nagrodę Grammy. Od tego czasu o Rhymefeście jest coraz głośniej, m.in. dzięki własnemu singlowi (ale z Westem gościnnie) i freestyle'owym pojedynkom drużynowym w prowadzonym przez Nicka Cannona show „Wild'n'out".

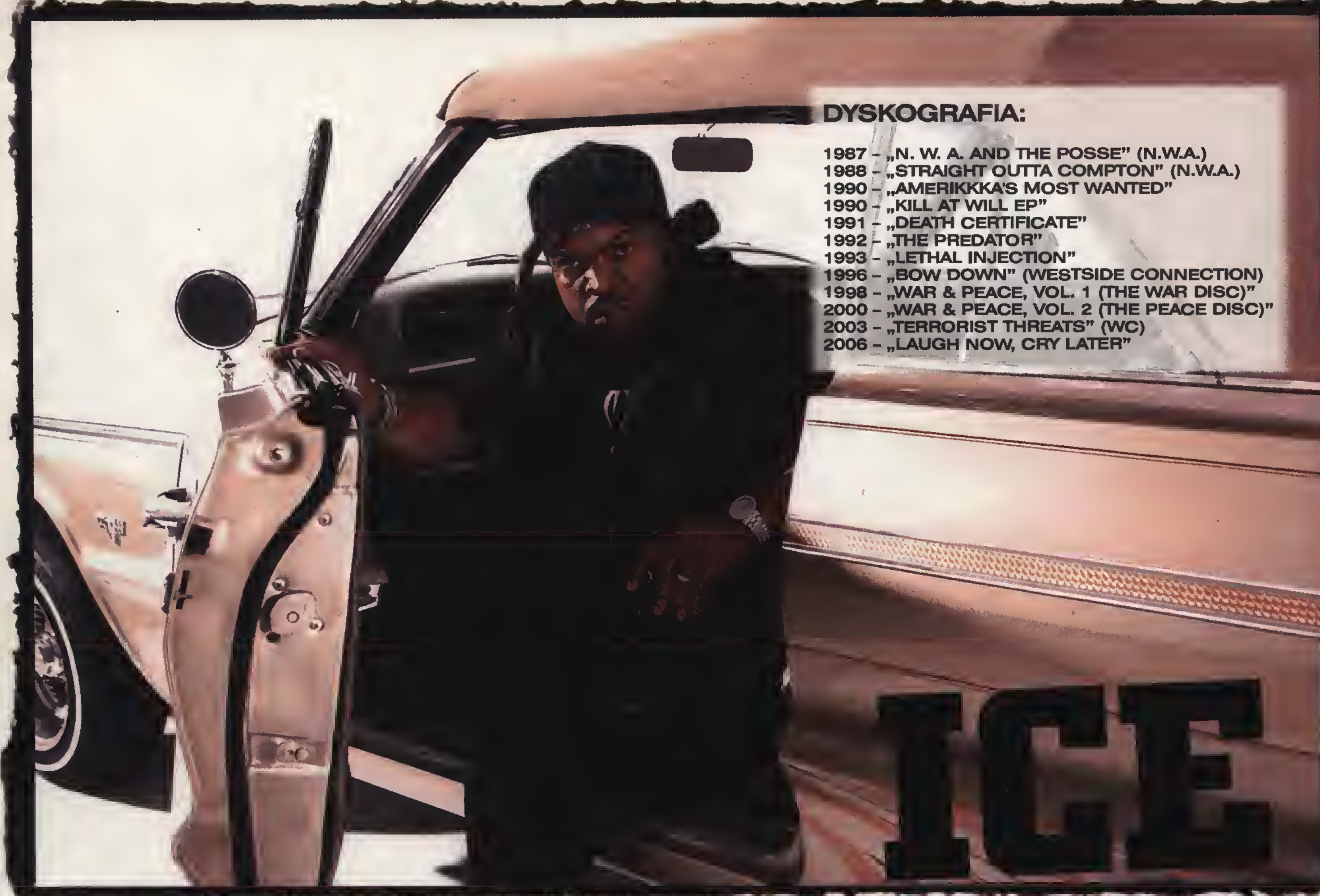
To jednak nie jedyny wolnostylowiec, któremu pomogła telewizja. Choć Postaboy twierdzi, że nie jest bitewnym MC, to zabłysnął w legendarnym piątkowym programie freestyle'owym na antenie BET, „106 and Park", kiedy po raz pierwszy w jego historii wygrywał bitwy przez siedem tygodni z rzędu. Żeby dyskretnie się go pozbyć, trzeba było ustanowić Hall of Fame, czyli Galerię Sław, do której oczywiście natychmiast go zaliczono. Poza niesamowitym flow i niezwykłą łatwością wymyślania na poczekaniu błyskotliwych rymów, Postaboy dostawał od losu kopniaki. Kiedy jego dziewczyna była w szóstym miesiącu ciąży, lekarz powiedział raperowi, że ma tylko 6 miesięcy życia, diagnozując raka jąder. Wszystkie wytwórnie, które chciały tego MC mieć u siebie, nagle zapomniały o sprawie. Jednak udało się: wyszedł z tego najważniejszego pojedynku tracąc jedynie kilka narządów wewnętrznych. Dziś pojedynkuje się jedynie na specjalne okazje.

Taką okazją był pięćsetny odcinek „106 and Park", w którym Postaboy wyszedł na scenę razem z Jinem – drugim raperem wpisanym do tamtejszej Galerii Sław. Na oryginalność Jina składa się chińskie pochodzenie, ale i umiejętności. Potrafi je wykorzystać do zarabiania na siebie i swoja rodzinę. Nie tak dawno temu zgarnął 50 tysięcy dolarów w legendarnej cyklicznej imprezie Fight Klub. Niestety, po roku stracił mistrzowską koronę na rzecz nikomu bliżej nieznanego Serious Jonesa, choć widzowie zgodnie twierdzili, że ten wyszydzał korzenie Jina przygotowanymi wcześniej punchami.

Podobnie kontrowersyjny werdykt padł w Fight Klubie, gdy Lady Luck walczyła z Remy Martin. Chociaż ta pierwsza rapowała ewidentnego gotowca, sędziowie uznali, że pokonała przedstawicielkę Terror Squadu. To drażliwa kwestia, bo spory odsetek amerykańskich raperów używa terminu „freestyle" do nazwania tekstu skleconego naprędce tuż przed wejściem do kabiny nagraniowej.

Wracając jednak do bitewnych MC's, jest ktoś inny pod każdym względem. Eyedea, młody gniewny białas, który najpierw był wiernym uczniem Sluga, a potem przerósł – przynajmniej na wolno – swojego mistrza. W tekstach często odwołuje się do filozofii i psychologii, a kiedy zaczyna improwizować, wyrzuca słowa jak karabin, nie czując bojaźni przed żadną ikoną. Staje się intelektualnym skurwysynem, przypomina zawodnika szacho-boksu z komiksu Bilala.

Eyedea, podobnie jak większość szanujących siebie i hip-hop freestyle'owców, nigdy nie przeniósł walki poza granice sceny (realnej czy umownej). Supernatural w filmie „Beef" freestyle'uje, że pojedynek zawsze powinien przebiegać na płaszczyźnie duchowej, a nie fizycznej. Nawet VIP-y pokroju Busty Rhymesa atakowane pod klubem przez młodego rapera uśmiechają się po ostatnim dobrym punchlinie, poklepują go po plecach, a potem po prostu jadą na wolno. I tak to powinno wyglądać, jasne?



ICE CUBE

RZECZY, KTÓRE ZŁOSZCZĄ GANGSTERA

Wystarczy spojrzeć na minę Ice Cube'a na 99 procentach jego zdjęć, by wiedzieć, że to bardzo zezłoszczony człowiek. Raper zawsze z łatwością odnajdywał kolejne rzeczy, na które mógł się podenerwować. I choć dziś nie jest już tak radykalny jak, powiedzmy, 15 lat temu, to i tak warto przyjrzeć się, co go tak bardzo wyprowadzało z równowagi

tekst Krzysztof Grabowski (Grabiszczy)

POLICJA

To raczej oczywiste, wszak żaden raper nie lubi policjantów, a już na pewno nie przyzna się do tego (chyba że jest to DKA). Zaczęło się od słynnego „Fuck The Police" nagranego jeszcze za czasów N.W.A., czyli składu, w którym Ice Cube (razem z Dr. Dre, MC Renem, DJ'em Yellą i Easy-E) zaczął swoją wielką karierę: „Policja myśli, że ma prawo zabijać mniejszości". Na swoim pierwszym solowym albumie „AmeriKKKa's Most Wanted" Cube rapował: „Kiedy okradałem swoich, policja nie zwracała uwagi, ale kiedy zacząłem okradać białych, jestem w więzieniu". Widać jak na dłoni, jakie główne zastrzeżenie do amerykańskich policjantów miał raper – ich rasowe uprzedzenia.

Bardzo dużo miejsca Ice Cube poświęcił wydarzeniom z 29 kwietnia 1992 roku, kiedy to na ulicach Los Angeles wybuchły zamieszki na tle rasowym poprzedzone uniewinniającym wyrokiem dla czwórki policjantów oskarżonych o brutalne pobicie czarnoskórego motocyklisty (nagrane zresztą przypadkowo na kamerę – stąd cała afera). Długo by o tym wydarzeniu pisać. Kto chce, ten odszuka szczegóły. Warto na pewno sprawdzić album Cube'a „The Predator" ze szczególnym zwróceniem uwagi na singlowy „Wicked". „Możemy być świadkami sequela" – przepowiadał raper, nie mając na szczęście racji.

WUJ SAM

Policja to jednak tylko część systemu, który Ice Cube'owi był niekoniecznie na rękę. „Siedzę na lekcji historii, ucząc się o frajerze, który ma mnie w dupie. Próbowali nas kształtować, ale wiem, że Wujek Sam to pieprzony gwałciciel", mówił raper w numerze „The Product" z Ep-ki „Kill At Will". Symbolowi Stanów Zjednoczonych Cube poświęcił zresztą cały numer „I Wanna Kill Sam" (z płyty „Death Certificate"), w którym oświadcza dobitnie, że Sam wcale „nie jest jego wujkiem".

Na początku swojej kariery solowej raper był obok Chucka D z Public Enemy najbardziej doniosłym głosem spośród radykalnych przedstawicieli czarnej społeczności w muzyce. Ostro wypowiadał się przeciwko dyskryminacji mniejszości. Swoimi poglądami wywołał jednak mnóstwo kontrowersji, gdyż nie owijał w bawełnę, głosząc poglądy stricte rasistowskie...

KOLOR SKÓRY

... o których również warto napisać nieco więcej. O białych Ice Cube często mówił „diabeł" („Nienawidzę diabła pasjami i kiedy widzę białka jego oczu, zaczynam strzelać"; kawałek „Horny Little Devil") albo „jaskiniowiec". Nawet teraz, na płycie „Laugh Now, Cry Later", wyraża się o białej większości jako o „nich", którzy „dają nam broń i narkotyki, a potem

dziwią się, że jesteśmy bandytami." Wzywa także osadzonych w więzieniach czarnoskórych i Latynosów do zaprzestania wzajemnej przemocy – „Nie rozumiecie, że to my przeciwko nim!?"

Biali białymi, ale swego czasu najwięcej od Ice Cube'a dostało się „żółtkom". Raper miał im za złe (głównie na płycie „Death Certificate", gdzie poświęcił im cały kawałek „Black Korea") otwieranie sklepów w czarnych dzielnicach, zawyżanie cen i traktowanie murzyńskiej klienteli z wyższością. Trudno się dziwić nagonce na Cube'a, jeśli posuwał się on do słów: „Idź do sklepu i złej żółtka, wyczyść całe to gówno z mojego miasta." Potem raper się opamiętał, gdyż więcej nie odzywał się już na ten temat.

Warto jeszcze wspomnieć o krytyce, jakiej Ice Cube poddał... „ciasteczka Oreo". Nie, nie pomyliłem się. Takim pogardliwym mianem określa się bowiem czarnoskórych, którzy „zdradzają" swoją społeczność poprzez zachowywanie się jak biali (Oreo to czarne ciastka z białym nadzieniem – i chyba wszystko jasne: czarny na zewnątrz, biały w środku).

DZIWKI

Czyli „kobiety" w rapowej wersji Ice Cube'a (a potem także wielu, wielu innych). Za to również mu się oberwało. Obok miana rasisty przylgnęła do niego łatka mizoginisty (takie trudne słowo oznaczające, z grubsza rzecz ujmując, mężczyznę nienawidzącego kobiet). Jeśli jednak rzuca się tekstami w stylu: „Kobiety są do niczego, no, może do jednej rzeczy: żeby zaspokoić potrzeby mojego fiuta" – trudno liczyć na wyrozumiałość ze strony wszelkiej maści moralistów.

Podobnie jak z rasizmem, ze swego negatywnego stosunku do przedstawicielek płci pięknej raper już wyrósł, ale wciąż można znaleźć jego echa. Na świeżym albumie Cube'a obrywa się bowiem choćby „chudym dziwkom, co potrzebują specjalisty od żywienia, który sprawi, że ich tyłki będą duże i apetyczne" (numer „You Gotta Lotta That"). Ale czepiam się – od tego wszak Ice Cube jest gangsta-raperem, żeby nie używać słowa „kobieta".

RAPERZY

Rzecz jasna, nie wszyscy. Najpierw Ice Cube poprztykał się z byłymi kolegami z N.W.A. Rozstał się z zespołem oskarżając Easy'ego-E oraz jego menedżera, Jerry'ego Hallera, o oszukiwanie w podziale zysków. Na zaczepki członków N.W.A. Cube odpowiedział w numerze „No Vaseline" z „Death Certificate". „Ty mała larwo, Easy-E stałeś się pedałem. Razem z twoim menedżerem, koleś, pieprzysz MC Renа, Dr. Dre i Yellę. Gdyby byli oni tak sprytni jak ja, Easy-E wisiałby na drzewie." Burzliwe lata młodzieńcze przeszły już jednak w niepamięć. Choć wówczas nikt nie mógł przypuszczać, że Ice Cube kiedyś wszem i wobec będzie dziękował Easy'emu-E za wszystko i obiecywał jego synowi pomoc we wszystkim, o co ten poprosi (kawałek „Growin' Up" z najnowszego krążka).

Nie można pominąć również dwóch innych słynnych beefów, w jakie zaangażowany był swego czasu Ice Cube. Chodzi oczywiście o konflikty między nim a chicagowskim raperem Commonem oraz grupą Cypress Hill. Jakby nie patrzeć – to kawał historii amerykańskiego rapu.

Na swojej ostatniej płycie O'Shea Jackson (prawdziwe imię i nazwisko) znowu jedzie ostro. Wyżywa się szczególnie na nowej fali pseudo-gangsta-raperów i to w niejednym numerze. „Jestem ojcem tego gangsterskiego gówna, ale nigdy nie myślałem, że będę miał mnóstwo bękartów". Jeśli zaś chodzi o personalne przytyki, to obrywa się Flava Flavowi z Public Enemy, który ostatnio zasłynął z reality show dokumentującego jego związek z modelką Brigitte Nielsen. „Flava Flav z białą dziwką – to żałosne. Muszę wsadzić czarnucha do mojego Cadillaca, zabrać go na dzielnicę, gdzie jest gorąco i dać do zrozumienia, że wciąż ma tarczę na plecach."

CAŁA RESZTA

A nazbierało się tego w ciągu kariery całkiem sporo. Komu należy się honorowa wzmianka? Na pewno tzw. „męskim groupies", po których Cube przejechał się w numerze „Get Off My Dick And Tell Yo Bitch To Come Here" (tytuł mówi wszystko: „Złaź z mojego fiuta i każ przyjść tutaj swojej dziwce"), na pewno też nowojorskim krytykom muzycznym (rzekomo niedoceniającym gangsta rapu z Zachodniego Wybrzeża; mówi o tym numer „All The Critics In New York" z pierwszej płyty Westside Connection, składu, który Ice Cube utworzył razem z WC i Mack 10'em). Ze „świeższych" rzeczy zdecydowanie nie wolno pominąć również osoby obecnego prezydenta USA. „George Dubya (przydomek George'a W. Busha – przyp. red.) to ten, który siedzi z tyłu i was pieprzy."

Wyliczankę tę można by ciągnąć jeszcze długo. Na koniec jednak – żeby obraz Ice Cube'a nie był taki jednoznacznie negatywny – pokażmy, że potrafi on coś docenić i poczuć sympatię. Wszak nagrał on na początku lat 90. numer o najlepszym przyjacielu człowieka. A przecież wszyscy wiemy, że jest nim... Kto? Oddajmy głos Ice Cube'owi: „Usiądź wygodnie i ogarniaj, bo opowiem ci o najlepszym przyjacielu człowieka. Zatem pamiętaj: kiedyś był to pies, jak Lassie, ale w 91' to broń, jeśli spytasz." Miły to typ, oj miły.



I.U.C.

L. U. C. to założyciel i mózg Kanału Audytywnego. 16 czerwca ukazał się jego debiutancki solowy album „Haelucenogenoklektyzm". L. U. C. to człowiek równie interesujący jak tytuły jego nagrań. Dorwaliśmy go podczas Open'era i zadaliśmy kilka irytujących pytań

tekst Tymoteusz Kubik

Twoja płyta jest mało komunikatywna, ciężka, poruszasz na niej mocno wykręcone psycho-sprawy. Niektórzy zarzucają, że Twoja twórczość to scheda po psychorapie, a nawet że to popłuczyny po nim.

Cóż, po prostu niektórzy hip-hopowcy nie skumali pastiszowego wymiaru numeru „Porwano ludzi z miasta Stumostów" i zaczęli snuć komentarze, nie mając pojęcia, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi. A to celowy zabieg – wypuszczenie zdebilowaciałego, parapsychoutworu, który okazuje się tylko smaczkiem i puzzlem w całej układance, jaką jest „Haelucenogenoklektyzm". To bardzo trudne czasem, ale lubię iść pod prąd. Mógłbym nagrywać rap o rapie, ale chyba lepiej szukać nowych wartości i ścieżek. Kończąc ten temat powiem, że nie uważam się za wielkiego piewcę czy poetę. „Hael" dodał mi dużo wiary w siebie, bo wierzę, że jest to wyjątkowa polinylonowa rakietka z ocytaminy, która wystrzeliwuje cię daleko w kosmos. Daleko od rzeczywistości. I tylko o to chodziło. Mimo to nadal nie uważam się za nikogo wyjątkowego, więc absolutnie godzę się z krytyką. I tak wiem, że wyciągam to wszystko szczerze z własnego kolana połączonego nitką pitką z mózgiem i nikogo nie kopiuję. Kiedy jest bardzo źle, pocieszam się tym, że prawie każdy, kto przesłuchał całą tę płytę – mimo różnych odczuć, łącznie z wcześniejszymi nawiązaniami do Kalibra – przyznaje, że to pierwszy krok do mojego indywidualnego, oryginalnego stylu.

Ponadto nagrywasz przecież ze swoimi idolami...

Tak, i wydaję w jednej z najlepszych wytwórni w kraju, a płytą jarają się kumaci dziennikarze i muzycy, których uważam za autorytety. Dużo energii daje mi też Rahu, a w sumie to twórca gatunku. Razem działamy i on mówi, że czuje w tym, co robię, wpływy PFK, ale wie, że wprowadzam we wszystko swój styl. Poza tym, każdy jest pod wpływem czegoś, co już było i czego doznał. Co do komunikatywności tego albumu to celowy zabieg. Fajnie ujęta to recenzja w „Wyborczej". Określili to jako fragmenty snów czy projekcję podświadomości. Fajnie, że są ludzie, którzy to kumają i doceniają ten niezależny ruch. Ta płyta to celowo totalnie odjechana przypowieść wyzwolona od wszelkich zasad i trendów. Nazywana przez niektórych płytą pod prąd. Nie ma na niej nawet hitu do radia – a nawet na Kanale był. Nie ma tu zasad: zwrotka, refren etc. To właśnie miała być ucieczka od rzeczywistości w lewitującą masę zawieszoną pod sufitem świata. Wiem, że wielu się to nie spodoba. To dla tych kilku błądzących dusz zmęczonych rapem o rapie czy otwieraniem wina za swoją dziewczyną.

Na pewno twój styl jest nieco inny od PFK.

Sam słyszysz. Robię to tak, jak naturalnie to przeze mnie przepływa i nie mam zamiaru nikomu się z tego tłumaczyć. Nie chcę naśladować. Buduję całokształty – produkuję muzykę, klipy, łączę je ze słowem na swój sposób i koncept. Oczywiście są podobieństwa, ale prawie wszystko co dziś powstaje, ma naleciałości przeszłości – to naturalne. Mogę ci wskazać, kim z zachodu inspirowały się największe gwiazdy polskiej sceny. Trzeba iść dalej, szukać nowych dróg i kreować własny styl. To oczywiście coraz trudniejsze. Tak czy inaczej, mam świadomość, że należę do pewnej wrażliwości h.i.p. To wrażliwość śląska wyrastająca z PFK. Przypłynąłem tu swoją motoróweczką na kokosowe prudelki zupełnie naturalnie, bo mój styl był taki a nie inny od pierwszej produkcji, jaką stworzyłem, gdy jeszcze nie znałem nawet Paktofoniki. Wyrosłem z zupełnie innych klimatów – Fugees, The Roots, Ninja Tune.

A psychorap?

To jakaś sprzączka, która trzyma mnie za mój kolejarski zarost na klacie i nie chce puścić. Nie wiem, czy to psychorap, czy trip-hop, czy BeatoKozidryzm. Dla jednych to Ninja Tune, dla innych muzyka, której nigdy nie słyszeli albo też psychorap – wolę abstract hip-hop. Do tego pudełeczka wrzucili mnie hip-hopowcy po zrobieniu z Rahimem i Spaso „2 pokoi", które trochę namieszały. Dla mnie to po prostu grzebanie we własnej dyni i zagłębianie się w metafizyczne problemy bytu. Muzyka i słowo jako podróż i odkrywanie tajników egzystencji. To we mnie siedzi gdzieś bardzo głęboko. Wiesz, nagrywając „Hael" wyjechałem z miasta i zamknąłem się sam w pustym domu w swoim kokonie. To w końcu swego rodzaju studium o samotności, więc szukałem realnych przejść – to, co przechodziłem w tej samotności ze sobą, to zresztą kolejny temat na flaszkę, ale niech to pozostanie na razie moje. Tak czy inaczej wykończyło mnie to.

Okej, kończymy ten irytujący temat. Skąd zajawka na zabawę językiem, grę w słowotwórstwo?

Wiesz, ostatnio skumałem, że byłem kiedyś w studium teatralnym i napisałem sztukę, którą nazwałem „Polihydroglobulania", no i „w ogóle co, dlaczego, skąd, Marcin? Kiedy, wszędzie? Raczej? O co chodzi?" I w tym momencie łapiesz się na tym, że nie potrafisz sobie tego wyjaśnić. Jest jakaś naturalna energia, która wypuszcza z ciebie takie słowa. To słowo oczywiście nie istnieje, ale wydało mi się ujęciem tego, co chciałem tam powiedzieć. Nie jest to próbka przechwałek na wymyślanie dziwnych słów albo że ja to wypowiem, a ty nie (śmiech). A niektórzy tak myślą. To przede wszystkim ujmowanie całości i nadawanie tytułem kolejnego sensu poprzez holistyczne spięcie utworów tworzących całość – album. Choć na pewno fajnie pokulać jadąc autem, jak ktoś w radio sobie łamie język na twoim wygłupie. Bo to na pewno też trochę wygłup.

A może to wynika z fascynacji literaturą, powiedzmy Białoszewskim?

(Śmiech) Powiem ci, że akurat w tym temacie jestem beznadziejny, w ogóle mam dziwny wkręt. Mam problem z czytaniem książek. Nigdy nie kumałem poezji. A dziś wielu uważa, że moja liryka to momentami specyficzna poezja. Ciekawe. A ja zasypiam po 50 minutach i tak naprawdę niewiele książek w życiu przeczytałem. Nie przeszedłbym żadnej klasy, gdyby nie streszczenia. Straszne to... Jak przeczytam jakąś książkę całą, to jestem zajebiście szczęśliwy i idę do piwnicy na świeże pająki. Książka to imaginacja – niesamowite obrazy. Miałem różne zajawki: na groteskę, na Witkacego, Gombrowicza. Cieszę się jednak, kiedy ludzie wypowiadają się na temat mojej liryki i płyty, którą teraz zrobiłem, nie w kategoriach hip-hopu, lecz w kategoriach bardziej globalnych – określając mnie dadaistą czy skrzyżowaniem Witkacego z upalonym Tuwimem. To zaszczyt – ale i dowód, że ciągle jest się do kogoś w tym kraju porównywanym. Cokolwiek nie zrobisz. Kiedyś był Magik, teraz Tuwim. Takie są chyba początki. Albo zdechniesz w tym, albo się przebijesz i wypracujesz sobie swój własny styl i szacunek. Trzeba być silnym.

Kto Ci się podobał najbardziej z artystów dotychczas występujących na Open'erze?

Ślusarz montujący scenę. I pan od światełek. Mig mig, migu mig. To dopiero artyzm. A naprawdę, to chyba Nightmares On Wax, a to w sumie dlatego, że sam jako artysta zawsze lubiłem grać coś innego. W sensie - remiksować swoje rzeczy na żywo, grać w inny sposób niż na płytach. Natomiast jako słuchacz, idąc na koncert wolę rzeczy, które już znam. A oczywiście złotym środkiem byłoby znalezienie balansu, żeby było to po części granie na żywo, remiksowanie i granie sytuacji z płyty, a w NOW było tego najwięcej. Ale tak naprawdę NOW i Coldcut były ekipami, na które tutaj najbardziej liczyłem, może jeszcze Groove Armada. A tak w ogóle, w ogóle, to Cypress Hill i Massive Attack.

Luke Skywalker czy Lucky Luke?

Ewidentnie Luke Skywalker. The force is with me! Gdyby nie to, już dawno porzuciłbym robienie offowej popapranej muzy. Wielka imaginacja, kosmos, fantazja, galaktyki, wszechświat to moje wkręty. Ewidentnie wyczuwalne na „Haelucenogenoklektyzmie". Odnajduje w tym siebie. To jest najbliższe memu sercu.

Kanye West czy The Streets?

Iwan i Delfin. Szczerze, to ani Kanye, ani The Streets. Nawet wczoraj trochę pomarudziłem na Coldcut, że zagrali mało trip-hopowo tylko bardziej drummowo. Jak już mówiłem: NOW, Czarodzieje, Miloopa i Marysia Peszek.

Pharrell czy Kanye?

Generalnie „get the fuckin' pussy" mnie nie przekonało. No, Pharrell bardzo ładny ciemnoskóry młodzieniec, chłopak o niesamowitym anielskim glosie z playbacku. O ile się nie mylę... Nie znałem go. Nie ogarniam dużo nowej muzyki. Staram się słuchać jak najwięcej, jednak tworząc muzykę potrzebuję higieny ucha, kultywuję ciszę i wolny czas wolę przeznaczyć na tresurę żuków, wietrzenie podstępów, sadzenie ogórków, hydropeuzację liści kosaćca, ewentualnie słuchanie artystów Warpa, Anticonu czy Ninja Tune.

I tak wiem, że wyciągam to wszystko szczerze z własnego kolana połączonego nitką pitką z mózgiem i nikogo nie kopiuję.









BOOT CAMP
UPADKI I... UPADKI

Najbardziej niedoceniony i pechowy skład w rapowym świecie? Bardzo możliwe. Członkowie nowojorskiego Boot Camp Clik mają za sobą wiele ciekawych przejść, które predestynują ich do takiego miana. Przyjrzyjmy się, jak to z nimi bywało

tekst Krzysiek Grabowski (Grabiszczy)

PECH #1

W porządku, jakoś musiało się zacząć, a gdyby zaczęło się od niepowodzenia, to raczej nie czytalibyście dziś tego tekstu. Zanim zatem będzie o pechu, należy wspomnieć o pierwszym sukcesie. Była nią wydana w 1993 roku płyta „Enta Da Stage" grupy Black Moon, składającej się z dwóch raperów, Buckshota i 5 Ft. Acceleratora, oraz DJ'a Evil Dee. Hity w stylu „I Got Cha Opin" czy „Who Got Da Props?" oparte na charakterystycznym, brudnym brzmieniu ekipy producenckiej Da Beatminerz (w jej skład wchodził wspomniany Evil Dee) przysporzyły ówczesnemu wydawcy płyty (Nervous Records) niezłych zysków, a składowi... szacunek wielu fanów i niewiele ponadto. Tu pech się zaczyna.

Jak się później bowiem okazało, niekorzystnie skonstruowana umowa w ostatecznym rozrachunku przyniosła grupie całe 30 tysięcy dolarów do podziału. Buckshot założył label Duck Down Records ze swoim przyjacielem Dru Ha (więcej w ramce obok), by w 1995 roku wydać jeszcze we współpracy z Nervous „Da Shinin" – debiutancki album Teka i Steele'a, bardziej znanych jako duet Smif-N-Wessun. Przez pewien czas było fiołkowo, ale relacje z Nervous z wiadomych względów psuły się coraz bardziej, stąd zapadła decyzja o związaniu się umową z wielkim podówczas Priority Records. Krok ten okazał się niezbyt szczęśliwy, można powiedzieć, że był to...

PECH #2

Jak to zwykle bywa, początki zapowiadały się nieźle. Duck Down miało pod swoimi skrzydłami trio Originoo Gunn Clappaz (Top Dog, Starang Wonduh i Louieville Sluggah) oraz duet Heltah Skeltah (Rock i Ruck, dziś znany jako Sean Price), którzy to debiutanci szczególnie interesowali nowych, nastawionych na łatwy zysk szefów z Priority. Bez prawie żadnej pomocy finansowej

z ich strony pierwsze płyty obydwu składów z 1996 roku (odpowiednio „Da Storm" i „Nocturnal") sprzedały się w sumie w półmilionowym nakładzie. Poprzedzone były ich wspólnym singlem „Blah/Leflah", który ukazał się pod szyldem The Fab 5.

Skąpstwo Priority osiągnęło jednak szczyt, kiedy rok później kierownictwo giganta zablokowało pewien ruch Duck Down, który mógł zmienić historię rapu. Nie wierzycie? A powinniście, bo Buckshot i Dru Ha mieli dogadany kontrakt z młodym białym raperem z Detroit. Tak, chodzi o Eminema. Dziś jednak to już tylko ciekawa opowiastka, przy której Buckshotowi z pewnością otwiera się nóż w kieszeni...

Jakby tego było mało, problemy z nazwą mieli Smif-N-Wessun. Smith & Wesson, czyli gigant w produkcji broni, wytoczył duetowi proces o naruszenie praw do używania miana firmy i raperzy zostali zmuszeni do zmiany nazwy na Cocoa Brovaz. Na dobrą sprawę przesądziło to o utracie ich tożsamości na długi czas, gdyż nie wszyscy starzy fani wiedzieli, kim są „Kakaowi Bracia" (do dziś wiedzą o tym tylko pośladki Flinta).

PECH #3

„For Da People", czyli pierwszy wspólny album całej ósemki składającej się na Boot Camp Clik (dla uporządkowania: byli to członkowie D.G.C., Smif-N-Wessun, Heltah Skeltah oraz sam Buckshot), jeszcze pogorszył relacje z Priority. Ekipie zarzucano odejście od pierwotnego brzmienia i zbytnie eksperymentowanie. W podtekście znaczyło to: „Jak mamy mieć z was hajs, kiedy nie jesteście już sobą?" I niby na drugim albumie Black Moona „War Zone" (wydanym w 1999 roku, kiedy Buckshot i spółka odzyskali od Nervous Records prawa do swojej nazwy) powrócono do klasycznego boom-bapu, który przyniósł im popularność na początku lat 90., ale było już za późno. Fani odwrócili się od Boot Camp Clik, a Priority nie miało skrupułów z pozbyciem się składu.

Aby dopełnić czary goryczy, w ekipie powstały niesnaski. Najpierw okazało się, że w Priority pozostają Heltah Skeltah (po uprzednim wydaniu albumu „Magnum Force"), potem, że szefowie majorsa faworyzują Rocka, któremu zaoferowali kontrakt na solową płytę (ostatecznie nigdy się ona nie ukazała) i tak doszło pomiędzy nim a resztą BCC do napięć, zażegnanych dopiero w ubiegłym roku, kiedy to Rock wystąpił gościnnie na krążku byłego partnera, Seana Price'a.

PECH #4

Ciekawą kartę w historii Boot Camp Clik i ich niepowodzeń zapisały kontakty z Zachodnim Wybrzeżem. Nie wszyscy wiedzą, że Buckshot przez pewien czas bardzo blisko trzymał się z samym 2Pakiem. Spędził z nim sporo czasu nagrywając nigdy nie skończony album. O tym, jak mógłby on brzmieć, możemy się przekonać dzięki kawałkowi „Military Minds", który ujrzał światło dzienne dopiero w 2002 roku na jednej z trzech tysięcy pośmiertnych płyt Tupaca zatytułowanej „Better Dayz". Gościnnie na tym tracku jako Cocoa Brovaz pojawiają się także Tek i Steele. Oczywiście cały projekt zniweczyła śmierć 2Paca. Buckshotowi pozostały tylko wspomnienia: „Gdyby to wypaliło, o Boot Camp Clik wiedziałby dziś cały świat". Pech znowu dał znać o sobie.

Kolejny epizod związany z West Coastem dotyczy niedoszłej współpracy BCC z Dr. Dre około 2000 roku. „Doktorek" poszukiwał wówczas na Wschodnim Wybrzeżu kandydatów do swego świeżego wówczas labela, Aftermath. Jak sprawa się skończyła, wszyscy jednak wiedzą. Dre zdecydował się ostatecznie na ściągnięcie Rakima. Patrząc jednak przez pryzmat późniejszych perypetii związanych z wydaniem (a dokładniej – niewydaniem) jego płyty przez producenta z Compton, może fakt, że Dr. Dre nie zdecydował się na współpracę z ekipą Boot Camp, był dla nich szczęściem w nieszczęściu...

PECH #5

To sprawa bardziej złożona, dotycząca tożsamości BCC i jego postrzegania przez wielu innych wykonawców i fanów. A wszystko ma swoje źródło jeszcze w 1992 roku, kiedy to Buckshot na słynnym numerze „Who Got Da Props?" wspomniał o noszonym przez siebie... plecaku, szufladkując siebie i całą swoją ówczesną i późniejszą ekipę. „Backpackerzy" (czyli „plecakowcy") to trudny do zdefiniowania termin. Wywodzi się z mody zapoczątkowanej we wczesnych latach 90., kiedy wiele osób chcących zbliżyć się do kultury hip-hopowej nosiło plecak, by dodać smaczku swemu wyglądowi. Obecnie używany jest jako określenie mało poważanej grupy zatwardziałych fanów podziemnego hip-hopu.

Jak by jednak tego zagadnienia nie wyjaśniać (bo na dobrą sprawę definicji zjawiska jest mnóstwo), utożsamiani z nim członkowie BCC nie są zbyt szczęśliwi. Buckshot tłumaczył w 2002 roku, że miał zupełnie co innego na myśli: „Nasze plecaki były wypełnione kradzionymi napojami, t-shirtami, butami i perfumami. Nie trzymaliśmy w nich swoich rymów!" Na tłumaczenia jednak było za późno, bo Boot Camp i tak już dawno przesunął się na margines mainstreamu i drugim Wu-Tang Clanem nie został.

PECH #6

Jak na razie, odpukać, nie nastąpił. Po ubiegłorocznej ofensywie Duck Down (patrz ramka) szacunek do jego artystów znów zaczyna wzrastać. Członkowie Boot Camp Clik zostawili za sobą wszelkie niesnaski – do składu ostatecznie powrócił nawet syn marnotrawny, Rock – i wzięli się do pracy nad trzecim wspólnym krążkiem. Kiedy trzymacie ten numer „Ślizgu" w dłoniach, płyta „The Last Stand" już powinna być w sprzedaży. Pierwszoligowa produkcja (oczywiście od Beatminerz, do tego Large Professor, Pete Rock czy 9th Wonder) w połączeniu z entuzjazmem członków BCC do wspólnego nagrywania może dać nam kawał porządnego nowojorskiego rapu. Czy Boot Camp Clik osiągną wreszcie dzięki temu albumowi należny im status, czy też już na zawsze pozostaną oni grupą niedocenionych i prześladowanych przez niepowodzenia pechowców? Potrzymajmy za nich kciuki, może im się to przydać.



DUCK DOWN RECORDS

Nie da się opowiedzieć o Boot Camp Clik, nie wspominając choćby w zarysie o Duck Down Records. Label założony przez Dru Ha (chłopak, który początkowo zrezygnował ze szkoły prawniczej, by zostać managerem Black Moona za... 75 dolarów tygodniowo) oraz Buckshota, tak jak cała „Klika" przeżywał swoje wzloty i upadki. Powstał w 1994 roku na bazie sukcesu debiutanckiego krążka Black Moon, czyli „Enta Da Stage". Dru Ha i Buckshot od razu przygarnęli Smif-N-Wessun, których debiutancki krążek rozszedł się w ponad 300 tysiącach egzemplarzy i wywołał spore poruszenie. Jeszcze w tym samym roku do labela dołączyli O. G. C. oraz Heltah Skeltah. To już wtedy uformował się skład Boot Camp Clik. Ciekawa rzecz stała się w 1995 roku, kiedy to szefowie Duck Down zdecydowali się na podpisanie umowy dystrybucyjnej z Priority Records (rezygnując ze współpracy z Nervous Records), która wydawała wówczas choćby Mastera P czy Ice Cube'a.

Pierwszym krążkiem, który wyszedł już w ramach umowy z Priority, był debiut Heltah Skeltah „Nocturnal". Jeszcze w tym samym 1996 roku ukazał się album „Da Storm" O. G. C. Wszystko było cacy, bo płyty się sprzedawały, a Priority nie ponosiło zbyt dużych kosztów, jeśli chodziło o promocję materiałów. Przełomem okazało się wydanie kolektywnego „For Da People", który zawiódł oczekiwania wielu fanów i – oczywiście – szefów z Priority, którzy zarzucili BCC zbytnie odejście od „korzeni". Potem było już tylko gorzej, aż doszło do rozwiązania umowy, które zapoczątkowało aż dwuletni (!) okres poszukiwania nowego dystrybutora przez Duck Down. Okazał się nim Koch, który dał labelowi dużo swobody. Głównym efektem współpracy był krążek „The Chosen Few" firmowany przez wszystkich członków BCC. Trudno jednak mówić o sukcesie w USA, kiedy sprzedaje się niespełna 100 tysięcy płyt...

Obecnie Duck Down dysponuje szeregiem umów z dystrybutorami na całym świecie (jeśli myślicie jednak, że z polskimi również, to srogo się mylicie; najbliżej nam do niemieckiego Groove Attack) i wydaje się, że jego marka wzrasta. Zeszłoroczna „potrójna groźba" („triple threat") – jak nazwano następujące po sobie premiery płyt „Monkey Bars" Seana Price'a, „Chemistry" Buckhota z 9th Wonderem i „Reloaded" Smif-N-Wessun – przyczyniła się do ponownego zainteresowania labelem i całą jego ekipą. GRB







DUETY

MODNA RZECZ

Gdy kilkanaście tygodni temu duet Gnarls Barkley rozpoczął swój - jak dotąd niepohamowany - atak na szczyty list przebojów, a w Internecie pojawiły się plotki o wspólnych projektach Pete Rocka z O.C., Marley Marla z KRS-One'em i DJ'a Premiera z Nasem, tysiące fanów rapu na całym świecie zaczęło zacierać ręce. Ja natomiast zacząłem się zastanawiać, czy to już początek nowego ładu na hip-hopowej scenie, czy też tylko nowa moda

tekst Cała / Machina

Układ producent/dj (czasem też rapujący) + emce (czasem produkujący) jest stary jak świat. No, może nie tyle świat, co hip-hop. Przykłady można mnożyć w nieskończoność, ograniczę się do terminów kluczy – EPMD, Gang Starr, Pete Rock & C.L. Smooth, a w bliższych nam czasach Blackalicious, Dogg Pound i Reflection Eternal. Działa na wyobraźnię? Powinno. A to przecież dopiero czubek góry lodowej. Jest jednak pewna różnica dzieląca historię od teraźniejszości. Kiedyś takie układy były czymś naturalnym, stanowiły bowiem o początku grupy. Myśląc Erick Sermon odpowiadałeś automatycznie Parrish Smith, gdy przychodził ci na myśl Chief Xcel, natychmiast kojarzyłeś uzupełniającego jego mistrzowskie produkcje Gift of Gaba.

Madvillain, Jaylib, Gnarls Barkley, Danger Doom, Maroons to już inna bajka. Na początku byłem wielkim kibicem tych projektów. Szczególnie dużo zyskał dzięki nim MF Doom, który potrafił na tyle zdominować partnerujących mu Madliba czy Danger Mousa, by przeforsować wizję materiałów konceptualnych. Wielowątkowych, ale jednak niedługich i zamykających się w logiczną całość opowieści. Maroons wygrało przede wszystkim dzięki wspaniałym bitom Chief Xcela, który próbował (tak, nie bójmy się tego osądu) wyciągnąć na szersze wody Lateef The Truthspeakera. Niestety – temu drugiemu zdecydowanie zabrakło charyzmy i po prostu talentu Gift of Gaba, by fani Blackalicious mogli na dłużej niż tydzień przerwać modlitwy o kolejny album swego ukochanego duetu. A i Gift of Gab swoim solo udowodnił, że nie jest w stanie bez Chiefa zaprezentować stu procent swoich możliwości. Ominę osobę Madliba w tej całej wyliczanko-układance. O nim i tak jest non stop głośno (za głośno?).

Klu programu. Gnarls Barkley. Jakkolwiek mogę zarzucić ich płycie w zasadzie tylko brak konceptu i spójności, to obawiam się jednego – że pociągnie ona za sobą lawinę projektów opartych na tej zasadzie. Zasadzie, która się w przeciągu lat zmieniła i działa obecnie na schemacie – producent, o którym jest głośno, łączy siły z kimś również będącym na fali. Nie oszukujmy się. W Polsce Cee--Lo nigdy nie był do końca doceniany, ale ten facet ma swój program w telewizji, kilka milionów sprzedanych płyt na koncie (Goodie Mob kiedyś popularnością dorównywało Outkastowi, uwierzcie mi – tak było) i taką pozycję na rynku, że za friko dostał bity od Neptunes, Timbalanda, Premiera i Jazze Pha. Danger Mouse gwiazdą undergroundu? No, sorry. Ile milionów sprzedało Gorillaz? Ile szumu było o „Grey Album"? Wystarczająco dużo, by Gnarls Barkley był sensacją sezonu.

No i w sumie pięknie, cudownie. Do czasu. Nie wiem, z kim teraz MF Doom ma nagrać płytę, by znów stać się pupilkiem, ale może w końcu nagrałby w pełni wartościowy album totalnie solo? Nie taki na odwal się, nie taki w 10 minut, ale taki naprawdę powalający. Nie wiem, kogo teraz dorwie Danger Mouse, albo kto jego dorwie, ale jeszcze trochę i zacznie wychodzić to wszystko bokiem. Idę bowiem o zakład, że jeśli teraz ktoś porwie się na projekt rockowy, nagrywając cały album z Rickiem Rubinem, natychmiast pojawi się grupa naśladowców. Jeśli Madlib wyprodukuje w całości płytę jakieś wokalistki soulowej, nie minie rok, a doczekamy dwóch, trzech innych głośnych kolaboracji gwiazdy rapowego podziemia i sceny soulowej.

Rodzi się ponadto jeszcze inne pytanie. Czy to, że tak różni od siebie artyści jak Jemini, MF Doom i Cee-Lo nagrali wspólnie z Danger Mousem albumy inspirowane, jak sami mówią, niezwykłym szacunkiem do jego warsztatu i stylu, a Danger umiał go dopasować do ich twórczości, świadczy o jego niezwykłości, czy tak naprawdę o tym, że ma jedynie solidny warsztat i umie się dostosować do wymagań innych?

Na razie trudno na chłodno odpowiedzieć na te wszystkie wątpliwości. Co do jednej mam już sto procent pewności. Na pewno jesteśmy świadkiem pewnej mody. Nie należy na to złorzeczyć, przeklinać tego. Mody, tendencje są charakterystyczne dla każdego gatunku muzycznego. Dopóki firmujący je artyści trzymają pewien poziom, wszystko jest ok, możemy im kibicować. Obawiam się jednak, że już niebawem możemy być świadkami takiego chaosu, że pogubimy się sami w tych kolaboracjach i nie będziemy wiedzieć, kto kogo produkuje, a kto u kogo rymuje lub śpiewa. No, a jak powszechnie wiadomo, ilość rzadko kiedy idzie w parze z jakością...

Obawiam się, że już niebawem możemy być świadkami takiego chaosu, że pogubimy się sami w tych kolaboracjach i nie będziemy wiedzieć, kto kogo produkuje, a kto u kogo rymuje lub śpiewa



DJ KRUSH

DEPRESJOSPRAWCA

Jest ci w życiu kiepsko? Dziewczyna nie daje znaku życia albo puściła się z bliskim kolegą? W pracy słabe dni? Egzamin w szkole poszedł nie do końca zgodnie z oczekiwaniami? W portfelu pustka, a za moment koncert artysty, na którego przyjazd czekałeś całe życie? Nie martw się, nie narzekaj

tekst Andrzej Cała / „Machina"

Nie napiszę „będzie dobrze dzieciak". Nie dam ci miliona rad na wyjście z ciężkiej sytuacji. Napiszę jedynie kilka zdań na temat człowieka, dla którego terminy: smutek, mrok, ciemność, złość znaczą chyba po prostu tyle, co codzienność...

Na twórczość Krusha ogromny wpływ miała jego przeszłość. Hideaki Ishii (ur. w 1962 r. w Tokio) nie miał łatwego dzieciństwa i młodości. Nie do końca umiał się odnaleźć w tym wielkim tyglu, nie do końca rozumiał wszystkie zmiany i procesy, jakie następowały w Japonii drugiej połowy dwudziestego wieku. Nie „tracił" czasu na tak przyziemne kwestie jak szkoła i edukacja. Wolał życie po tej drugiej, ciemnej stronie, na bakier z prawem i normami społecznymi. „Gdy czasem słyszysz, że ktoś mówi 'muzyka mnie zmieniła, nadała sens mojemu życiu', może ci się to wydawać głupim pierdoleniem nawiedzonego człowieka. Ale w jednym przypadku na sto, to prawda." On jest właśnie tym przypadkiem.

Początek lat 80. to tak naprawdę początek wielkiej hip-hopowej zajawki. Jak grzyby po deszczu wyrastają nowe grupy, raczkująca scena w Stanach nabiera barw i kształtów. Jest jeszcze bardzo miło, rap oznacza zabawę, pozytywne wibracje, zdrową rywalizację i walkę z samym sobą o to, by być lepszym w tym, co się robi. Do Japonii ta nowa, niezwykle ciekawa historia trafia z małym opóźnieniem, w połowie lat 80. Filmy pokroju „Wildstyle" biją tam rekordy popularności, a taśmy z nagraniami takich artystów jak Whodini, Sugarhill Gang, Busy Bee czy Kool Mo Dee rozchodzą się jak świeże bułeczki. Krusha również zaraziła ta rapowa gorączka. Pierwszą inwestycją, jaką poczynił w drodze do wielkiej kariery, był zakup gramofonów i stopniowe uzupełnienie przebogatej kolekcji płyt winylowych z przeróżną muzyką. „Kocham muzykę niezależnie od gatunku, szufladki i pochodzenia. Musi być po prostu dobra. Najczęściej sięgam do jazzu, funku i ambientu, ale nie znaczy to, że uciekam od rocka, salsy i popu. By tworzyć dobre rzeczy, bogatą muzykę, musisz mieć bogatą wiedzę i ciągle szukać, czerpać, brać."

Pod koniec lat 80. Krush zaczął produkować bity. Założył nawet grupę Krush Possen, która zdobyła w rodzimym kraju dużą popularność, otwierając często koncerty gwiazd, które przyjeżdżały do Kraju Kwitnącej Wiśni zza oceanu. Tak naprawdę bardziej kojarzony wówczas jako didżej niż beatmaker, wsławił się m.in. tym, że jako pierwszy w Japonii zagrał imprezę z żywym składem muzyków i raperami. Sława Krusha szybko dotarła do Stanów i Wielkiej Brytanii. Dużą po-



pularnością cieszyły się nagrywane przez niego miksy, na których wprost fenomenalnie łączył różne muzyczne gatunki, żonglował stylami, okraszając to wszystko bitami własnego autorstwa. W 1994 r. kontrakt z Hideaki Ishi podpisał londyński label Mo'Wax. Od tego momentu poszło już z górki, a – to ciekawostka, którą warto zapamiętać – przez kilka lat Mo' było oficyną skupiającą dwóch najwybitniejszych w historii twórców abstrakcyjnego hip-hopu – DJ'a Shadowa i DJ'a Krusha.

W przeciwieństwie do Shadowa Japończyk nie uciekał nigdy od ciekawych kooperacji z raperami. Na jego albumach rapowali przecież tacy mistrzowie jak Black Thought, Mos Def, Mr. Lif czy C.L. Smooth. Krush trzymał też rękę mocno na pulsie amerykańskiego podziemia, zapraszając do współpracy Company Flow, Aesop Rocka czy emcees z Anticona. Ma też Japończyk słabość do pięknych kobiet, czego efektem wspólne nagrania z N'Dea Davenport i Zap Mama chociażby. Ta lista jest zresztą zdecydowanie bardziej imponująca, ale przecież nie o wyliczankę tutaj chodzi.

Trudno wybrać przełomowe i najważniejsze dzieła autorstwa Krusha. Na pewno pozycją nie do zapomnienia jest nagrany wspólnie z genialnym jazzowym trębaczem Toshinori Kondo materiał „Ki-Oku" z 1998 r. i tylko trochę mniej udane „Bad Brothers" z Ronnym Jordanem (1994). Niesamowite pod względem klimatu i muzycznych wizji są „Meiso" (1996) i „Kakusei" (1999). Trudno było się oprzeć magii „Jaku" (2004), na którym Krush zabrał nas w niesamowitą podróż śladami swoich samurajskich przodków. Z drugiej strony, czy „Milight" (1997) albo „Zen" (2001) odbiegają klasą od wymienionych wyżej wydawnictw? Chyba nie. Bo też Ishii jest artystą doprawdy niezwykle równym i bardzo krytycznym wobec swojej muzyki. On nie pozwalał sobie na puszczenie bubla, nagrywanie kiepskich bitów czy miksów.

Zastanawiacie się pewnie, skąd taki tytuł tego artykułu? No cóż. Nie da się ukryć, że tym co wyróżnia brzmienie Krusha, jest towarzyszące mu uczucie nostalgii, smutku, tęsknoty za czymś. Na płytach Japończyka słońce pojawia się bardzo rzadko, radości i pozytywnych dźwięków w zasadzie nie uświadczymy. Jest zaduma, mrok, ciemność. Jest cień, w którym odbija się nieciekawa przeszłość artysty. Kiedyś nawet spytano Krusha, czy nie obawia się, że jego muzyka może sprawić zwiększenie ilości samobójstw. Odpowiedział: „Nie sądzę. Jeśli ja po godzinach pracy w studiu i produkowaniu takiej muzyki wciąż potrafię się uśmiechać i cieszyć życiem, to nie podejrzewam, by ktoś po godzinnym seansie z moją twórczością był skłonny do tak dramatycznych czynów. Chyba że chodzi ci o to, że robię tak beznadziejną muzykę, że nic tylko się zabić?!" Pytanie zdecydowanie retoryczne.



dj 600 VOLT

ŻEBY BYĆ KIMŚ, NAJPIERW MUSISZ BYĆ SOBĄ

Chyba nikomu nie trzeba mówić, jak ważną postacią dla rozwoju polskiego hip-hopu był DJ 600 V. Autor wielu bitów, które przeszły do historii naszego rapu, dziś nieco w cieniu, ale właśnie ukazał się trzypłytowy składak z jego czołowymi produkcjami, a my przepytujemy go w naszym „Profilu pokoleń”

tekst Zdzisław Nieszczególny

Na początek powiedz, nad czym teraz pracujesz?

Pracuję obecnie nad utworami na różne płyty. Chłopakom z THS coś produkuję, dla Mercedresa również coś szykuję. Myślę, że to będzie barter: ja mu zrobię singiel, on nagra singiel dla mnie. Jeżeli chodzi o album, to robię kawałki z dziewczynami. Chodzi o rzeczy śpiewane. Mam dwie koleżanki, Anię z Gocławia, a drugą spod Warszawy. Myślę, że poradzą sobie wokalnie. Do tego jest jeszcze Nari, kolejna dziewczyna, która prosiła mnie, żebym się zajął produkcją jej albumu. Czyli ogólnie, śpiewanie w połączeniu z rymami chłopaków.

Która płyta ukaże się najpierw?

Robię dwie płyty jednocześnie, nie wiem, która ukaże się pierwsza. Z tą kwestią nie spieszy mi się. Chcę to zrobić dobrze. Zobaczę, jak współpraca będzie się rozwijała, może to potrwać nawet i rok, nie ma pośpiechu. Zależy mi na tym, żeby wnieść coś nowego i jednocześnie utrzymać klimat tego, co rozumie się pod pojęciem muzyki funkowej. Do tego właśnie ukazała się trzypłytowa składanka moich przebojów.

Powiedz Sebek, co lubisz najbardziej: produkować, siedzieć w studio czy grać imprezy? Co Ci przynosi największą satysfakcję?

Są różnego rodzaju satysfakcje. Jest długofalowa satysfakcja, która daje ci poczucie własnej wartości. Daje świadomość, że realizujesz jakiś cel. Wtedy wiesz, że nie urodziłeś się tylko po to, żeby jeść, chodzić do roboty i oglądać telewizję. W moim przypadku daje mi to muzyka. To jest taka dziedzina,

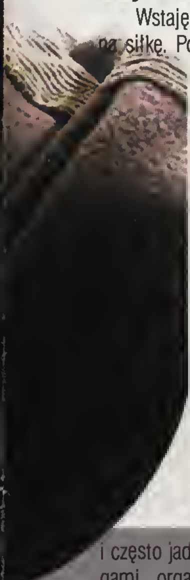
w której można się rozwijać całe życie. Można odnajdować nowe rozwiązania muzyczne, brzmieniowe, melodyczne. To jest moja satysfakcja długofalowa. Gdy gram imprezę, oczywiście jest fajnie, zajebista atmosfera, ale satysfakcja trwa krótko.

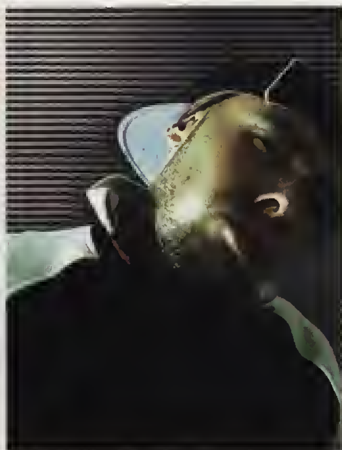
A co porabiasz poza robieniem bitów i graniem imprez?

Chodzę na siłkę, jeżdżę na rowerze, ogólnie dbam o zdrowie. Wiesz, zaniedbałem przez spory czas kwestie związane z moim rozwojem fizycznym, więc postanowiłem się tym zająć. Tak naprawdę, w tym momencie zastanawiam się też nad jakimiś dodatkowymi studiami. Studiowałem fizykę, której nie skończyłem, ale mam czas i spokojnie bym dał radę. Szukam kierunku, który by mnie wygrzał. Zajebiście chciałbym zostać też pilotem. Jest to plan, ale nie wiem, czy uda mi się go zrealizować. Jeśli nie, to może operatorstwo, obsługa kamery – o tym też myślałem. Ale jestem przywiązany do Warszawy i nie chce mi się nigdzie jeździć. Będę szukał czegoś na miejscu.

Opisz mi w takim razie Twój jeden „Voltowy" dzień.

Wstaję koło 11-stej, jakoś się ogarniam i idę na siłkę. Potem wracam do domu, biorę prysznic









i często jadę na miasto na jakieś spotkania: z kolegami, organizacyjne, związane z płytami. Potem wracam do domu. Jeśli nie jest za późno, to jeszcze wyjdę na rower sam albo z jakąś koleżanką. Potem wieczorny chillout z playstation. O drugiej, trzeciej kładę się spać. I tak mniej więcej jest co dzień. W niedzielę wbijam się do rodziców na obiad i odświeżyć nasze relacje. Mam dobrych rodziców.

Które z procesów twórczych lubisz najbardziej: bity, nagrywki, remiksy czy może skrecze?

Zdecydowanie najbardziej nie lubię nagrywać skreczy. Były różne etapy w moim życiu. Kiedyś bardzo lubiłem układać bębny. Teraz bębny same się układają i nie wkładam w to dużo wysiłku. Dynamikę, brzmienie i głośności mam w zasadzie opanowane. Ten temat dla mnie jest w pewnym sensie jasny. Teraz jaram się zdecydowanie akordami, czyli kompozycjami dźwięków, które niosą ze sobą jakąś emocję. W tym momencie uczę się akordów. Uczę się dopisywać w głowie podświadomie dźwięki do klawiszy tak, by móc płynnie poruszać się po klawiaturze.

Masz nauczyciela? Trenujesz gamy?

Nie, nie, mnie gamy nie interesują. W Internecie jest mnóstwo spisów akordów i z tego korzystam. Chcę do tego dojść sam, sprawia mi to radochę.

Polskie realia: smutek czy entuzjazm?

Wiesz, nie jestem punkowcem i nie jestem wyznawcą jakieś ideologii antyglobalistycznej. Ale przyznam, że globalizm powoli mnie rozpierdala. Coraz trudniej mi zaakceptować sytuację, w której coraz mniej jest firm. Subaru, Saab i inne firmy są kupowane przez General Motors. Kurczę, za 20 lat będzie pięć firm produkujących samochody, ale to oczywiście dotyczy wszystkich dziedzin przemysłu, mediów etc. Świat traci kolory i jeżeli ma iść w tym kierunku, to mnie to lekko załamuje. Wkurza mnie to, że Polska zachłysnęła się tym gównem. Nie mamy świadomości, co to za sobą niesie. Kiedyś dzieciaki były inne. W klubach ludzie znali każdy kawałek, a teraz po prostu nikt nie wie, co to jest i tylko sprawdzają, czy leci w telewizji. Ma miejsce zajebista płycizna. Nie wspominam już o polityce, w której się dzieją rzeczy, których nie mogę pojąć. To jest szok, że prezydent i premier to dwaj bracia bliźniacy. I to jest przykre, że jako twórcy musimy ogarniać flotę z trzystu różnych miejsc, żeby normalnie funkcjonować. Trzeba, niestety, w tym wszystkim znaleźć swoje miejsce i nie narzekać...

Czy myślałeś kiedyś, że na osiedlu w Polsce kiedyś zobaczysz 50 Centa reklamującego na billboardzie sportowe buty?

Nigdy by mi to nie przyszło do głowy, ale jest to naturalna konsekwencja tego, że w pewnym momencie kultura hip-hopu wywodząca się od czarnoskórych Amerykanów po prostu zdobyła rynek na skutek totalnej mentalnej pustki wszystkich innych kierunków, które przejadły już swoją treść. Rock na przykład w jakimś momencie wyczerpał już swoją tematykę oraz stylistykę. To samo z innymi gatunkami typu dance, które po prostu już nie znajdowały odbiorcy. Hip-hop uderzył właśnie w tej chwili, w której kultura nie miała nic innego do zaoferowania i moim zdaniem dalej nie ma. Z tego wynika, że media zajarały się tą muzyką i kulturą. Skoro jest taka historia, to firmy ją wykorzystują. Aczkolwiek do Polski dotarło to wszystko dosyć późno i jest w jakimś stopniu zniekształcone przez niektóre zespoły, które robią to z chęcią zarobienia floty czy zdobycia popularności, obniżając wizerunek tej kultury. Stała się ona czymś masowym i jest to irytujące.

No właśnie, co sądzisz na temat polskiego hip-hopu i jego poziomu?

Bardzo mało słucham polskiego hip-hopu. Ale jeżeli mam mówić o tym, to chyba wyrazem najbardziej pasującym do całej tej sytuacji jest „zamieszanie". Niektórzy zachowują się w sposób, którego naprawdę bym nie przewidywał. Pieniądze zrobiły im sieczkę z mózgu, nie mają pokory i nie widzą realizmu wokół siebie. Są jednak zespoły, które chcą się doskonalić i mówić rozsądne rzeczy, które tak naprawdę niosą jakąś wartość. Polski hip-hop był zawsze inny niż amerykański. Ja od dawna kochałem tę muzykę, przekaz jest dla mnie ważny. I fajnie, jeżeli ktoś rymuje o rzeczach, które coś są w stanie ułożyć, ale tak samo lubię kawałki, w których nie ma żadnego przekazu, tylko po prostu zabawa, relaks. Nie przez cały czas trzeba mówić, co jest istotne, czasami można powiedzieć: „Dobra, bawmy się i niech będzie fajnie". W Polsce nie ma za bardzo przemiksowania między tymi różnymi spojrzeniami. Ludziom prezentującym bardzo hardkorowy wizerunek bardzo trudno przejść do relaksu i dystansu. A jeżeli ktoś już gada o „pierdołach", to nie są to zazwyczaj „pierdoły" na takim poziomie, żeby się chciało tego posłuchać. Ogólnie rzecz biorąc, jest to bardzo szeroki temat.

Na pewno szeroki. Dla jednego hip-hop musi być zabawą, a dla drugiego musi być moralizatorski. Artyści hip-hopowi nie powinni się spierać o to, jaki przekaz powinien nieść ze sobą hip-hop. Bo w gruncie rzeczy spełnia on różne zadania...

No jasne, że tak, na tym to polega. Smutne jest, że między tymi ludźmi istnieją antagonizmy. Że z reguły nie są oni w stanie między sobą się dogadać. Są ludzie, których szanuję, ale oni również mają czasami problemy, żeby się uwolnić od stereotypów myślenia.

Dużym problemem dla naszego hip-hopu jest z pewnością piractwo.

Ludzie nie mają świadomości, że kupując pirackie płyty czy ściągając je z Internetu mają radykalny wpływ na to, co będą słyszeli za rok czy za dwa. Zupełnie w tym nie widzą związku. Wydaje im się, że ta muzyka bierze się z kosmosu, że ludzie, którzy ją robią, po prostu biorą flotę z dotacji, że państwo płaci, bo nagrałeś płytę. To jest głupie myślenie. Ale cóż, taka jest filozofia człowieka. Chce zapierdalać przez życie po linii najmniejszego oporu. I są tego skutki. Moim zdaniem, trzeba stworzyć jakieś urządzenia, które mogłyby w legalny sposób pobierać te kawałki z Internetu i wyeliminować inne rodzaje odtwarzaczy z rynku. Dzieciaki mają miliony tych empetrójek. Pchełki w uszach i jedziesz. Płyty to się kupowało za komuny.

EUROPEJSKIE DNI SZTUKI I KULTURY ULICZNEJ

Festiwal BRUK

SUMMER STREET FESTIVAL

GDYNIA 2006

Oj, działo się nad morzem, działo. Nie było zbyt wiele miejsca na nudę i plażowanie, a zaoszczędzony czas można było spożytkować z wielką dla siebie korzyścią. Poniżej macie zajawkę tego, czego mogliście być (lub byliście) świadkami

Bruk Summer Street Festival odbył się w Gdynii kolejno w dniach: 16-18 czerwca i 26 czerwca-7 lipca. Druga edycja tego niewątpliwego wydarzenia na skalę niespotykaną w tej części Europy została więc, jak widać, podzielona. Pierwsze dni należały do twórców teatralnych, którzy w Teatrze Muzycznym wystawiali swoje rzeczy. Kolejne dni – po przerwie – należały już do hip-hopowców i do ich „Hip Hop Academy". Oprócz tego przyznano Bruk Awards, ale o tym za chwilę.

Teatr

Odbyło się 6 spektakli – trzy zagraniczne: „Open 24 hours" (Ukraina), „Bel Canto" (Belgia) i „Virtuelevation" (Niemcy) oraz trzy polskie: „Morosophus" (Teatr Dramatyczny/Białystok), „Kontrasty" (Teatr Tańca Zakręconego/Poznań) i „Piątka gorszej klasy" (Teatr Ludowy/Kraków). Tematyka bądź forma wszystkich tych spektakli obracała się wokół szeroko pojętej sztuki ulicy: tańca, muzyki, graffiti itd. Widzowie mogli oglądać po dwa przedstawienia dziennie, więc zarówno o nudzie jak i przesycie nie mogło być mowy. Daleko tu było do teatru rozumianego przez pryzmat klasowych wycieczek do tego przybytku.

Film

Podczas dwóch dni, jakie zostały przeznaczone na Przegląd Filmów Niezależnych, wyświetlono sześć takich właśnie produkcji. Wśród nich znalazły się premiery: „Łódka" i „Średni kaliber" Michała Szcześniaka oraz „Haus" Ksawerego Żóławskiego (to była nawet przedpremiera). Pozostałe trzy to: „SzumTV" i „Pajęczyna szczęścia" Piotra Kielara oraz „Tylko jedna noc" Darka Błaszczyka. Tu oczywiście też punktem wyjścia była kultura hip-hop i ogólnie tematyka miasta.

Warsztaty

To jedna z ciekawszych opcji na Bruku. Mieliśmy tu rozrzut na wiele specjalizacji. Najpierw „Akademia Tańca", gdzie pod okiem m.in. Zyty i Mariki znanych z „12 ławek" czy Victora z Soul B i Wiśni z Ready To Battle można było zgłębiać tajniki tej chyba najtrudniejszej ze sztuk wyginania ciała. Inną opcją było zapisanie się na „konkurencyjne" „Warsztaty Taneczne". Tu z kolei mieliśmy szersze spektrum, bo wybrać mogliśmy spośród siedmiu kategorii: afrodance, breakdance, hip-hop, taniec współczesny i improwizacja, capoeira i joga (czyli to jednak jest taniec?).

Jeżeli bardziej interesowała nas muzyka, to nic prostszego. Najpierw „Gramofonowywkręt", czyli DJ'ka z punktu widzenia najlepszych – Eproma (dwukrotny mistrz polski ITF, vice mistrz Europy ITF 2005) oraz Kostka (mistrz i vice mistrz Polski DMC). Można było zgłębiać tajniki turntablismu, miksu i realizacji nagrań w studiu.

Sprzęt jest jednak drogi, a potrzeba matką wynalazku. Human beatbox to kolejna gałąź warsztatów. Tu mentorami byli Tik Tak i Andy. Oprócz mniej lub bardziej typowych technik w tej dziedzinie i pewnego rysu historycznego mogliśmy poznać budowę układu mowę oraz dowiedzieć się, jak zabezpieczyć się przed jego urazami lub też skonsultować się w sprawach emisji głosu z ekspertem teatralnym tej dziedzinie.

Inną atrakcją było seminarium prowadzone przez Druha Sławka. Żądni wiedzy mogli posłuchać o historii i ewolucji hip-hopu oraz muzyki nowoczesnej w ogóle. Nie była to tylko wiedza teoretyczna, bo nacisk kładziono na kreatywność, którą można przecież później wykorzystać.

A zwycięzcą został...

Gala nagród została zorganizowana w gdańskim „Uchu" 30 czerwca. „Bruk Awards" uświetniły występy wykonawców z krajów ościennych. Byli to Krow (Białoruś), Le Krook (Rosja), DBS (Czechy) oraz polskie gwiazdy – Jamal i DonGuralEsko. Przejdźmy do wyróżnień. Bruk Theatre Award powędrował do Teatru Dramatycznego z Białegostoku za przedstawienie „Morosophus". Nagrodę publiczności dostał poznański Teatr Zakręconego Tańca za „Kontrasty". Nagrodę Bruk Independent Film otrzymał głosami widowni film „Pajęczyna szczęścia" Piotra Kielara. Bruk Video Award natomiast zdobył teledysk „12 ławek". Kolejne trzy Bruk Awards powędrowały kolejno do: DJ'a Eproma (Best DJ Award), Jamala (Objawienie Roku) i DonGuralEsko (Płyta Roku „Drewnianej małpy rock").

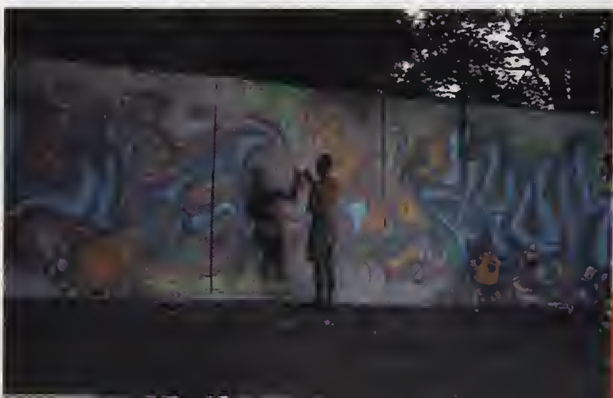
Battle

Także ci, którzy w tym czasie byli gotowi na bitwę, mieli na Bruku swoje 5 minut. Batteli odbywały się w kategoriach: freestyle, beatbox, taniec i DJ'ka. We freestyle'u zwycięzcą został Bośniak z Gdańska przed swoim krajanem Rakiem. „Na pudle" znaleźli się też Puoć (Dziekanów) i Tomasina (znowu Gdańsk). Beatbox z kolei zdominował Ślązak – Quanti z Żor, za którego plecami zostali Waldi (Łódź) i CD Base (Gdynia). Bezkonkurencyjny okazał się także Tao (Gdynia) w kategori Bruk Dance Battle. Wyprzedził on Karolinę Getdon (Kwidzyń) i Angelikę Łaboszczak (Gdynia). Wśród adeptów turntablismu zwyciężył Falcon (Szczecin) przed Dem-G (Gdańsk) i Freshem (Gdynia).









EUROPEJSKIE DNI SZTUKI Festiwal





LUPE FIASCO

BEZ FIASKA, ZA TO POD LUPĄ

Na początku fiasko goniło fiasko. Teraz mamy zamieszanie, komplementy i wielkie oczekiwanie na niemal pewny sukces. Weźmy pod lupę jednego z gorętszych obecnie graczy na scenie

tekst Marcin Flint (CS)

NIE DRĘCZ PSA

Prosta zasada dręczenia psa: dać i zabrać. Los dał Lupe'owi uzdolnionego muzycznie ojca i dom w mieście, gdzie czarna muzyka jest jak świętość. Musiał go jednak dzielić z ośmioma młodszymi braćmi. Jay-Z dał mu poparcie, kilka lat temu wychwalając w „The Source" sposób, w jaki operuje słowem. Ostatecznie nie załatwił mu kontraktu i pozwolił nauczyć się, że wytwórnie traktują nowe twarze jak gówno, nie dając im wpływać na cokolwiek. Kanye West dał mu rozgłos. Bez rozgłosu nikogo nie zainteresowałby standardowy wyciek niedokończonej płyty, która w tym wypadku omal nie została zdjęta z planów wydawniczych. Teraz Lupe Fiasco da światu siebie, a ten zamerda ogonem. „Bystry, pełen pomysłów i wdzięku, z wielkim sercem", pisze o młodym MC Tom Breihan z „Village Voice", dodając, że co mocniejsze z jego wejść przypominają Juelza Santanę po tajemniczym laboratoryjnym wypadku, wynikiem którego członek Diplomats stałby się pięćdziesięciokrotnie mądrzejszy. Zwraca też uwagę na świetne ucho do refrenów i nieprawdopodobne oko do detalu. Na to nie ma kagańca.

MŁODSZY BRAT KWELIEGO?

Niektórzy wołają „nowy Common"... Eee tam. Fiasco ma w sobie wszystko to, za co pokochano kiedyś Taliba Kweliego – na wstępie ciepło i dojrzałość, zaraz potem brak strachu przed wszechobecną melodią: we własnym flow, w występach zapraszanych wokalistów, a także w nieco niedzisiejszych, dobieranych przez siebie beatach. Lupe z podobną łatwością bierze się za trudne tematy. Tworzy rap, w którym getta spotykają się z przedmieściami, co Kweliemu wyszło tylko częściowo. Warto spojrzeć, jak złożone, a zarazem czytelne i obrazowe metafory buduje ten raper. Wyciek swojej płyty porównuje do odsłonięcia Statuy Wolności w trakcie jej budowy, kiedy to widać, że ma coś trzymać w ręku, ale nie ma w niej jeszcze pochodni, więc równie dobrze można tam włożyć cokolwiek. Z tym że to właśnie pochodnia daje przedsięwzięciu moc i sens.

Gdy padają zarzuty, że Fiasco za bardzo przypomina Jaya-Z, ten sięga po odwołanie do malarzy żmudnie kopiujących sztuczki mistrzów po to, by dążyć do warsztatowej perfekcji i dorzuca, że ostatnim oryginalnym mc, jakiego słyszał, był... DMX. Bez żenady przyznaje, że sam brzmiał jak Ice Cube, potem jak Ghostface, jeszcze później jak Biggie. W „Touch The Sky", czwartym i ważnym dla bohatera artykułu singlu z drugiej płyty Kanye Westa, stwierdza autotematycznie, że „Lupe kradnie jak Lupin trzeci", fikcyjny potomek słynnego francuskiego włamywacza-gentlemana Arsene'a Lupina. Taki to już złodziejski fach – kradł patenty, opierał się o cudze style, by pojechać na trąbkach ukradzionych Curtisowi Mayfieldowi przez Just Blaze'a i w efekcie ukraść numer samemu Kanye. O wszystkim tym szczerze nawija, bo prawdę ceni sobie szczególnie mocno. „I'm not lyin' when I'm layin' on the beat" mogłoby stanowić motto. Jeśli ktoś chce się czepiać, niech posłucha „Switch" z drugiej części popularnej w Stanach serii mixtape'ów Fahrenheit 1:15. Kilkanaście pożyczonych flow przynosi tu zajebiste dywidendy wypłacane prosto w uszy słuchaczy.

WARSTWY

Mniejsza o formę, kiedy treść podaje się tak, że trafia do każdego. Weźmy np. politykę. Najmniej wymagającym wystarczy „Fuck Bush" wywrzeszczane przez Lupe na wielkim koncercie. Rozkminiacze będą ślęczeć nad metaforą, w której amerykańska demokracja porównana jest do flirtowania w minispódniczce prowadzącego do "ręcznej roboty" zakończonej wytryskiem teksańskiej herbaty. Wniosek wypływa co prawda ten sam, ale jakże inaczej podany... Singlowe "Kick Push" to dla zwykłego zioma po prostu kawałek o deskorolce, dla jego panny - romans, dla jej rodziców zaś bunt przeciw systemowi nakazów i norm oraz instrukcja jak przeżyć z poczuciem odosobnienia. Psychopatyczni dziennikarze odnajdą rzekome nawiązania do narkotyków.

Tytuł wyczekiwanej długo płyty „Food And Liquor" odnosi się do specyficznej dla Chicago nazwy narożnych sklepów na ulicach. One Lupe'a ukształtowały i im chce on oddać szacunek. Dla ciekawskich jest też jednak (usilny, ale niech będzie) podtekst islamski i świat postrzegany jak spożywczak, gdzie dobro (Food) i zło (Liquor) stoi obok siebie na półce. „Zwykłem nienawidzić hip-hopu, ponieważ degradował kobiety" – rymuje, zjednując sobie z pewnością studentki na kampusach. „Ale Too Short mnie rozbawił, więc puszczałem go i byłem hipokrytą", kończy wers, kupując dla odmiany kolesi na zachodnim wybrzeżu. Już rozumiecie, jak na jednym albumie można mieć poetycką Jill Scott i hustlerów z Three Six Mafii? Ta twórczość ma warstwy, jej autor również.

MÓWIĆ I SŁUCHAĆ

Idealista i sumienie hip-hopu, Davey D, usłyszał od Lupe'a to, co zawsze chce od raperów usłyszeć: historie o ludobójstwach i porwaniach dzieci w Ugandzie, pełne szacunku dygresje o jazzowej i bluesowej spuściźnie Chicago jako punkcie wyjścia dla twórczości (bo ponoć z jazzowego podejścia do tworzenia wynika pozostawiana przez autora swoboda w tropieniu wątków i interpertacji). Organizatorka festiwalu w Brooklynie usłyszała dla odmiany o tym, jak nieśmiały Lupe panikował i palił się przy podrywaniu dziewczyn, co idealnie trafiało w rozterki jej młodych odbiorców i kazało zwerbować go za wszelką cenę. Zwykli fani hip-hopu usłyszą dobry (może w wypadku wersji, która wyciekła, nudny nieco i wymagający oswojenia się, ale co tam...) hip-hop, bo to jeden z tych, co „mogą być doktorem i nie robić z siebie durnia". Póki co, Lupe'a Fiasco kochają wszyscy. Prawie... Kalifornijskie Ice Cream Skate Team za „Kick Push" jedzie mu akurat od pozerów. Sam zainteresowany średnio się tym przejmuje twierdząc, że nie jest zajebistym skaterem, ale jest zajebistym raperem i cały koncept wziął się z historii białego dzieciaka pracującego za ladą w chicagowskim skateshopie „Uprising". Raper musi umieć gadać. Ale przede wszystkim słuchać.

ROAD TRIP'S OVER

PUNK ROCKOWI ROMANTYCY



Czyżby coś drgnęło w melodyjnym punk rocku made in Poland? Po goszczących już na ślizgowych łamach „Kalifornijczykach" z Krakowa, czyli grupie CF98, kolejny rodzimy zespół trudniący się melopunkowym czadem szykuje swój płytowy debiut. Albumu „Romance on the Phone" szczecińskiego tria Road Trip's Over wypatrujcie w połowie sierpnia, a już teraz zapraszam do lektury wywiadu z Maćkiem, który w RTO obsługuje struny gitary elektrycznej, jak i te głosowe

rozmawiał Sebastian Rerak

Kiedy i w jakich okolicznościach powstało Road Trip's Over?

Każdy z nas grał już wcześniej w różnych zespołach, ale wszyscy słuchaliśmy podobnej muzyki. Pewnego dnia padła idea stworzenia luźnej kapelki, w której moglibyśmy odreagować to, czym zajmowaliśmy się do tamtej pory. I tak w wakacje 2004 roku zaczęliśmy odbywać pierwsze próby, grając wesołe i proste rock'n'rollowe dźwięki. Z czasem styl muzyki zbliżył się do skate punka, który nas najbardziej kręci. Nasz repertuar był z kolei coraz lepszy, stwierdziliśmy więc, że przyszła pora, by pokazać się publice. Sceniczny debiut Road Trip's Over miał miejsce na największej nielegalnej imprezie w Polsce, odbywającej się pod hasłem „Bunkry dla bunkrowców". Nagraliśmy też demo, krążące nadal po necie, a obecnie ukończyliśmy prace nad pierwszą płytą, „Romance on the Phone".

Jeszcze dwa lata temu zapytany o inspiracje wymieniałeś zespoły z Epitaph i Fat Wreck Chords. To oczywiście bardzo zacne wytwórnie, ale dziś nie ograniczacie się już chyba tylko do brzmień dla nich charakterystycznych?

Broń Boże! Nie zamykamy się w jednym gatunku. Interesują nas dźwięki, które mają coś w sobie, dlatego lubimy zarówno Oasis, The Killers, Turbonegro i Beastie Boys, jak i artystów z kręgu elektroniki, takich jak Air czy DJ Shadow. Grając muzykę, trzeba być otwartym na pełną jej gamę i wszelkie nowinki. Poza tym, nie ma złej muzyki, są tylko źli wykonawcy.

OK, nie wnikajmy, kto należy do grona złych wykonawców. Generalnie kojarzeni jesteście jednak z melodyjnym, „kalifornijskim" punk rockiem. To przeszkadza czy pomaga?

Szufladkowanie nam nie przeszkadza. Mało znany zespół musi być jakoś podpisany na plakacie, żeby potencjalny widz wiedział, czego oczekiwać po koncercie. Coraz rzadziej bywamy już w jakiś sposób określani, bo i ludziom brakuje pomysłu na etykietkę dla naszej muzyki. Na pewno nie gramy metalu ani disco. Myślę, że wypracowaliśmy charakterystyczny styl, który opiera się na podstawowych emocjach kierujących naszym życiem. Zbyt wielu ma opory przed uzewnętrznianiem uczuć, wstydzi się powiedzieć: „Tak, jestem zakochany" albo „Jest mi źle".

Wybraliście romantyczny tytuł dla swojej płyty, więc chyba emocje, o których mówisz, są jej swoistym lejtmotywem?

Można powiedzieć, że jesteśmy punkrockowymi romantykami. Niemal każdy był kiedyś daleko od swojej dziewczyny, a jedyną drogą komunikacji był SMS lub rozmowa przez telefon. Takie rozłąki często kończą się nieszczęśliwie. Zresztą „Romance on the Phone" to dobry tytuł dla płyty. Jest niezłą zapowiedzią tego, co można na niej znaleźć.

Nagrywać zaczęliście jeszcze w listopadzie zeszłego roku. Nie udało się Wam zarejestrować wszystkiego z marszu?

Nie, ponieważ realizacją nagrań zajmowaliśmy się sami, praktycznie montując studio nagraniowe. Cały materiał jest więc tym bardziej naszym dziełem. Nikt nie stał nad nami i nie narzucał żadnych zmian. Nawet wytwórnia Jimmy Jazz Records dała nam wolną rękę. Fajnie jest grać to, na co się ma ochotę, a jeszcze fajniej jest, kiedy inni doceniają tę szczerość.

Nawet Wasz wydawca podkreśla, że publika Road Trip's Over rekrutuje się głównie z nastolatków. Wy już wiek nastoletni przekroczyliście, ale nie pomylę się chyba, jeśli powiem, że trafiacie do młodych ludzi, bo i Wasza muzyka jest bardzo młodzieńcza?

Nasza muzyka adresowana jest do ludzi młodych duchem, niezależnie od tego, czy mają lat kilkanaście, czy dwadzieścia parę. Na naszych koncertach można spotkać ludzi w różnym wieku, którzy przychodzą nie tylko posłuchać muzyki, ale i otrzymać zastrzyk energii. Nie zależy nam na tym, żeby wychodzić na scenę w roli gwiazdy, ale aby publiczność tworzyła koncert razem z nami. Czasami mam wrażenie, że to ludzie grają koncert dla nas, a nie my dla nich.

A czy to nie z myślą o tej młodocianej publice zdecydowaliście się na taką, a nie inną datę premiery płyty? Ot, taki prezent na otarcie łez po kończących się wakacjach...

Na pewno data premiery płyty nie została ustanowiona z myślą o emerytkach (śmiech). Chociaż z chęcią zobaczyłbym takie „pogo" na naszym koncercie.

Wszystko przed Wami. Czy wraz z wydaniem albumu planujecie jakąś wzmożoną aktywność koncertową?

Na wrzesień planowana jest ogólnopolska trasa. Będziemy starali się dotrzeć także do mniejszych miast, żeby jak najwięcej osób miało okazję zobaczyć nas na żywo. Odbędzie się też parę koncertów w radiach, mamy zamiar przygotować także dwa teledyski promujące album.

W jednym z wywiadów mówiłeś o tym, jak ważne jest wykształcenie. Widać, że świat nie kończy się dla Was na gitarach i bębnach?

Po zejściu ze sceny życie toczy się dalej. W chwili obecnej stawiamy wszystko na jedną kartę, ale muzyka nie powinna stać na drodze troski o przyszłość. Dobrze jest wyróżniać się z tłumu, jeżeli sami sobie tym nie szkodzimy. Każdy ma swój plan na życie, który mniej lub bardziej konsekwentnie realizuje.

Zechciej jeszcze opowiedzieć o innym projekcie, w jaki jesteście zaangażowani – grupie o wstrząsającej nazwie Cekinowy Mrok.

Cekinowy Mrok to wielka zabawa w kowbojów. Ten zespół powstał z zamiarem zagrania jednego koncertu, a ma już ich na koncie znacznie więcej. Na scenie mamy pistolety przytwierdzone do pasa, a zamiast bejsbolówek zakładamy kapelusze. Muzycznie i tekstowo to country z przymrużeniem oka. Wszyscy chłopcy chcieliby być kowbojami, a my już nimi jesteśmy (śmiech).



Gdyby w Sevres po Paryżem chciano umieścić wzorzec solidnej grupy rapowej, bostoński duet 7L & Esoteric nadawałby się doskonale. Trudno się nimi zachwycać, nikt nie powie, że są muzyczną rewolucją, w rokrocznych podsumowaniach konsekwentnie pomija się ich płyty. Ale to porządna firma – 10 lat w grze bez słabego numeru w dyskografii wystarczy za argument

7L & ESOTERIC

WZÓR SOLIDNOŚCI

tekst Hadero

Spójrzcie jednak na fotkę chłopaków. Esoteric (niegdyś zwany również Seamus The God Awful) wygląda jak wypieszczony studencik. Tak jakby w przerwie zajęć na Boston University wyskoczył do czytelni wertować encyklopedię – i akurat złapano go na sesję fotograficzną. Ba, na okładce nowego singla „A New Dope" z włosami na żel i tłustym brzuchem wyszedł jeszcze śmieszniej. Dajcie mu jednak chwilę na złapanie oddechu, a wszelkie żarty się skończą. Jadowity flow, mocne słowa, rymy nasączone agresywnymi groźbami – Eso to mistrz tego stylu. Hip-hopowa buta nie kończy się u niego na zwykłej pewności siebie, tu mamy jeszcze poniżenie rywala, zrównanie go z gruntem, liryczny mord.

A 7L? Zwykle schowany przed kamerami, jakby w cieniu mc. Ale chwila, to przecież najlepszy DJ Bostonu ostatnich dwóch lat (a pamiętajmy, że w mieście Celtów rezydują jeszcze Edan i Fakts One), w dodatku jeden z lepszych beatmakerów na wschodzie, przywiązany do boom bapu jak Balcerowicz do fotela prezesa NBP. Że co proszę? Obydwaj biali jak młynarze? I cóż z tego? „Musieliśmy tylko ciężej pracować na szacunek, biorąc po uwagę to, ilu kiepskich białych raperów pojawia się i znika ze sceny. Ale tym bardziej doceniamy nasz wysiłek" – odpowiada Esoteric. Pasują do siebie idealnie, niczym najlepsze duety mc i producent. Nietrudno natrafić w prasie na określenia w rodzaju „biały odpowiednik Gang Starra".

I coś w tym jest: 7L pytany o swą ponadczasową inspirację, bez wahania mówi o bitach Preemo. Słychać to zwłaszcza na pierwszych płytach: bostończyk ma mocne bębny, dynamiczne, krótko cięte sample, pełno ostrych cutów w refrenach. Oczywiście Esotericowi do Guru brakuje sporo, zwłaszcza w kwestii głosu. Nawet fani duetu narzekają na ciężkostrawne brzmienie białasa. Nie bójcie się jednak, wystarczy odrobina otwartości, a szybko przestanie was to dręczyć. Barwa rapera to bowiem spotkanie skrzeczącego Big L'a z wczesnym O.C., a niejeden dopatrzyłby się podobieństw do Inspectah Decka. Wadę wymowy też mu szybko wybaczycie, tę przypadłość równoważy bowiem powalająca technika – sześć rymów w dwóch wersach to niemal standard.

Moglibyście się jeszcze przyczepić do monotematyczności tekstów: to właściwie niewiele więcej niż „surowy battle rap". Moglibyście, ale sprawa znów nie jest taka prosta. Oddajmy głos Eso: „Włącz klasyczne krążki rapu. Co usłyszysz? Pokaż mi, gdzie w tym przekaz?" Ej, a co z Public Enemy? A Boogie Down? Spokojnie, Eso szybko dodaje: „Najlepiej, jeśli potrafisz połączyć obydwie te umiejętności – mądry tekst i zabawę słowem. I to właśnie próbujemy robić w niektórych kawałkach." Sprawdźcie choćby „Word Association" – to wizyta u psychiatry i badanie metodą skojarzeń, przy okazji seria przebiegłych gier słownych. W „Jealous Over Nothing" Eso dzwoni do swej ex opowiadając o nowej dziewczynie. My od początku wiemy, że to fikcja, a finał i tak zaskakuje. Do myślenia daje „Terrorist Cell", napisane z pozycji terrorysty-pilota wsiadającego do samolotu dnia 11 września 2001. A jest tego więcej.

Najlepszy album grupy? Trudne pytanie. Debiutancki „Soul Purpose" (2001), poprzedzony wieloma singlami i EP-ką „Speaking Real Words", zdefiniował styl duetu, dał dużo, jeśli chodzi o promocję, pozwolił na dobre wpisać się w elitę undergroundowej sceny. „Dangerous Connection" to dla wielu faworyt, zupełnie na przekór „syndromowi drugiego albumu", choć fakt faktem, że płyta to miejscami za ciężka. Trzeci longplay, „DC2: Bars Of Death" jest pod tym względem bardziej przystępny, Esoteric przestał się tak bardzo spinać, miejscami złagodził flow, wzbogacił tematykę tekstów, kawałki są zróżnicowane, goście dobrani jak zawsze bezbłędnie.

„A New Dope", jeszcze pachnący tłocznią krążek duetu, to bardzo odważny krok. Okładka (wzorowana na pop-artowym plakacie autorstwa Warhola i Basquiata z 1985 roku) nie wygląda może zbyt zachęcająco, a zawartość zaskoczy dotychczasowych fanów. „Po wydaniu DC2 zaczęło nas nudzić nasze własne brzmienie. Czułem się, jakbym stał miejscu. Zamiast rozwijać się – jedynie trwał. Zmęczyło mnie czytanie takich samych recenzji naszych płyt", tłumaczył Eso przed premierą. Mamy więc album zaskakujący, produkcja ucieka chwilami w kierunku nowego brzmienia hip-hopu z Wysp Brytyjskich, kilka znajomych sampli, łagodniejsze bębny. Mamy niewątpliwy dowód rozwoju Esoterica, który pokazał, że oprócz rzucania przechwałek i gróźb potrafi błysnąć dowcipem, dotrzymać tempa Kool Keithowi w szaleńczym „Daisycutta" czy porwać parkiety w klubowym „Eso Ain't Shit".

Nie powinniśmy zapomnieć o koneksjach grupy. W końcu członkostwa w supergrupie Demigodz nie zyskuje się przypadkowo. By dobrze brzmieć w towarzystwie Apathy czy Celph Titled, przyda się coś więcej niż niezłe skillsy. Mamy też kilkunastoosobowy kolektyw Army Of The Pharoahs, kolaborację 7L & Eso z wariatami z Jedi Mind Tricks wzbogaconą o Virtuoso, Chiefa Kamachi, Apathy, Celph Titled i sześciu mniej znanych raperów. Tegoroczny album „The Torture Papers" to rzecz mocna i groźna, może nawet za bardzo, by przez nią przebrnąć za jednym razem.

Druga strona medalu to głośne beefy duetu – z labelem Definitive Jux i nowojorską kliką The Weathermen. Zaczęło się od przepychanki z Cage'em, następnie zahaczono Copywrite'a, a po drodze wmieszali się jeszcze El-P z Vast Aire'em. Konflikt trwał okrągły rok, podkręcały go wzajemne dissy, plotki, rękoczyny. Dziś to już przebrzmiała historia. Zostały po niej trzy powalające kawałki bohaterów artykułu i ogólna zgoda co do ich zwycięstwa. A że na YouTube.com znajdziecie video z bitwy Skribble Jam AD 2000, gdzie ten sam Esoteric łapie się za głowę po odpowiedzi Sage'a Francisa, zaś prowadzący battle nawet nie pyta publiki o werdykt? Cóż, jakaś hierarchia w końcu obowiązuje, nie?

No i mamy w Polsce kolejny rapowy konflikt. Po beefie Mesa i Numera z Mezem oraz ciągnącym się w nieskończoność pojedynku Piha z Dużym Pe za mikrofony sięgnęli Tede i Płomień 81. Żeby było ciekawiej, konflikt z TDF'em wszczął też Nowator. W tym artykule przedstawimy stanowiska zaangażowanych w całą sprawę. Uważajcie, bo wasze membrany rozpalą się od gorących wersów

tekst Bartek Skolasiński (dill-o)
foto Zibi Niedziałek (Tede),
Wojtek Antonów (Onar)

TEDE

Dla Tedego geneza tego beefu jest prosta: „Jestem przekonany, że zwrotka Onara w kawałku numer jedenaście z płyty Płomienia („Co Jest" – przyp. red.) jest do mnie". Najciekawszy w tym wszystkim jest fakt, że raper poparł to testami. „Dziewięć na dziesięć osób, którym to puściłem, uważa tak samo". Tedunio zdecydował się na odpowiedź na swojej płycie w numerze „Zamknij pysk".
Po nagraniu kawałka przez Płomień i odpowiedzi Tedego, swój diss nagrał Nowator, który twierdzi, że ma z nim oddzielny beef. Tede: „Nowator się spiął, bo nazwałem go 'Nowaturem' w skicie przed tym kawałkiem".

Tydzień po rozpoczęciu beefu do sieci trafiło w sumie pięć numerów, które sprawiły, że konflikt przybrał na sile. Jednak Tede ma do niego zdrowe podejście: „Ja traktuję ten cały beef na zasadzie sportowej rywalizacji". Ale do kawałków poszczególnych przeciwników odnosi się różnie: „Numer Płomienia jest spoko, z tym że gdyby nie Pezet, to nie byłoby eskalacji problemu." Co zaś do utworów Nowatora, to sprawa jest jasna: „Śmiałem się, jak słuchałem jego kawałków". Odpowiedź na pierwszy diss rapera ze stajni Cameya zajęła Tedemu sześć godzin, bo – jak mówi – musiał jeszcze pojechać do studia i go zmiksować: „Mix i wstawienie na serwer zajęło mi więcej czasu niż samo napisanie i nagranie."

Zarzuty odnośnie prowadzenia beefu przez Internet w przypadku Tedego wydają się nietrafione, chociażby dlatego, że płyty z dissem na Płomień były rozdawane na koncercie przed wstawieniem kawałka na serwer rapgra.com i stronę www.wielkiejol.com. „Rozdaliśmy w sumie sto sztuk", mówi Tede i zaraz potem dodaje: „Jakbym miał prowadzić ten beef? W Polsce nie ma przecież rynku mixtape'ów, a jak są, to na torrentach." W Internecie pojawiają się także opinie, że tracki Tedego są kompletnie pozbawione mocnych linijek, które mogłyby postawić kropkę nad „i", jednoznacznie wskazując, kto ma silniejsze argumenty. „Jakie haki mają być na Onara? Przecież on teraz jest chłopaczyną z podwórka, a dwa lata temu latał z szampanem i miał być na HaKa" (Hardkorowa Komercja – przyp. red.).

Tede uważa również, że przeciwnicy stosują zbyt oczywiste chwyty: „Jakie są argumenty z ich strony? To, że nagrałem kawałek z Natalią? Jak może to mówić ktoś, kto zrobił kawałek z Sidneyem Polakiem..." Co ciekawe, Tede wciąż nie przekreśla możliwości nagrania wspólnego kawałka z Pezetem. Okazuje się nawet, że propozycja miała paść przy okazji „Esende Mylffon". „Pezeta nie ma na płycie, bo uznałem, że jak z nim nagram kawałek i na tej samej płycie będzie 'Zamknij Pysk', to dopiero będzie chujowa akcja. Ale nie przekreślam sprawy i gram w otwarte karty". Dziwne wydaje się dla niego też to, że Onar krytykuje go za grę w „Kryminalnych". „Czy jakbym dostał więcej hajsu, to zagrałbym policjanta? Jak ktoś nie odróżnia fikcji od rzeczywistości, to sorry..."

Co zaś do argumentów Nowatora, Tedunio również stawia sprawę jasno. „On ma swoje argumenty, ale jak wszedł na scenę na koncercie RMF Maxxx, to go wygwizdali, a potem w hotelu nas przepraszał." Tede podkreśla też, że jest gotowy do nagrywania kolejnych dissów: „Teraz jadę nad morze promować płytę, a tam zawsze się studio znajdzie. Będziemy grali koncert z Natalią (Kukulską – przyp. red.) i jakby co, to zaproponuję jej, aby się przyłączyła."

PŁOMIEŃ 81

„Tede uważa, że ja go zdissowałem na naszej nowej płycie, a nasza wersja jest taka, że tego dissu tam nie było. Wyciągając pojedyncze słowa z kontekstu, można to do każdego dopisać", twierdzi Onar. Natomiast powód, dla którego w beef włączył się Pezet, jest prosty: „Przede wszystkim chodzi o skit przed kawałkiem TDF'a (można go usłyszeć w wersji internetowej „Esende Mylffon" – przyp. red.). On się tyczy tak samo mnie jak i Onara, skoro Staszek specjalnie przekręca nazwę grupy porównując nas do 18L."

Pezet uważa również, że gdyby rzeczywiście Tede czuł się urażony, to mógł zareagować wcześniej: „Tak naprawdę robi tym szum wokół swojej płyty". Onar dodaje: „Gdybym miał do niego jakiś problem, to pojechał bym mu po jego ksywce, a nie zrobiłem tego." Co do zamieszania w cały konflikt Nowatora, to – jak twierdzi Pezet – zupełnie inna bajka.

Diss poszedł w świat i wszyscy wiedzieli, że Onar odpowiedział na zarzuty Tedego, jednak gościnny udział Pezeta wydał się dla wielu ludzi niezrozumiały. „To nie było tak, że ja poszedłem do Pezeta i powiedziałem 'napisz mi panczlajny, bo Jacek (Tede – przyp. red.) mnie zdissował'. To jest po prostu kwestia tego, z kim się trzymasz", twierdzi Onar. Uważa on również, że tym kawałkiem udało się zdjąć Tedego z piedestału nieskazitelności. „On był w jakiś sposób nietykalny, jeszcze po bitwie płockiej urósł do rangi nie wiadomo kogo."



Co ciekawe, o ile Tede nie powstrzymał się od oceny kawałków przeciwników, chłopaki z Płomienia są dalecy od tego, aby wydawać jakiekolwiek osądy. „Słuchacze są od tego, żeby je oceniać", uważa Pezet. Zaraz później Onar podchwytuje temat: „Nie jesteśmy po to, żeby oceniać kawałki, tylko rozkręcać beef i nagrywać na siebie coraz lepsze numery". Zarzuty o to, że Onar miał być jedną z głównych postaci na Hardkorowej Komercji, a teraz jego image jest bliższy chłopaka z bloku, odpiera słowami: „Byłem wtedy młody, miałem swoje jazdy, a on nigdy nie był z osiedla".

Traktowanie tego konfliktu na zasadzie zdrowej rywalizacji jest dla niego oczywiste. „Tutaj chodzi o to, żeby traktować to jako rozwojową akcję dla nas i polskiego hip-hopu". Pezet odnosi się do tego nieco inaczej: „On mnie jakoś w tych kawałkach specjalnie nie ciśnie. To jest raczej zaczepka w stylu 'Pezet, mieliśmy nagrać wspólny kawałek, a teraz mnie dissujesz', ale z drugiej strony go rozumiem." Teraz dla Pezeta opcja wspólnego kawałka z TDF'em jest niemożliwa. „Uważam, że zachował się nie w porządku. Chciałem z nim zrobić numer, ale w zaistniałej sytuacji to byłoby nie na miejscu."

Kronika konfliktu:

1. Płomień 81 – „Co jest?"
2. Tede – „Zamknij pysk"
3. Płomień 81 – „Powiem na osiedlu"
4. Tede – „Sześćdziesiątkaósemka"
5. Nowator – „Usiądź jak stoisz"
6. Tede – „69"
7. Nowator – „Przed czasem"
8. Płomień 81 – „Knebel w pysk"
9. Tede – „3 korony"

Panowie również skutecznie odpierają zarzuty o prowadzenie beefu prze Internet. „Taka jest polityka, ludzie muszą wiedzieć, że odpowiedzieliśmy", mówi Pezet. Onar jednocześnie zapewnia, że nagrają kolejny diss: „Musimy mu pokazać, jak to naprawdę jest". Jednak, jak mówią, po nowym numerze temat jest dla nich skończony. „Ja nie mam zamiaru tym żyć, dla mnie to nie jest żadna frajda", twierdzi Pezet. Kiedy czytacie ten artykuł, w sieci pojawiła się już zapowiadana odpowiedź chłopaków zatytułowana „Knebel w pysk."

NOWATOR

Sytuacja Nowatora jest zupełnie inna. „U mnie to się kumulowało, bo ktoś do mnie zadzwonił i powiedział, że na nowej płycie Tedego jest gadka o mnie, a jeszcze wcześniej robili sobie jaja w Bezelach." Jak sam twierdzi, przyczyną ataków ze strony Tedego i Kołcza jest komercyjny charakter niektórych jego kawałków: „Im najbardziej chodzi o to, że nagrałem 'Moją Panienkę'". Jednocześnie Nowator zdaje sobie sprawę, że środowisko hip-hopowe go nie lubi: „Grono słuchaczy jest tego zdania, że Nowator to jest hip-hopolo, a ja powiedziałem 'A' 'Moją Panienką' i powiem 'B' numerem 'Przez Chwilę'. Mnie się to podoba."

Co do oceny poszczególnych tracków, jakie mogliśmy usłyszeć w obydwu beefach, to Nowator zdecydowanie opowiada się po stronie Płomienia: „Chłopaki już wygrali, zresztą ja też. Tede nie umie odpowiadać. Mój diss jest zrobiony na patentach, a nie na wyklnięciach." Co ciekawe, udział Pezeta w beefie Nowator odbiera pozytywnie. „Bardzo dobrze, że się dograł, tym bardziej, że potem też został zaatakowany. Powinien walnąć teraz taką zwrotkę, że rozpierdoli." Jednocześnie przekreśla jakiekolwiek związki z dissem Płomienia i zapewnia, że nie nagra wspólnego numeru z chłopakami z Ursynowa. „Ich beef to jest ich beef, a mój beef to jest mój beef."

Niektórzy twierdzą, że kawałkami na Tedego Nowator chce na siłę przekonać publiczność o tym, że jest hip-hopowy. „Ja niczego nie muszę udowadniać. Pierwszy nielegal nagrałem, jak miałem czternaście lat, słuchałem polskiego rapu, jak wychodziły pierwsze płyty." O ile Nowator nie jest dobrze odbierany przez słuchaczy, to środowisko artystów hip-hopowych pozytywnie zareagowało na jego odpowiedź. „Tede pewnie się zdziwił, że taki koleś jak ja mu odpowiedział. Wielu raperów i producentów z pierwszej ligi gratulowało mi i mówiło, że to dobrze, że się postawiłem." Diss został nagrany w cztery godziny, jednak trafił do Internetu dzień później. „Seba z hip-hop.pl miał wyłączność na ten diss. Mówił mi, że wstawi, ale wrzucił go dopiero na drugi dzień. Skoro było to z przyczyn technicznych, to spoko."

Odpowiadanie na ataki przeciwników drogą internetową nie stanowi dla niego problemu: „W ten sposób najszybciej można dojść do kawałków. Ponadto ludzie się tym jarają." Jednak osobisty charakter beefu to dla niego sprawa oczywista. „Mogłoby być tak, że ja swoje dissy wyślę Tedemu na maila i on to puści swoim ziomkom. Ja mogłem tego nie wrzucać na hip-hop.pl, ale to właśnie tam były umieszczane wszystkie te odpowiedzi."

Wszyscy już wiedzą, że Nowator ma beef z TDF'em, jednak w całość w pewnym sensie wmieszał się wspomniany już Kołcz. „On stwierdził, że wyzwałem go od pedałów, a przecież tam jest łapanie za słowa, bo na tym polega diss. Jak chce, to niech nagra na mnie numer." Okazuje się, że ziom Tedego zareagował jeszcze ostrzej, niż można by się tego było spodziewać: „Zadzwonił do mnie i powiedział, że mam wpierdol, nawyzywał moje miasto, a ja jestem związany z Opocznem i nagrywam rap dla nich. Poza tym, nie wiem, co go tak uraziło, nie dzwoniłem do niego i nie przepraszałem, tylko wspomniałem o tym w kawałku. Zresztą było sprostowanie, że tam wcale nie chodzi o niego, było złapanie za słowo i tyle."

„Sportowa" rywalizacja w przypadku tego beefu jest również oczywista dla Nowatora. „Jak najbardziej traktuję to na zasadzie sportowej rywalizacji, tylko żałuję, że Tede tak odpowiedział." Zapewnia też, że kolejnego dissu nie będzie. „Udowodniłem, że wygrałem."





NIE HIP-HOPOWA PIGUŁKA

JULIE DEXTER

Tym razem mam dla was szczególną gratkę w postaci świeżutkiego, zapewne pierwszego w polskiej prasie wywiadu z Julie Dexter, wspaniałą soulowo-jazzową wokalistką, o której talencie w samych superlatywach wyrażają się tacy twórcy jak Ursula Rucker, Bilal czy ?uestlove. Julie w niezwykle zmysłowy sposób miesza w swojej twórczości jazz, reggae, soul i nowe brzmienia. Przeczytajcie wywiad, a później koniecznie poszukajcie płyt „Dexterity", „Conscious" i epki „Piece of Mind". Zapewniam was – naprawdę warto.

tekst Andrzej Cała / „Machina"
foto archiwum artystki

Twoi rodzice pochodzą z Jamajki, Ty urodziłaś się już w Anglii, konkretnie w Birmingham. Obecnie mieszkasz z kolei w Atlancie. Trudno Ci zagrzać gdzieś miejsce na stałe? Wciąż szukasz tego swojego jedynego miejsca?

Wszystko po trochu. Chyba bardziej w życiu przywiązuję się do ludzi niż do miejsc. Takie już życie muzyka: często podróżujemy, mnóstwo dni w roku jesteśmy poza domem, a co za tym idzie, ma on dla nas relatywnie mniejsze znaczenie. Od dłuższego już czasu, jak powiedziałeś, mieszkam w Atlancie i jest mi tutaj bardzo dobrze, więc być może właśnie to będzie to miejsce...

W 1997 r. byłaś na koncercie w Polsce. Pamiętasz może coś z tej podróży, występu?

Szczerze mówiąc, nie. Byliśmy wtedy mnóstwo czasu w trasie, nie miałam okazji poznawać miejsc, w których graliśmy. Mam nadzieję, że nie rozczarowałam Cię?

Może trochę. Ale nie obrażę się, szczególnie jeśli obiecasz, że kiedyś to nadrobisz i zawitasz do Polski na trochę dłużej niż kilka godzin.

Nie mogę Ci tego obiecać, ale mam nadzieję, że rzeczywiście tak będzie.

We wspomnianym już 1997 r. zdobyłaś nagrodę dla najlepszej jazzowej artystki młodego pokolenia w Europie, rok później aż dwie prestiżowe nagrody Perrier Awards. Czy to były jak dotąd najpiękniejsze chwile w Twojej karierze?

Powiem inaczej. To było na pewno wspaniałą nagrodą za wszystkie lata pracy, wysiłek, jaki włożyłam, by wybić się na scenie muzycznej. Do takich wyróżnień zawsze wraca się z ogromną radością i dumą. Ale podobną satysfakcję przynosiło mi nagranie każdej płyty, koncerty, na których publiczność spontanicznie okazuje mi swój szacunek.

Bardzo wiele uwagi w tekstach przykładasz do anty-wojennego, pozytywnego przekazu, hołdującego życiu w oparciu o religijne zasady. Czy patrząc realnie widzisz szansę na taką zmianę podejścia ludzi na całym świecie, która umożliwiłaby wcielenie w życie tych postulatów, czy masz wrażenie, że to tylko utopijna wizja?

Czasem faktycznie trudno w to wierzyć, ale jestem bardzo wrażliwą osobą i zawsze mocno przeżywam widząc zło, ludzkie tragedie. Wiem doskonale, że nie zmienię całego świata swoją muzyką, ale chciałabym po prostu, żeby ludzie słuchający moich płyt zastanowili się chociaż przez chwilę nad swoim życiem, postępowaniem. Żeby nie szukali w chwilach zwątpienia łatwych rozwiązań, żeby odnaleźli czas na obcowanie z Bogiem i drugim człowiekiem. Wystarczy jeśli każdy z nas dołoży cegiełkę do lepszego jutra. A teraz sam sobie odpowiedz, czy to utopia, czy coś, w co warto wierzyć i wcielać w życie.

Zmieniemy na chwilę temat. Grałaś koncerty u boku wielu wspaniałych artystów soulowych i jazzowych, z kilkoma z nich nagrywałaś też wspólne kawałki. Czy ktoś z nich zajmuje szczególnie ważne miejsce w Twoim sercu, czy kogoś darzysz szczególnym szacunkiem?

To trudne pytanie i musiałabym chyba bardzo, bardzo długo odpowiadać. Na pewno wiele radości i satysfakcji dało mi obcowanie z IG Culture przy projekcie New Sector Movements, ogromnym szacunkiem darzę Fertile Ground i cieszę się, że dane nam było wspólnie pracować.

A jaki masz stosunek do hip-hopu? Współpracowałaś m.in. z Rodneyem P.

Owszem, mam za sobą kilka kolaboracji z twórcami rapowymi. Co mogę powiedzieć więcej? To wspaniała muzyka, jeśli łączy w sobie ciekawe brzmienie z mądrymi tekstami. Tacy ludzie jak Talib Kweli, Lauryn Hill, The Roots już zapisali się w historii muzyki i zawsze do ich płyt sięgam z wielką przyjemnością.

Kiedy będzie nam dane usłyszeć nowy album Julie Dexter?

Nie mogę jeszcze powiedzieć nic konkretnego. Pracuję nad kolejnymi nagraniami, piszę teksty, wymyślamy melodie. Mam to szczęście, że sama wydaję swoje albumy, nikt nie stoi nade mną z kalkulatorem i stoperem, odliczając dni, jakie mi zostały do wydania płyty i pieniądze, jakie mam zarobić dla firmy. To naprawdę duża wygoda.

Czyli jesteś zdecydowanym przeciwnikiem komercyjnych, dużych wytwórni, koncernów?

Jestem przeciw wszystkim, którzy muzykę postrzegają jako maszynkę do zarabiania pieniędzy i chcą wpływać na czyjąś twórczość.

Wiele osób tak mówiło, później jednak wybierało wygodę i stosunkowo większe pieniądze. Nie boisz się, że i Ciebie kiedyś może to skusić?

W żadnym wypadku. Dopóki będę tak mocno kochała muzykę, tak ogromne znaczenie przywiązywała do jej autentyzmu, przesłania, nie pozwolę sobie na kompromisy. Pieniądze to nie jest najważniejsza sprawa na świecie. A o popularności na szeroką skalę w ogóle nie marzę. Sam fakt, że moja muzyka trafia też do ludzi z Polski, jest wystarczającą satysfakcją.

Dziękuję zatem za rozmowę i mam nadzieję, że dzięki niej jeszcze kilka innych osób w moim kraju sięgnie po Twoje albumy. Czego Ci życzyć na koniec?

Słońca, zdrowia i znalezienia kartki, na której kilka godzin temu zaczęłam pisać kolejny tekst, bo gdzieś mi się zapodziała.





BITWA O ANGLIĘ vol. 13

LOTEK

Są ludzie, którzy mają tysiąc szalonych pomysłów, z tym że każdy jest gorszy od poprzedniego. Tak jest na przykład z burmistrzem Londynu, który wymienia piętrowce na zwykłe autobusy i wynajął sokoły do wypędzenia gołębi od zawsze stanowiących ożywiony element Trafalgar Square. Szczęśliwie tuż obok takich ludzi żyją inni, równie kreatywni, ale podążający w odpowiednim kierunku – taki jest Wayne „Lotek" Bennet, o którym będzie ta historia...

tekst Dominika Cess

Ten pół-Jamajczyk całe swoje życie związał z muzyką, a zaczynał od inżynierii dźwięku. Godzinami ślęczał za konsolą, podczas gdy po drugiej stronie szyby do mikrofonu wyli, pluli, a czasem nawet śpiewali artyści różnego formatu – od Petera Andre w czasach jego świetności, przez szerzej nieznane wokalistki jęczące slogany reklamowe, a na raperach pokroju Parta 2 kończąc. Praca ta jednak nie dawała mu stuprocentowej satysfakcji, zwłaszcza że od chwili, gdy zaczął świadomie słuchać muzyki, zakochał się bez pamięci w hip-hopie. Naturalny wydawał się więc krok naprzód i wyjście zza stołu mikserskiego. Z początku nieśmiało – wymienił go bowiem na gramofony, z których puszczał rap na imprezach. Potem zaczął coś kombinować z samplerami, aż wreszcie stanął z mikrofonem w świetle reflektorów...

Oczywiście pewnie do dziś byłby niezrealizowanym, sfrustrowanym mc, który w akcie zemsty wycisza cudze wokale w studio, gdyby nie Roots Manuva, którego już dobrze znamy. To on zaprosił Loteka do współpracy przy swoich płytach „Run Come Save Me" i „Brand New Second Hand", co dało Wayne'owi solidne wsparcie. Poza tym, Bennet postanowił swoją szansę wykorzystać tylko częściowo, oddając 2/3 swoim dobrym znajomym, a zarazem obiecującym artystom – Aureliusowi znanemu także jako Dazzla i Wayne'owi Paulowi, z którymi stworzył kolektyw Lotek Hi Fi. Pod tym szyldem panowie nagrali debiutancką epkę (o egzotycznej nazwie „Lotek Hi Fi") opartą na hip-hopie z silnymi wpływami brzmień jamajskich. Każdy z wymienionej trójki wpłynął na niesamowity klimat tego albumu. Teksty, style, rap przeplatający się z toastingiem czy wręcz z klasycznie reggae'owym śpiewem i podkłady czerpiące z rytmicznych rozwiązań garage'u wzbogacone o typowe dla rodaków Marleya instrumenty.

Ta recepta dobrze zadziałała także przy tworzeniu albumu „Mixed Blessings", który okazał się jeszcze bardziej eklektyczny. Przy czym z Lotekiem lepiej nie wdawać się w dyskusję na ten temat, gdyż jest on definicyjnym purystą, czy jakby to inni określili – czepliwym skurwysynem. Już wyjaśniam. Kiedy recenzenci zarzucają mu, że jego muzyka jest nazbyt różnorodna i stara się w niej mieszać za dużo rzeczy na raz, ma oczywiście gotową odpowiedź: „Hej! Przecież na tym polega hip-hop!". Kiedy ktoś nadużywa w jego towarzystwie określenia „urban music", może polać się krew. Ostatnio rykoszetem oberwała nawet Joss Stone, o której Wayne Bennet powiedział, że z definicji nie powinna otrzymać wyróżnienia w kategorii „urban music", bo Devon, z którego pochodzi, to nie jest żadna metropolia („urban" znaczy tyle, co „wielkomiejski"), chyba żeby za wyznacznik wielkości przyjąć natężenie ruchu traktorów w centrum...

Sami więc widzicie, iż jest to człowiek z misją. Oczywiście nie można mu odmówić talentu, zatem jeśli chcecie usłyszeć brit-hop, który nie wywodzi się z kręgów grime'u – ot, choćby w ramach odpoczynku w upalny dzień – warto zwrócić uwagę na tego typa i jego zespół. Może to przynieść wymierne korzyści naszemu krajowi. Lotek to typ, którego nie trzeba trzy razy namawiać, gdyż uwielbia jeździć „w ciemno" do różnych miejsc na świecie i nagrywać z podziemnymi artystami kameralne projekty...

NIELEGALE





PHHR
MADEINŁÓDŹ
WWW.PHHR.NET

Sławek kryjący się za Prokreacja Hip-hop Records wyraźnie nienawidzi nudy w beatach. Dominuje agresywna produkcja, oldschoolowe perkusje z przełamaniami rytmu, punktowy bas, krótkie, jadowite, wgryzające się w uszy sample. Nawet jeśli zdarzy się, że podkład płynie (jak u Spinacza), zaraz zaczynają się kombinacje i urozmaicenia. Niewątpliwie jest to własny styl. Sam autor twierdzi, iż jego płyta producencka to „w pewnej mierze przegląd sceny hip-hopowej w Łodzi". I rzeczywiście sporo mówi na temat tego, jak się tam żyje, więcej od wielu publikacji. Mamy dużo ciężkich zwrotek – Darno pozwala wyobrazić sobie, jak brzmiałby Kosi, gdyby żył w Łodzi, Tosa „robi raperom burdel z wyobraźni" w bezczelnym, prowokacyjnym i megalomańskim stylu (i budzi uznanie), panowie z NTK nie mają hamulców. Z wyjątkiem Entera, zapowiadającego się kiedyś na killera i wreszcie przypominającego o sobie, nie mają również wyczucia rytmu. Są utwory lajtowe, żartobliwe, z jajem – Kilo Skilu oraz przekonujący, szczery, optymistyczny jak zwykle Spinacz. Do wszystkich powinien trafić O.S.T.R. (dobra forma), Zeus i Joteste (bardzo zdolna ekipa od mixtape'u Pierwszy Milion), nie rozczarowują Hryta z Modrym oraz Wotum NSC. Ciekawie się to wszystko komponuje. Polecam.



TANDEMONIUM
RAZ
TANDEMONIUM@O2.PL

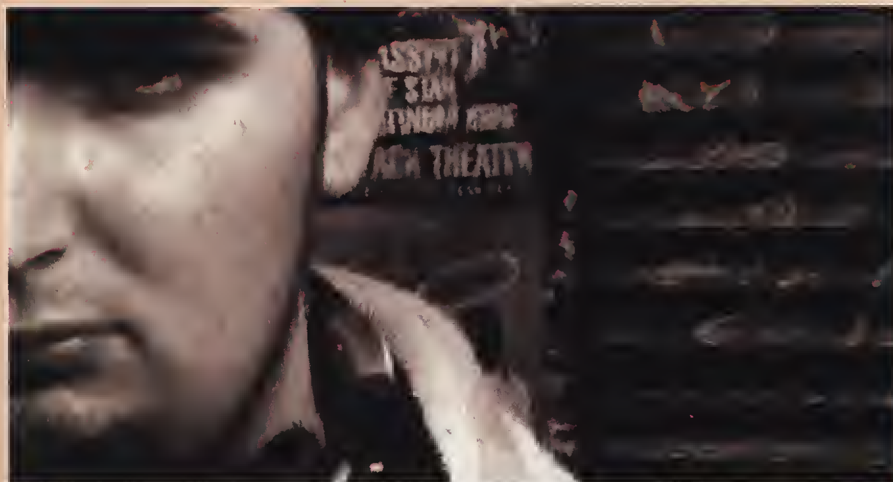
Trójmiejski duet (Dudas i 369) Tandemonium ma pewien poziom – wystarczający, żeby hejterzy mogli spierdalać, niewystarczający, by wbić się w głowę na dłużej. Sam podpada pod własną charakterystykę, bo ma wersy „zajebane rymami jak latem monciak ludźmi". Przy próbie poważniejszego numeru jak „Maski" słów jest tyle, że aż tracą znaczenie. Reszta jest raczej o niczym, a to jeszcze nie ten głos i nie ten flow, żeby tak sobie lecieć. Przy naprawdę mocnych, walących w mordę beatach takich jak w „Rap o rapie", „Zjazd do bazy" i obu wersjach „Niepotrzebne skreślić" panom zupełnie brakuje siły przebicia. Lepiej już jest przy pokombinowanej elektronice, a przy lżejszym, opartym o złamany rytm „Lekka ta przewózka" bywa wręcz zajebiście, bo flow wreszcie gra z podkładem. Ten utwór przesłuchajcie koniecznie.



ROJ$
PODAJ DALEJ EP
WWW.311.PL

Roj$ przypomina Pawła Janasa. Słabo dysponowany głosowo, sypiący czerstwymi żarcikami zabawnymi jedynie dla niego, a jeśli już komiczny, to niejako przypadkiem i w niezaplanowanych momentach (kiedy np. nawija, że „jak trzeba, to opierdoli" – co opierdoli, już nie wnikam), trzymający się swojego fachu dzięki protekcji. „Roj$ to dla mnie nie raper, tylko kolega Reno" – jeden z moich rozmówców ukradł mi podsumowanie. Z tym że Reno robi tu tylko część beatów, tradycyjnie – niezłych koncepcyjnie i kulawych brzmieniowo. Warto sprawdzić tylko po to, żeby przekonać się, jak bezczelny jest koleś, który podśmiewa się z Lerka, a we własnym „Lato w blokach" ma totalnie lerkowy refren. Słabe.

Flint



PRO-DUKCJA
KUT-O

Kut-O lat ma więcej niż naście, związany jest z Wrocławiem, a więcej niech powie wam jego dyskografia. 2002 – „Astigmatic" w RapTime Records; 2003 – „Test" w Blendzie; 2005 – obecność na mix cd „The Gravel Pit" wypuszczonym przez Gravel; 2006 – „Don't Fuck Wit Us b/w Money" w WaxWork Records... Trzeba mieć więcej niż po prostu talent, żeby Druh Sławek chciał wypuścić twój winyl, Kasta zabiegała o twoje beaty, a K-Otix i Mykill Miers zgadzali się na współpracę. Tym milej nam gościć Kut-O w „Pro-dukcji".

ankietował Flint

Najchętniej słucham: Złotej ery hip-hopu z lat 86-90.

Mój styl w jednym zdaniu: Boom Bap – Originoo Rap.

Stoję z boku, z dala od promocji i zamieszania, ponieważ: Liczę na dobry gust słuchaczy.

Najchętniej sampluję: Praktycznie wszystko, co mam pod ręka. Jedyny warunek – musi być wydane przed 1980 r.

Beaty oparte na pętlach to dla mnie: Wszystko zależy od pętli... Dobry loop równa się dobry beat, słaby loop równa się słaby beat.

Beaty, z których jestem najbardziej dumny: Jak Bambaataa, wciąż szukam doskonałego beatu.

Łączenie DJ'ingu i beatmakingu jest dla mnie: Bez wątpienia pogodzenie tych dwóch rzeczy okazało się dla mnie zbyt trudną sztuką, ale patrząc na chociażby DJ'a Revolution czy DJ'a Statica, jest to możliwe.

Tak chętnie współpracuję z zagranicznymi mc's, gdyż: mc's w Polsce nigdy nie osiągną tych samych umiejętności co raperzy z US. No, może z bardzo niewieloma wyjątkami.

Pierwsze co mówią zagraniczni mc, gdy zwraca się do nich polski producent, to: „Where the fuck is Poland?"

U polskich mc's najbardziej irytuje mnie: Brak trzech podstawowych rzeczy, które powinien posiadać dobry mc – flow, flow, flow.

„Żywe instrumenty" w hip-hopie to: Ciekawe urozmaicenie, z którego kiedyś chętnie skorzystam, jednak na razie tworzę tylko z samplami.

„Elektronika" w hip-hopie to: Przede wszystkim lata 80.: Mantronix, Bambaataa, Man Parrish, Planet Patrol, Jonzun Crew, Newcleus. W dzisiejszym rapie coraz częściej przypomina to już techno.

Moi trzej ukochani producenci to: Jest ich naprawdę wielu, m.in. Marley Marl, Eric B, Lord Finesse, Kutmasta Kurt, Mark The 45 King, Diamond D, Preemo, Large Professor, DJ Spinna, Grassroots, Pete Rock, Evidence, Buckwild...

Moi trzej znienawidzeni producenci to: Tych też jest naprawdę wielu, m.in. Kanye West, Lil' Jon, Scott Storch, Doniu, Swizz Beatz...

Hip-hop instrumentalny jest dla mnie: Najprościej ujmując, po prostu hip-hopem bez rapu.

Najbardziej chciałbym współpracować z: Mógłbym wymieniać tu bez końca, ale najbardziej to z trochę już zapomnianym, ale wciąż zajebistym Kool G Rapem.

Podstawowy grzech polskich producentów to: Może nie dotyczy to wszystkich, ale niektórzy nie powinni nawet myśleć o robieniu beatów.

Ludzie pytają, kiedy producencka, a ja odpowiadam: Nie tak prędko, przed albumem chciałbym wypuścić kilka „dwunastek".

O nowym brzmieniu z wysp brytyjskich mogę powiedzieć, że: Nie pasjonuję się tym za bardzo.

O tym, co dzieję się na południu USA, mogę powiedzieć, że: Zupełnie mnie nie interesuje.

Współczesny rap niemiecki odbieram jako: W większości nieudolną podróbkę amerykańskich hitów.

Raczej stare Death Row czy raczej obecne Stones Throw? Zdecydowanie stary Stones Throw.

Raczej stary Rawkus czy raczej obecne Quannum? Stary Rawkus i stare Quannum – wystarczy posłuchać płyt sprzed kilku lat i samemu sobie odpowiedzieć.

Mając beaty D.I.T.C. i Beatminerz wybieram: Obydwie ekipy robią produkcje na tak samo dobrym poziomie.

Mając beaty Ayatollaha i Easy Mo Bee wybieram: Teraz na pewno Ayatollah, „naście" lat temu EMB.

Mając beaty Frankie Cutlassa i M-Boogie wybieram: Frankie miał kilka fajnych produkcji, jednak nie tyle co M Boogie, ale coś o nim ostatnio cicho, niestety.

Mając beaty Organized Noize i Organized Konfusion wybieram: Organized Konfusion, chociaż Organized Noize tez mieli kilka klasyków na „Southernplayalisticadillacmuzik" czy „ATLiens".

Najbardziej nieobliczalny producent świata to dla mnie: Robert Janson i Romuald Lipko.

Nigdy nie zrobiłbym beatu dla: Dla większości polskiej sceny.

LICZ, BICZ!
50-59

tekst RewersOj

50 Inflacja powyżej oczekiwań, bo radosna ekipa Kazia „Yes, yes, yes" Marcinkewicza dokłada ku temu starań, ale „12 groszy" wciąż warte jest więcej od 50 Centów. „Znajda z chujnią na głowie", zawsze przebije bowiem znajdę z chujnią w głowie.

51 Jeden Osiem Ł doprowadzało człowieka do wielu stanów: od wkurwienia po rezygnację. Singiel „51 Stan" miał przywrócić zespolowi wiarygodność. Co ciekawe, w kilku przypadkach się udało. Klip był wystarczająco ładny, numer pasował do odbiorców ze swoją beznadziejną przeciętnością i najwyraźniej nauczono część osób, jak zapomnieć „Jak zapomnieć".

52 Wielkopolskie demony destrukcji tworzące zespół 52, Hans i Deep, nie są już co prawda razem, ale przynajmniej jeden wydaje drugiego. Oprócz tego, Deep zajęty jest kasowaniem kamer na planie swojego klipu, a Hans najchętniej połamałby nogi Arkowi Delisiowi. Póki co nie może, bo Mes zbyt mocno się ich trzyma. Ale my nic nie mówimy. Skoro nie powiedzieliśmy tego w ryj, to nie powiedzieliśmy nic.

53 Tyle lat potrzebuje statystyczny „net-wywiadowca", żeby nauczyć się umiejętnie wchodzić w dupę rap artystom. Szacując jego obecny wiek po poziomie publikacji, będzie miał wtedy 65 lat – jak pokazuje obserwacja, to wprost idealnie, żeby zajmować się muzyką i kulturą młodzieży w ogólnopolskim tygodniku. Delikatne włażenie w dupę ważna rzecz – nie każdy jest tak mało delikatny jak Pih, który „może nawet pod drzewem". Sporo naszych mc nawija, jakby podcierało swój „kanał audytywny" aksamitem.

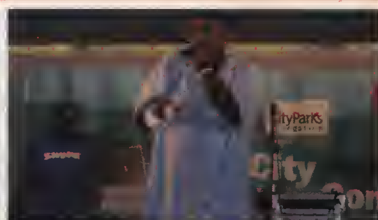
54 Pochodzący z brudnego południa zespół 54th Platoon poprawia człowiekowi humor. Jednak można mieć za sobą Lil' Jona, Eightballa, Jazze Pha, a i tak nie zrobić kariery.

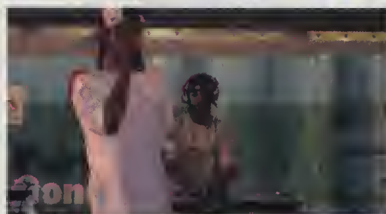
55 Jak „55: Chopped and Slow Down" DJ'a Hard Heada. Rozumiemy sampling, rozumiemy scratching, nawet – choć z trudem – rozumiemy turnablizm. W końcu, jak to

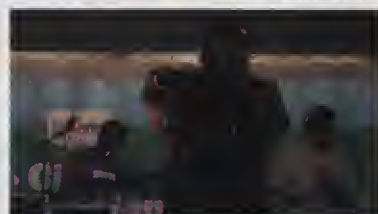












D.I.T.C.

CZYLI O OŚMIU TAKICH, CO ZMIENILI HIP-HOP

Lord Finesse, Showbiz, Diamond D, Buckwild, AG, Fat Joe, Big L i O.C. Niewielu ma świadomość, jak wiele hip-hop zawdzięcza tym ośmiu reprezentantom Nowego Jorku. A zawdzięcza im sporo: chociażby rewolucję w brzmieniu produkcji okresu lat 90. czy nowatorskie podejście do nawijania, które stało się dzięki nim lepsze technicznie, bardziej bezczelne, naszpikowane punchline'ami.

tekst Med

Najbardziej owocny okres grupy to niewątpliwie początek lat 90. Najpierw o uznanie zawalczył lider projektu (bo za takiego należało uznać Lorda Finesse) krążkiem „Funky Technician" z ponadczasowymi kawałkami jak „Strictly For The Ladies" czy „Bad Mutha". Potem pokazali się Show i AG z albumem „Runaway Slave", a następnie Diamond z niemalże już kultowym „Stunts, Blunts and Hip Hop". Ich beaty leciały z każdego „Ghetto Blastera" w NYC i dały całemu hip-hopowemu światu wzór porządnej stopy i werbla, a wersy cytowano jako przekroczenie wszelkich granic bezczelności. Stylowe bragga stało się dla grupy charakterystyczne.

Druga faza ataku należała już raczej do młodej fali D.I.T.C. Co prawda Lord Finesse i Diamond wciąż byli w formie, a Show z Andre tylko nieznacznie opuścili poprzeczkę, jednak najważniejsze albumy z tamtego okresu to z całą pewnością „Livestylez Ov Da Poor And Dangerous" Big L'a oraz „Word...Life" O.C. – swoją drogą do dziś zagadką jest, dlaczego album w roku 1995 stawiany na równi z „Illmatic" Nasa jest dziś zapomniany i niedoceniony. W tamtym okresie pojawił się też pierwszy album Fat Joe – „Represent". Don Cartagena już wtedy pretendował do miana króla mainstreamu, Big L natomiast godnie zastąpił Finesse'a na miejscu najbardziej pyskatego mc w grupie, cuty z jego kawałków stawały się normą na ówczesnych produkcjach, a singlem „Devil's Son" zapoczątkował jazdę na horrorcore rap. Błysnął, ale niestety nie zaświecił. Wkrótce przyszło mu zgasnąć...

Kiedy w 1999 roku Big L okresie kończył prace nad swoim drugim krążkiem, buńczucznie zapowiadanym przez niego samego jako „ponadczasowy klasyk", został zastrzelony przed własnym domem. Od tego momentu zaczął się kryzys grupy – Lord Finesse milczał, Diamond D również (no bo „zagubionych taśm" i wersji instrumentalnych starych klasyków nie można przecież zaliczyć do nowych wydawnictw). O.C. próbował zwrócić się do szerszego audytorium. Dużym rozczarowaniem była solówka Andre The Gianta. Przykro słuchało się, jak mc, który kiedyś nawijał z olbrzymią lekkością, ewidentnie się wypalił. Zaprosił na osiemnastokawałkowy longplay dziewiętnastu gości, na tle których niestety nie umiał się wyróżnić. Fat Joe odleciał w stronę mainstreamu, by w końcu związać się z Atlantic Records, dissować się z 50 Centem i nagrywać kawałki z Jeniffer Lopez. Grupa przybrała nawet nazwę Wildlife, żeby ludzie nie mówili „O, to ci starzy kolesie". Wydawało się, że to koniec D.I.T.C...

Co prawda pośmiertne „Big Picture" Big L'a pokryło się złotem, ale co z tego? Jak na ironię, jedyny oficjalny album supergrupy, zatytułowany po prostu „D.I.T.C." wyszedł w roku 2000 i spotkał się z dość chłodnym przyjęciem. Nie dość, że Tommy Boy stracił cierpliwość i pchnął do sklepów materiał niedokończony, to wierni fani znali wcześniej większość kawałków, a eksperymenty pokroju remixu Rockwildera wyprowadziły ich z równowagi. Diamond D wrócił jeszcze z „Grown Man Talk", krążkiem na tyle nierównym, że niewiele później trzeba było wypuścić epkę zawierającą najlepsze z niego kawałki. Lord Finesse produkuje co jakiś czas bit dla swoich znajomych bądź zdolnych undergroundowców (np. na nadchodzący album Muneshine'a), podczas gdy Buckwild zaopatrza mainstream z postaciami takimi jak 50 Cent, Game czy Ludacris na czele.

W ostatnim roku dało się jednak odczuć pewne ożywienie. Showbiz wrócił z bardzo dobrym albumem „Street Talk", podobnie Diamond D z „Diamond Mine". Nie można zapomnieć o „Starchild" i „Smoke and Mirrors" O.C., których złych recenzji ze świecą szukać. Gdy dodamy do tego zapowiadany na ten rok album AG na bitach Jaya Dee, Jake One'a, Madliba i kolegów z kolektywu, to mamy spore powody do optymizmu, kto wie, może D.I.T.C. właśnie wraca?

---

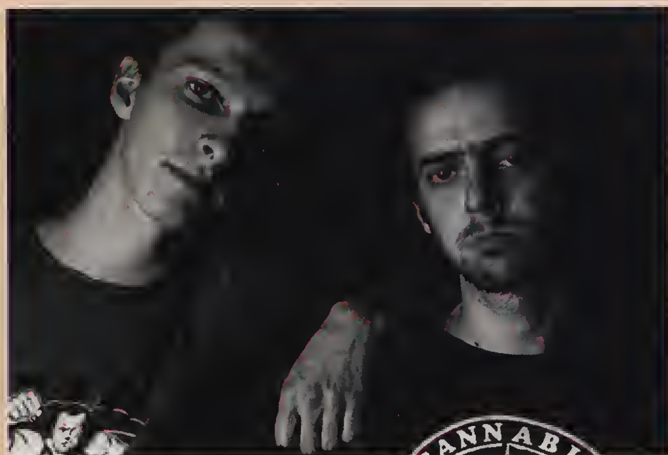
głosi jedna z miejskich mądrości Dizkreta, nawet „Romek robi ruchy ręką", to po prostu leży w męskiej naturze. Ale lata country i niewolnictwa zrobiły swoje z mózgami ludzi na południu Stanów. Tym DJ'om należy się to, co robią z piosenkami – najpierw trzeba ich zwolnić, potem pociąć. Oni biorą za to hajs, my zrobimy to z pasji.

56 „Coś pęka wtedy, gdy rośnie ucisk" – to nie o kiepskich kondomach, to ku pamięci Czerwca '56 w Poznaniu, prosto ze specjalnego utworu Mezo i Owala. Mniejsza o tę dwójkę... Nasi raperzy to kamień antyfilozoficzny – to, co ważne i doniosłe, zmieniają w banalne i ckliwe. Mogliby wydać ponad podziałami książkę pt. „Patriotyzm dla opornych".

57 „Hunt me or be hunted, three hundred and 57 ways / To summer sautee, I'm the winner all day", rymował Biggie w „Unbelievable". Cóż, jak widać mordercy nie umieli się bawić i zamiast poszukać kogoś, w kogo trudniej trafić, skorzystali z propozycji. Prawdziwie „niewiarygodne" jest to, że umierasz, a twój najlepszy przyjaciel tłucze hajs na twoich wokalach, twoja kochanka ze śmiechem mówi w wywiadach o twoim fiucie („It wasn't a pistol, it wasn't a rifle..."), podczas gdy zabójcy biegają wolno. Nie hejtuj gry, hejtuj gracza, ta?

58 „Od kabaretu do hip-hopu" to bynajmniej nie antologia polskiego rapu od roku 2004 do nie wiadomo kiedy – to artykuł w magazynie „New Canaan Darien", będący historią 58-letniej kobiety, która wraz z zespołem gra na Manhattanie amerykańskie standardy o uczuciach, a przy okazji ma rapującą córkę, której nie rozumie. Chcemy tylko powiedzieć, że w naszej małej ojczyźnie rap cementuje rodziny, a nie je dzieli, czego pięknym przykładem Massey i Masseya Stary, duet pokazujący wagę prawdziwej więzi w tym złym, cynicznym świecie.

59 A świat jest bardzo zły i bardzo cyniczny, o czym najlepiej świadczy to, że rekord Beatlesów okupujących szczyt amerykańskiej listy Billboard w sumie przez 59 tygodni pobiła Mariah Carey. Stało się to dzięki tak mdłemu i infantylnemu kawałkowi gówna jak nagrany z Jayem-Z „Heartbreaker".



INNA STRONA MUZYKI

HEMIKRENIA

Hemikrania to napadowy ból głowy, Hemikrenia zaś jest... podreaggowanym hip-hopem? Urapowionym reggae? Ważne, że bieszczadzki duet w składzie Mait (rap i beaty) i Bajob (sam rap) wydaje pierwszą oficjalną płytę stanowiącą zarazem debiut rzeszowskiego Haos Studio. Poniżej krótka rozmowa

tekst Flint

„Reggae'owe bity, które zaczęły z czasem nabierać brzmień bardziej hip-hop'owych", piszecie o swoich początkach. Co wpłynęło na to, że tak zaczęło się dziać?

Pierwsze bity inspirowane były jamajskim reggae, ta muzyka początkowo odciskała na nas większe piętno. Stopniowo zaczęliśmy eksperymenty, próbowaliśmy rymować, pisać szesnastki, zmieniło się również brzmienie bitów. Bez wątpienia był to wpływ kolejnej dawki czarnej muzyki, tym razem już niekoniecznie z Jamajki. Wszystko następowało stopniowo. Może lepiej po prostu czujemy się rymując niż śpiewając, a do opanowania płynnego ragga to nam niestety sporo brakuje (śmiech).

Zwykle przy krzyżówkach reggae'owo-hip-hopowych dominować zaczyna ten pierwszy gatunek. Nie wiem, czy się zgodzicie, ale na podstawie tego, co słyszałem, wydaje mi się, że u Was jest odwrotnie. Słychać cięcie sampla, głęboki bas, nie jest wcale tak leciutko i letnio, jak można by myśleć.

Owszem, na nadchodzącej płycie jest najmniej raggae od czasu pierwszego nielegala. Po części powodem tego jest, iż płyta tematycznie jest „niereggowa" i takie lżejsze bity nam po prostu nie bardzo pasowały. Lepiej rymowało nam się do ciętych sampli i cięższych brzmień. Podczas powstawania materiału wiele się u nas zmieniło, byliśmy świadkami pewnych przełomowych wydarzeń, w prywatnym życiu każdego z nas sporo się zmieniło, sporo osób odeszło gdzieś własną drogą... Klimat tej płyty odzwierciedla to, co zachodziło podczas jej tworzenia, efektem tego jest np. jej klimat. Mamy jednak nadzieję, że w kolejnych produkcjach będzie więcej pozytywu i na pewno od reggae nie odejdziemy. To jest muzyka, która cały czas nas inspiruje i dobrze nastraja.

Haos Studio, które wyda Waszą płytę, zajęło się zespołami z południowego wschodu Polski. Niewiele rzeczy z tego rejonu rozchodzi się szerzej. Warto go brać pod lupę?

Oczywiście, że warto. Jest tutaj kilka ekip, na które warto zwrócić uwagę, np. Paluch, Oskar z MPS, Solu, Henek. Pozdrawiamy ich przy tej okazji serdecznie. Myślę, że południowo-wschodnia Polska jeszcze się wybije, kilka ekip niebawem wypuści dobre płyty.

Wasze rodzinne strony to Bieszczady, ponoć najdzikszy rejon Polski. Daleko stąd do dużych metropolii. Takie oddalenie ma więcej plusów, czy raczej plujecie sobie w brodę, bo na starcie mieliście pod górę?

Z jednej strony na pewno jest tu utrudnienie dla nas. Małe póki co możliwości koncertowe, promocyjne, trudniej dotrzeć stąd do szerszego grona słuchaczy. Ogólnie mało ludzi może tu realizować swoje pasje. Mogliśmy jedynie liczyć na odbiór poprzez naszą stronę internetową. Od kiedy pamiętam, zawsze napotykałem tu na kłopoty ze sprzętem, z miejscem prób, ze studiem nagraniowym. Na szczęście, jak widać, sytuacja się poprawiła i szczęście się do nas uśmiechnęło. Z drugiej strony, ten region Polski jest dość oryginalny, dotykają nas tu nieco inne problemy niż ludzi na wielkich blokowiskach. Blokersami to my nie jesteśmy (śmiech). Dzięki temu nasz rap może się różnić. Są tacy, którym to w ogóle nie podchodzi, ponieważ rap to muzyka miejska, jak twierdzą. Innym fakt ten nie przeszkadza. Podsumowując, nie żałuję, że jestem stąd.

MODA NA MIXTAPE

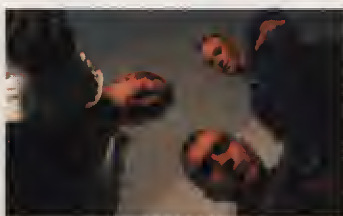
tekst Cess

AL-FATNUJAH



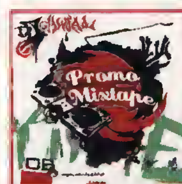
„10 Kilobeatz", pierwszy polski beatboxowy mixtape lubelskiej grupy Al-Fatnujah, jest bardzo obiecujący. Pomijając już na wstępie kwestię pomysłowego opakowania i dodatków w postaci archiwalnych nagrań wideo z występów m.in. z Ostrym, przejdę do zawartości stricte muzycznej. Utwory nie stanowią spójnej całości, bo mamy tu beatboxowe adaptacje hitów zarówno z kręgu r'n'b – jak klasyczne „No Diggity" czy „Trick Me", techno – od Prodigy po Benny'ego Bennassi, a nawet starych dobrych Bee Geesów. Mimo to są dobrym przekrojem umiejętności trójki debiutantów. Trzeba zaś przyznać, że kryją oni w sobie potencjał. Większość piosenek nie traci swojej pierwotnej dynamiki, a beatboxerzy mają słuch muzyczny, przy czym duży plus należy się osobie odtwarzającej motywy wokalne, bo robi to z wielkim wdziękiem. Choć panowie nie są jeszcze polskimi Killa Kelami ani Rahzelami – bo takie skillsy to raczej kwestia nastu lat ciężkiej pracy – warto sprawdzić ich umiejętności.

Al-Fatnujah wymieniają 7 powodów, dla których warto umieć robić beatbox:



- Takich trzech na tylnym siedzeniu to najlepsze radio samochodowe
- Dobry wabik na laski;)
- Najtańsze Akai świata
- Cytując Bobby'ego McFerrina: „I'm my own walkman"
- Ciężki haaaajs, lans i bauns, czyli „przyjedź, dostaniesz majka na supporcie Verby"
- Beatbox to muzyczne esperanto
- Niezastąpiony, gdy w kiblu brak gazet

DJ CHWIAŁ



Promo mixtape DJ'a Chwiała to ciekawostka, albowiem sam w sobie stanowi zapowiedź zupełnie innego mixtape'u – „01 The Ways Of The Underground". Nie można tej płycie odmówić harmonijności, jest bardzo równa, poprawnie zmiksowana, ale przy tym najzwyczajniej w świecie nudna. Konsekwentny dobór artystów z określonego grona i podobne tempo utworów dodatkowo pogłębiają to wrażenie. Przy całej sympatii do nurtu trueschoolowego i szacunku do dobranego repertuaru (coś na wzór klimatu, do którego kiedyś przyzwyczaił nas Twister – od Jurassic 5, przez Masta Ace'a, Nicolaya, po szczyptę D.I.T.C.), który nie dość, że najczęściej świeży, to czerpany tylko z winyli, nie jestem w stanie się zachwycić i zadziwić. A może to właśnie propozycja dla tych, którzy nie lubią undergroundowców i ostro pokombinowanch rymów, żeby sobie przypomnieli, dlaczego ich nie lubią? W pewnym momencie brakuje solidnego pierdolnięcia, jakiegoś dobrego headbangera, który mógłby trochę ożywić słuchacza. Bo nie robią tego nawet blendy.

Namiary: www.beatbox.pl, www.djchwial.com



SFERA

DLA PRZYJEMNOŚCI

Zespół, o którym Tytus wspominał w podsumowaniu sceny warszawskiej, zanim jeszcze założył Asfalt Records. Zespół z kawałkiem w niesławnych „Blokersach" i jeden ze sposobów na reaktywowanie potęgi kozakowego RRX. Zespół i jego trzy płyty, które w czasie, gdy je kończono, zasługiwały na legal. Pierwsze pytanie musi więc brzmieć...

tekst Flint
foto Cess

Jak udało się nie zrobić kariery?

Dandi: We wszystkich alternatywnych gatunkach sztuki, które pomagają młodzieży miejskiej przetrwać okres tzw. buntu, rodzi się masa talentów, które niestety nie zostaną dostrzeżone i tylko wewnętrzna siła tych ludzi plus dobre układy mogą sprawić, że będą rozwijać swoją pasję. Co do Sfery, to chyba nie mieliśmy tego specyficznego daru łączenia sztuki z biznesem. Nigdy tak naprawdę nie dbaliśmy o to, czy wydawcy mają dla nas jakąś ofertę. Sądzę, że hamowało nas coś w rodzaju instynktu samozachowawczego, bo wraz z pojawieniem się osób trzecich i większych pieniędzy szybko zgubilibyśmy radość tworzenia. Priorytetem zawsze była przyjemność związana z komponowaniem i pisaniem, mimo że efekt końcowy często był daleki od oczekiwań (śmiech) .

Przyznajesz, że stoisz „na wschód od statusu gwiazdy". Jak z tego punktu patrzy się na to, co działo się z hip-hopem – od pierwszej zajawki, przez fazy agresji, techniki i słodyczy, po upadek mody i takie „nie wiadomo co" jak teraz?

Nigdy nie rozkminiałem faz koniunktury czy kryzysu polskiego hip-hopu, zawsze starałem się znaleźć coś godnego moich uszu, a że niewiele takich rzeczy powstawało, sam postanowiłem to stworzyć. Idąc dalej tym tropem, jestem gwiazdą sam dla siebie – narcyzm w najczystszej formie (śmiech). Najważniejsze jest, żeby w ogóle się coś działo, w końcu to showbiz, pospólstwo musi mieć o czym dywagować (śmiech).

Starzy warszawscy zawodnicy wracają w projektach takich jak W Czerni i Bieli czy Hardcorowe Brzmienie? Słyszałeś je? A może nawet proponowano Ci udział?

Owszem, nagrałem kilka wersów na projekt W Czerni i Bieli, ale nawet nie słyszałem całej płyty i nie wiem, czy ta zwrotka została tam zamieszczona. Koncepcja jak najbardziej słuszna, o ile raper, o którym długo była cisza, nie przestał trenować. To podstawowy warunek. Poza tym, jeśli ktoś nie słyszał takiego cwaniaka jak PikuśDog czy Zeke (obecnie Pyskaty Skurwiel – przyp. red.), to może niejako wrócić do korzeni i uzupełnić edukację.

Nie baliście się konfrontacji własnych rymów z Tuwimem czy Maleńczukiem? Ten pierwszy to jeden ze sprawniejszych polskich poetów, drugi słynie jako tekściarz... Skąd taki pomysł i jak go realizowaliście?

Osobiście jestem wielkim fanem twórczości obu panów i chciałem to okazać interpretując ich teksty. Swego czasu zaczytywałem się w poezji Tuwima, a teraz często do niej wracam. Wydało mi się bardzo naturalne, że zarapuję ten tekst. Dodatkowo stał się on pretekstem do zaproszenia jednego z założycieli Sfery – Switcha (Duży Siwy). Wierzę, że Julian Tuwim nie przewrócił się w grobie w związku z tym nagraniem (śmiech). O kawałku „Ekskluzywne Ciuchy" sam Pan Maleńczuk wyraził się na tyle pozytywnie, że dostaliśmy oficjalną zgodę na wykorzystanie jego tekstu – od tamtej pory ubiera nas Alfred Dunhill (śmiech).

Z chłopaka, który walczył o szacunek na ulicach Pragi Północ, stałeś się człowiekiem – jak sam przyznajesz – który spędza w pracy „3/4 życia przed komputerem". Nie obawiasz się zmiany ze speca od „sztuki miejskiego kamuflażu" w tuwimowego „strasznego mieszczanina"?

Zmienia się otoczenie, zmieniają się priorytety, a wraz z tym wszystkim i my – nie zmieniła mi się tylko dziara na plecach. Reprezentuję pokolenie ludzi, którzy niebawem przekroczą 30 rok życia, a to wiąże się z nieco innym spojrzeniem na świat. Oczywiście nigdy nie zapomnę, skąd pochodzę i czego się nauczyłem żyjąc na osiedlu, ale jestem na etapie, kiedy życie rodzinne wychodzi na pierwszy plan. O ile ewolucja w stronę samodzielnego życia jest nieunikniona, to z pewnością nie można sobie pozwolić na całkowite zezgredzenie i zaniechanie szaleństw. W tej kwestii czuwa nade mną moja wspaniała narzeczona. Dodatkowo nadal trenuję „sztukę" razem ze Stopą i Pełnym w projekcie PROforma. Parafrazując słowa Księcia Paradoksu: „Tyle rapu nagrywają, a kurwa, nie ma czego słuchać". Teraz już będzie...





Sfera została powołana do życia w 1996 jako duet w składzie Switch i Crezzo. Parę tygodni później była już kwartetem wzbogaconym o Siwego a.k.a. Dandi i Ktosika. Krążek „Sferrari" ujrzał światło dzienne dopiero w 1999. Miał to, co w hip-hopie z tamtych lat najważniejsze: świeżość, zupełnie zaraźliwą energię, a nawet więcej. Beaty Ktosika były mniej groźne i marudne od ówczesnej średniej krajowej, miały znaczniej więcej basu i lepiej bujały. Producent był w stanie zrobić dobry energiczny numer nawet na samplu z Lady Pank, o czym najlepiej świadczy numer „Szacunek Daj Mi". Rymowano prosto, ze stylem i patentem, z szacunkiem dla ulic, ale bez agresji i głupoty.



Na albumie z 2001 r. „ChłopakiSferajny" w zespole nie było już Crezzo. Nie zaszkodziło to szczególnie. Dostaliśmy skrajnie przebojową, bardzo klasyczną produkcję obfitującą w hity na całej masie świetnych sampli, choć samo brzmienie prosiło się o lepszy sprzęt i było to niestety słychać. Tekstowo nadal jest prostolinijnie, bez owijania w bawełnę i raczej bez smaczków, ale style krzepły, nabrały charyzmy i doprawiono je humorem. Świetnie wypadła kooperacja z Siedmioma Łzami w ramach „Sztuki Miejskiego Kamuflażu"



Nowa płyta „Sferrari 2" przynosi kolejną roszadę personalną (w 2002 r. odszedł Switch, rok później jego miejsce zajął Pełny). Krążek jest barwny i pomysłowy. Ktosik sięga po cygańskie skrzypce, nietypowe sample wokalne, a nawet rock'n'roll i plastik! Dandi, który wziął na siebie większość zwrotek, prowadzi z jego podkładami dialog, wspomaga się Tuwimem, Maleńczukiem, warszawskim folklorem. Mc bardzo dojrzał, do absolutnego luzu w silnym flow doszły emocje, owe „mądrości tysiąca złamanych kości" (jak to nawija raper w utworze z refrenem świetnie wyśpiewanym przez Mewę z Mysłowic). Na szczęście szczerość idzie w parze z dużą wyobraźnią. O sile „Sferrari 2" przekonajcie się sami, ściągając je premierowo tylko z www.slizg.com.pl







RYSZARD DĄBROWSKI
SKAZANY NA BUNT

Komiks zaangażowany może być bronią równie groźną co Magnum 44. O ile tylko za jego tworzenie weźmie się człowiek z genem rebelii zapisanym w kodzie DNA, potrafiący trafiać mocno i bez pudła. Takim komiksowym snajperem jest na pewno autor kultowego Likwidatora, Ryszard Dąbrowski

rozmawiał Sebastian Rerak

Urodziłeś się w rebeliancklm roku 1968. Czyżbyś był skazany na bunt?
Coś w tym jest, bo w dodatku urodziłem się w Paryżu. Podczas słynnej rewolty „byłem tam, na miejscu". Może więc wchłonąłem jakieś fluidy? Co do bycia skazanym, to jestem deterministą i uważam, że człowiek rzeczywiście jest tym, kim być musi i to również wtedy, gdy się buntuje. Bunt jest odpowiedzią na duchową niewygodę. Z kolei uczucie niewygody warunkuje taka, a nie inna konstrukcja duchowa, która jest niezmienna. Ludzie lubią myśleć, że kreują siebie i mają wolną wolę. Taka myśl im pochlebia, ale jest tylko nielogiczną iluzją.

Popularność w komiksowym podziemiu zapewniły Ci ilustracje zamieszczane w zinach. Zajmowałeś się już wcześniej komiksem?
Przed zinami przydarzył mi się tylko jeden incydent komiksowy. Jako pracę dyplomową w liceum plastycznym wykonałem sześć kolorowych plansz, których bohaterem był groteskowy artysta, przypominający nieco Szwędaka. Moim prawdziwym debiutem był jednak pierwszy zeszyt o Likwidatorze, wydany latem 1995 roku.

Wolność jednostki, środowisko naturalne – to idee, w obronie których działa Likwidator. Czy są to także najwyższe wartości w Twoim kodeksie?
Likwidator tylko raz wystąpił jako obrońca wolności jednostki, kiedy zaczynałem dopiero wymyślać tę postać i nie miałem skrystalizowanej jej wizji. Tak naprawdę Likwidator nie walczy w imię wolności pojmowanej absolutnie, lecz wręcz przeciwnie – jest ekoterrorystą broniącym wolności natury przed samowolą tych, którzy ją niszczą. Podobnie jak ja, Likwidator ma światopogląd naturalistyczny. Cała ta postać jest moim fantastycznym i skrajnie udoskonalonym alter ego.

Likwidator zyskał popularność także poza undergroundem, mimo że popularyzuje bardzo radykalne poglądy. Jesteś chyba jedynym twórcą, który z podobnymi ideami potrafi przeniknąć do świata popkultury?
Cóż, inni twórcy może po prostu nie chcą przemycać podobnych idei. Ale co to za przenikanie do popkultury przy dwutysięcznym nakładzie? Przyznam szczerze, moje komiksy to dywersja kulturalna. Działam podobnie jak brytyjska grupa Chumbawamba, która też atakuje konserwatywno-nacjonalistyczną mentalność, ale o wiele skuteczniej niż ja, bo dociera ze swym przekazem do milionów. Ten zespół również startował z undergroundu, ale postanowił przekroczyć granicę subkulturowego getta i dotrzeć do nowych odbiorców. Uważam, że jeżeli można pokazać ludziom inną perspektywę wartościowania przy pomocy mechanizmów popkultury, to należy to robić. Żyjemy w czasach wojny kulturowej, trzeba wykorzystywać wszelkie środki.



Jak w takim razie odebrałeś wzmiankę o Likwidatorze w artykule o komiksie politycznym, zamieszczonym onegdaj w „Polityce"?
Z satysfakcją, zwłaszcza że autor zacytował bezlitośnie negatywną opinię Likwidatora o polskim społeczeństwie. Ubawiła mnie myśl, że dymkowy tekst niszowego komiksu mogło przeczytać nawet trzysta tysięcy zwykłych obywateli. A z opinią, że Likwidator to najostrzejszy polski komiks polityczny, nie mogę się nie zgodzić.

Likwidatorowi poświęcono też zbiór komiksowych epizodów różnych autorów, „Likwidator Alternative". Jego pierwsza część była – przynajmniej jak dla mnie – sporym rozczarowaniem. Nie czułeś się zawiedziony, widząc swojego bohatera przerobionego na hybrydę Sędziego Dredda ze Spawnem?
Masz zapewne na myśli komiks Olafa Ciszaka, w którym Likwidator faktycznie przypomina Dredda czy Batmana. Przyznaję, nienajlepiej to wyszło, ale większość komiksów dość dobrze oddaje ducha Likwidatora, zwłaszcza komiks Cabały. Bardzo dobry i zabawny epizod zrobił też Klarens. Mogę cię pocieszyć, że druga część antologii będzie lepsza, choć oczywiście i tu nikt prochu nie wymyśli. Pamiętajmy, że Likwidator jest superbohaterem, czyli typem postaci najbardziej wyeksploatowanym w komiksie. Trudno wymyślić coś nowego.

Czy lokujesz w jakiś sposób siebie w komiksowej tradycji? Z jakimi autorami czujesz powinowactwo duchowe?
Największe z Darkiem „Pałą" Palinowskim, który jest moim kumplem. To on namówił mnie na zrobienie dłuższego, wywrotowego w treści komiksu. Oczywiście lokuję siebie w tradycji polskiego undergroundu, tuż obok Pały i Krzyśka „Prosiaka" Owedyka. Zresztą nawet kiedyś w „Polityce" nazwano nas „nie-świętą trójcą". Sporo stricte undergroundowej estetyki, a nawet przekazu odnajduję w Jeżu Jerzym. Bardzo podobał mi się jego odcinek z lipcowego „Ślizgu". Generalnie Jeż nie jest jednak komiksem podziemnym. I dobrze.

Planujesz realizacje jakichś nowych serii komiksowych?
Porodu jakiejś nowej postaci komiksowej raczej nie przewiduję. Obecnie przygotowuję kolejny, szósty album z Likwidatorem, który premierę będzie miał w październiku, na Festiwalu Komiksu w Łodzi. Nie wiem tylko, czy będę miał ochotę i czas ciągnąć dalej tę serię samemu. Jeśli tak – wymyślę jakąś dziwną, zaskakującą historię. Możliwe też, że będę tylko pisał scenariusze dla innych rysowników, bo starczy już tego rysowania!





ZIOMEK

Można nazwać ją „kreskówką miejską", można mówić o niej jako o zabawnej inicjatywie. Ale czy pod płaszczykiem śmiechu nie kryje się coś więcej?

„Ziomek" (we francuskim oryginale „Lascar") to pierwsza kreskówka związana w dużym stopniu z kulturą okołohip-hopową. Jej pomysł narodził się we Francji i był bardzo prosty. Każdy z odcinków szybko i w dowcipny sposób opowiada o realich miejskiego życia. Mamy tu dilerkę, mamy troszkę przemocy, mamy szpanerstwo, ale i nędzę. Nie ma się jednak co przerażać, bo wszystko to przefiltrowane jest prze poczucie humoru twórców, które może przypaść do gustu.

I choć nie wszystkie z trzydziestu jednominutowych odcinków da się przenieść na polskie realia, to i tak warto przekonać się, jak uniwersalną tematyką jest życie miasta, życie ulicy. Dla jednych właśnie to będzie największą zachętą do oglądania kolejnych odcinków „Ziomka", inni z kolei zainteresują się z pewnością „obsadą" polskiej wersji kreskówki. A jest się czym chwalić, bo swoich głosów postaciom z kreskówki użyczyli czołowi reprezentanci polskiej sceny muzyki miejskiej.

I tak możemy tu usłyszeć głosy WWO, O.S.T.R.'a, Vienia i Pelego, Sistars, Gurala, Mesa, Abradaba, Pono, Gutka, Peji, Hemp Gru i Erosa! Niezła reprezentacja, prawda? Jeśli ktoś jest ciekawy, jak nasi gwiazdorzy poradzili sobie z dubbingiem kreskówkowych postaci, wystarczy, że włączy sobie MTV w czasie, kiedy emitowana jest „Rap pakamera", czyli w każdy poniedziałek o 21:00 lub w piątek o 16:00. Tam przez kolejnych 30 tygodni obejrzycie po jednym odciknu „Ziomka". Sprawdźcie to!



Skateboarding na pierwszy rzut oka wydawać się może tylko bezstresową jazdą grupy przyjaciół. Bardziej zaawansowani wiedzą, że deskorolka to coś więcej niż sport, ma ona oprócz tego swoją kulturę i tradycję. Mało jednak osób zdaje sobie sprawę, że przez całe życie (tzn. wtedy, gdy aktywnie jeździ) deskorolkowiec toczy ciągłą walkę, która często przypomina wysiłek Syzyfa



DESKOROLKA TO NIE PRZESTĘPSTWO

tekst ToiOi
foto Wojtek Antonów
rysunek Tomek Szkiela

Istotą skateboardingu jest miasto. To właśnie w wielkiej przestrzeni miejskiej skaterzy czują się najbardziej wolni, to tutaj mogą wyrazić się poprzez jazdę i właśnie w tym momencie pojawia się pewien problem. W Polsce, podobnie jak w USA, jazda na deskorolce staje się powoli coraz bardziej zakazana. Duży wzrost zainteresowania tym tematem i ogromna liczba młodych adeptów zalewających polskie miasta sprawiły, że zwykli przechodnie mają coraz bardziej dosyć hałasujących skateboarderów. Z reguły taki zbulwersowany pieszy dzwoni do rozmaitych służb, aby nas z danego miejsca wyrzucono. Cóż, donosicielstwo ma człowiek we krwi, więc nie ma się czemu dziwić.

Prześladowania deskorolkowców nieprzypadkowo zbiegly się z objęciem prezydentury stolicy przez pewnego niezbyt wysokiego pana, którego personaliów nie wspominamy, bo dziś trochę „podrósł". Już na samym początku swojej kadencji uczynił dla skateboardingu warszawskiego rzecz straszną. Wspólnie z niejakim Leszkiem Sławojem Głodziem, ex-kapelanem wojskowym, który znany jest bardziej ze swych skłonności do pewnego trunku, a nie z wykonywania dobrych uczynków, wymyślili sobie, że zakażą jazy na kultowej miejscówce – przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Ten ogromny, marmurowy plac był doskonałym miejscem spotkań nie tylko skejcików, ale także wrotkarzy, rowerzystów i zwykłych przechodniów.

Na początku zajmijmy się pokrótce rodzajami (albo raczej zawodami) ludzi, których zadaniem (bądź głównym hobby) jest uprzykrzanie życia deskorolkowcom. Chyba każdy może domyślić, lecz nie wszyscy wiedzą, jakimi metodami działają wyżej wymienieni ludzie oraz jakimi argumentami się posługują...

POLICJA

Pamiętam, kiedy deskorolka w Polsce dopiero się rodziła (było to mniej więcej w roku 1990), zimą jeździło się w podziemiach Dworca Centralnego w Warszawie. Nie było wtedy tam tylu sklepów i ćpunów, przejścia były puste i idealne na deskorolkę. Niestety, znajdował się tam komisariat policji (w którym nota bene „pracują" główni bohaterowie serialu „Złotopolscy"), którego pracowników główną rozrywką było ganianie młodych skejcików. „To było dziwne. Nie baliśmy się wtedy złodziei ani nikogo podobnego, tylko od małego baliśmy się policji, mimo że nie byliśmy żadnymi przestępcami" – mówi dziś trzydziestoletni Robert, który mimo ciężkiej pracy znajduje jeszcze kilka godzin tygodniowo, aby pojeździć.

Policjant to chyba najbardziej kontrowersyjny zawód na całym świecie. Ludzie go wykonujący wywołują najbardziej skrajne uczucia – od nienawiści (częściej) do miłości (rzadziej, dużo rzadziej...). Generalnie policjanci, którzy wywalają nas z miejscówek, są popularnymi „krawężnikami", czyli najczęściej małolatami odpracowującymi wojsko. Zwykle ubrani są w czarne uniformy i odblaskowe gadżety. Ubiór ten jest o tyle dobry, że widać go z daleka i daje możliwość wycofania się na z góry upatrzone pozycje.

Najczęściej mają z nimi do czynienia skaterzy jeżdżący pod warszawskim Witosem. Tam średnio mają miejsce po dwa, trzy wywalenia dziennie. Jednak na miejsce wyrzuconych pojawiają się następni – dlatego policjanci sami zdają sobie sprawę z bezcelowości swojej pracy. Generalnie jednak ci, którzy przychodzą pod Witosa, są z reguły mało rozgarniętymi i nieznającymi Warszawy przybyszami i łatwo wcisnąć im jakąś ciemnotę.

Jednak nie każdy policjant przypomina tego z polskich komedii, zdarzają się i tacy żywcem wyjęci z amerykańskich filmów, tzw. typ Brudnego Harry'ego – nieprzekupny, węszący służbista, który najpierw działa, a potem myśli. Z takim z reguły nie ma gadki, a jakiekolwiek próby negocjacji mogą skończyć się czymś poważniejszym. Pod żadnym pozorem nie radzę zaczynania rozmowy w stylu: „Nie macie ważniejszych rzeczy do roboty, połapalibyście przestępców zamiast ganiać nas..." – taki tekst działa na nich jak czerwona płachta na byka.

STRAŻ MIEJSKA

„Mnie w straży miejskiej najbardziej podobają się dziewczyny. Jest ich zdecydowanie więcej niż w policji i czasem zdarzają się nie przypominające chłopaka. Takie kobiety muszą jednak być dwa razy bardziej złośliwe, wścibskie i stanowcze, bo inaczej nikt by ich nie słuchał. Dlatego nie radzę nigdy próbować załatwiać czegokolwiek z nimi na ładne oczy", mówi Artur z Warszawy, deskorolkowiec od 10 lat.

Straż miejska, czyli młodsza siostra policji, żyje niestety w wielkim kompleksie swego starszego rodzeństwa. Odbija się to niestety na nas – deskorolkowcach. W takich sytuacjach strażnicy mogą się wykazać swoją inicjatywą i udowodnić, że nie nadają się do czegoś więcej niż do spisywania babć handlujących kwiatami. Za wszelką cenę chcą przecież pokazać Polsce i światu, że są na coś przydatni. Wiadomo też, że żaden z nich nie zdobędzie się na odwagę i nie uspokoi bandy dresiarzy terroryzującej np. przystanek, tylko frustracje swe przeleje na ekipę skateboarderów jeżdżących nieopodal.

Kiedyś byli najbardziej ignorowaną służbą porządku. Pamiętam te czasy, gdy w odpowiedzi na prośbę o dokumenty, można im było z uśmiechem na twarzy powiedzieć, że nie mają prawa o to prosić. Dziś strażnicy już się wycwanili i często podróżują w towarzystwie jednego kolegi z policji, zatem nie można ich tak już olewać. Strażnicy miejscy, mimo wspomnianych wcześniej tendencji do udowadniania swej przydatności do służby dla Polski, są tak naprawdę najmniej niebezpiecznym „organem wywalającym". Najłatwiej jest z nimi porozmawiać jak człowiek z człowiekiem i wyjaśnić im kilka kwestii.

KSIĘŻA

Bardzo dziwnym faktem jest, że najlepsze miejscówki w Polsce znajdują się pod kościołami. Interesujące w tej sprawie jest to, że instytucja, która powinna zajmować się krzewieniem wiary i pomocą ubogim, stawia sobie największe i najbogatsze rezydencje. Zwróćcie uwagę na to, że nawet na największej prowincji dookoła kościoła zwykle znajduje się jedyny w okolicy marmur. Jakby tego było mało, reprezentanci kleru zazdrośnie strzegą swoich cennych budowli i nie pozwalają na ich eksploatację. Tak naprawdę, nikt z nas nie ma zamiaru profanować takich miejsc, przychodzimy tam po skończeniu się wszystkich mszy, a naszym celem z reguły jest skoczenie z kilku schodów i zrobienie kilku zdjęć.

Takie osoby jak duchowni najlepiej powinny nas rozumieć, bo tak naprawdę deskorolka jest dla wielu z nas filozofią życia, która kształtuje naszego ducha. Niestety, wszyscy księża, którzy wyrzucali nas z przykościelnych marmurów, traktowali nas jak morderców. Muszę jednak napisać o pewnej zakonnicy, która o dziwo zrozumiała nas, długo z nami rozmawiała i mimo różnic

Sierżant Albert Domanski nie tylko zatrzymuje skaterów, ale też potrafi sieknąć olezłego 360 flipa



w zdaniach na temat wiary doszliśmy z nią do porozumienia. Sposób, w jaki rozmawiała z nami oraz jej argumenty, zyskały u mnie ogromny szacunek dla tej osoby.

OCHRONIARZE

„Tak naprawdę, z policją to jak dla mnie są najmniejsze przypały. Oczywiście są żałosni, jak wyjeżdżają z tymi swoimi kozackim gadkami w stylu: 'Czy to wygląda jak tor przeszkód?' Jednak największe gamonie to ochrona. W większości – bo oczywiście nie zawsze jest to regułą – to kompletni debile. Z ostatnich akcji, jakie najbardziej zapamiętałem, mogę wspomnieć krótką bójkę z ochroną w Blue City. Na szczęście Sebek zajebał jednemu deską w plecy i typ musiał mnie puścić. Ogólnie ta akcja chyba najbardziej mnie zdenerwowała, bo nie lubię, jak mnie ktoś próbuje dotknąć. Na ten temat można by pisać godzinami, wie to każdy, kto jeździ na desce regularnie. Brak szacunku i zrozumienia wobec nas to nasza szara Polska rzeczywistość", mówi Kuba Perzyna, skater od 16 lat.

Tak, ochroniarze są jednak najgorsi. W swej bardzo nudnej pracy jedyną rozrywką dla byłego dresiarza w stanie spoczynku jest wyganianie skejcików z terenu ochranianego. Co z tego, że w magazynie nic się nie znajduje? Chodzi o samą przyjemność z postawienia na swoim. Tym samym, czym dla nas jest zrobienie trudnego triku, tym dla ochroniarza jest przepędzenie „intruzów". Czasem da radę dojść do porozumienia z przedstawicielami tej profesji, jednak do tego potrzebne są dwa warunki: kilka złotych w portfelu i bliskość sklepu monopolowego.

Skateboarding faktycznie może być bardzo uciążliwy dla uszu i rzeczywiście powoduje trwałe uszkodzenia murków, schodów i innych rzeczy, po których się jeździ. Jednak pomimo tego szeregu negatywnych dla reszty społeczeństwa cech, ma jedną bardzo dużą zaletę. Stanowi on alternatywę dla dużo gorszych i niebezpiecznych zjawisk, takich jak narkomania czy przestępczość. Dla deskorolkowców najważniejsza jest jazda i nic więcej ich nie interesuje, natomiast kiedy dzięki wyżej wymienionym służbom ich ulubione zajęcie jest im odbierane, zaczynają się nudzić jak reszta ich rówieśników i w pewnym momencie dołączają do reszty „nie robiącej nic" i czekającej na ławce na cud młodzieży.

Warto o tym pomyśleć, kochani politycy. Czy metoda lepszego zła nie jest bardziej korzystna? Czy kilka odrapanych marmurowych murków jest ważniejsze od życia ludzkiego? Czy nie lepiej pozwolić młodzieży na rozwijanie swoich zainteresowań i w ten sposób odciąganie ich od złego? Ciągłymi zakazami i metodami rodem z totalitaryzmu nie da się tego osiągnąć. 



Janek K[illegible] na Hawajach w czasie
Red Bull King Of The Air 2005
[illegible]to Christian Pondella /
redbullphotofiles.com

Kite surfing



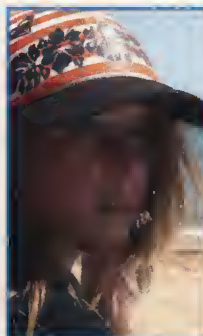
Kitesurfing z roku na rok zdobywa coraz większą rzeszę fanów zarówno na świecie jak i w Polsce. Niestety, niewiele osób jest świadomych faktu, iż mamy w naszym kraju zawodników ze światowej czołówki

tekst Szczepson

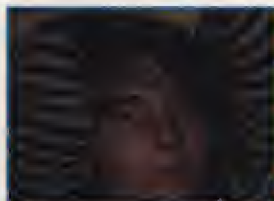
Tak samo wąskie grono ludzi jest świadome, iż posiadamy najlepszy akwen do uprawiania kitesurfingu i do stawiania pierwszych kroków w tej dyscyplinie w Europie, a do tego jeden z bezpieczniejszych. I tylko czasem krucho z wiatrem. Jest to Zatoka Pucka.



Najlepszymi osiągnięciami może poszczycić się Ania Grzelińska (North Kiteboarding, Ion Wetsuites, Mistral Clothing), która zdobyła 2. miejsce w klasyfikacji końcowej PKRA (Professional Kiteboarding Riders Assosiation) w zeszłym sezonie. Ania, o której pisaliśmy rok temu, może poszczycić się w swojej karierze np. wygranymi zawodami pucharu świata na Fuerteventurze. W tym roku również prezentuje znakomitą formę, co udowodniła zajmując 5. miejsce w Wenezueli, 4. w Belgii oraz dwukrotnie 2. miejsce: w Portugalii i w Cabarette na Dominikanie. Daje jej to obecnie drugą lokatę na świecie. Ania najlepiej czuje się w freestyle'owych ruchach, co zresztą widać po jej wynikach. Pomimo tych osiągnięć jest lepiej rozpoznawana za granicą niż w Polsce...



Wysoką formę prezentuje wśród dziewcząt Karolina Winkowska, która pomimo młodego wieku (ma 16 lat i pływa dopiero 3 sezon) znajduje się w międzynarodowym teamie Naisha. Jej charakterystyczne cechy to zapał i determinacja na sukces, dodatkowo brak strachu przy radykalnych manewrach. Jak sama mówi, najbardziej w kicie lubi tricki na powerze i trzeba jej przyznać, że takie kiteloopy chciałby robić nie jeden facet. W tym roku startowała m.in. w Belgii, gdzie zajęła 7. miejsce, w Portugalii (4. miejsce) oraz w Cabarette. Obecnie zajmuje 6. pozycję w rankingu PKRA. Inne osiągnięcia Karoliny to choćby zwycięstwo w zawodach Red Bull King of the Air w zeszłym sezonie w Polsce oraz w Quicksilver Kite Jam, o którym pisaliśmy w zeszłym miesiącu.



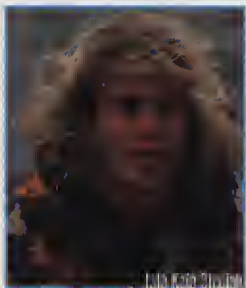
W zawodach tych startowała także inna utalentowana zawodniczka, Wiktoria Boszko, która uplasowała się na 2. pozycji. Wiktoria sponsorowana jest przez Naisha oraz Nobile. W tym sezonie rywalizowała także w Wenezueli gdzie zajęła 7. miejsce, w Belgii oraz w Cabarette. Obecnie zajmuje 8. miejsce w rankingu PKRA. Wiktoria szczególnie lubi freestyle na powerze, co w wydaniu kobiet budzi niekłamany respekt.



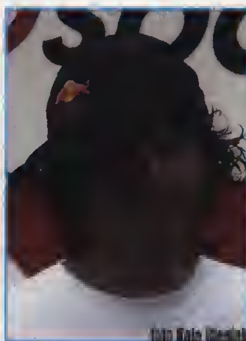
Kite surfing



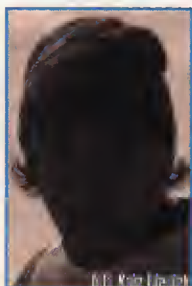
Rafał Maćkowiak
foto Dominika Wiśniewska



Jeśli chodzi o chłopaków, to wcale nie jesteśmy gorsi. Oczywiście konkurencja światowa jest tu dużo większa, ale i tak dajemy radę. W tej chwili najwyżej w rankingu PKRA plasuje się Janek Korycki z International Naish Team, który zajmuje obecnie 13. miejsce. Mieszka sobie i trenuje chłopak na Hawajach. Janek najwyższe miejsce zajął w tym sezonie w Portugalii, gdzie był dziewiąty we freestyle'u. Jednak, jego domeną są slidery, na których w ostatnich zawodach zajął drugą pozycję.



Za Jankiem plasują się Maciek Kozerski i Wiktor Borsuk. Pierwszy z nich jest obecnie na 17. pozycji w rankingu PKRA, ale wykazuje wysoką formę, co widać było po zawodach Quiksilver Kite Jam. Przypomnę, że Maciek był trzeci, pokonując w swoim heacie Janka Koryckiego. Najlepszy występ na arenie międzynarodowej zaliczył w Belgii, gdzie zdobył 13. miejsce. Co więcej, Maciek jako jedyny w Polsce wykonał podczas swoich treningów podwójnego handle passa – taki trick wykonuje niewielu na świecie. Jego styl charakteryzuje bardzo duża dynamika oraz brak oporów w wykonywaniu downloopów, o czym może świadczyć pierwsze miejsce w tej właśnie konkurencji w Chałupach na Quiksilver Kite Jam.



Te same zawody na 9. pozycji zakończył Wiktor Borsuk (sponsorowany przez Naisha i Dakine'a), który obecnie znajduje się na 19. pozycji w rankingu PKRA, ale z jego energią ma szanse jeszcze coś nam pokazać. Warto zaznaczyć, iż wygrał on ostatnie zawody w Polsce, pokonując w swoich heatach zarówno Janka jak i Maćka. Domeną Borsuka jest freestyle i tu czuje się najlepiej. Wykonuje bardzo trudne technicznie sztuczki, jednak jest podatny na kontuzje i potrzebuje jeszcze trochę praktyki w międzynarodowych startach. Wiktor dodatkowo musi jeszcze trochę potrenować na sliderach, bo tu brakuje mu przełamania się do robienia agresywnych manewrów.



Kolejny obiecujący zawodnik to Rafał Maćkowiak, zwany też Balbinem, sponsorowany przez Vento (North) i Skywalker Boards. On także startuje w międzynarodowych zawodach. W tej chwili jest na 30. miejscu w rankingu PKRA, ale nie zapominajmy, że chłopak kończy niebawem dopiero 18 lat (wszystkiego najlepszego!), a przy jego słynnym w środowisku braku zahamowań ma szanse na dalsze sukcesy. Rafał najlepiej czuje się w ostrych i agresywnych manewrach wykonywanych na powerze, jednak nie zawsze ląduje czysto, dodatkowo potrzebuje jeszcze doświadczenia w zawodach oraz odpowiedniego przygotowania psychicznego.

Wszyscy nasi zawodnicy będą mieli w tym sezonie szanse popisać się swoimi umiejętnościami jeszcze na zawodach na Fuercie, w Niemczech, Kanadzie, Teneryfie oraz w Brazylii, jak również na zawodach odbywających się na naszym wybrzeżu.

Najsmutniejsze niestety jest to, iż nie będziecie mogli oglądać ich poczynań, ponieważ kiteboarding nadal jest mało doceniany przez polskie media. Na zawodach w Polsce nie ma żadnych przedstawicieli mediów trafiających do szerokiego grona odbiorców. Na każdej tego typu imprezie jest zazwyczaj tylko kilku przedstawicieli pism branżowych. Jeżeli natomiast pojawia się telewizja, to jest to przeważnie stacja regionalna, która z takich zawodów robi kilkuminutowy materiał.

Miejmy nadzieję, że sytuacja wkrótce się zmieni i będziemy mogli śledzić występy zawodników na bieżąco, a nie tylko czytać o nich od czasu do czasu w branżowych magazynach i na forach internetowych. Tymczasem trzymamy kciuki za naszych zawodników i zachęcamy was do oglądania ich występów na zawodach odbywających się nad Bałtykiem. Dla zainteresowanych podajemy adres PKRA: www.pkra.info oraz www.sieplywa.pl.



ADIO MENTOR SESSION 2006

Nową świecką tradycją jest, że wszyscy polscy skaterzy pod koniec czerwca zbierają się wspólnie w mieście Kopernika, by tam imprezować, jeździć na desce i przede wszystkim dobrze się bawić

tekst ToiOi
foto Wojtek Antonów

W jubileuszową piątą już edycję do głównego organizatora, Mentora, dołączył kapitał zachodni w postaci firmy Adio, która sprawiła, że polskie zawody nabrały większego prestiżu. Nie ma sensu rozwodzić się o miejscu, gdzie działa się impreza ani o dodatkowych atrakcjach, jakie czekały na widzów, bo musiałbym pisać to samo co przed rokiem. Warto coś więcej napisać o gościach, którzy tłumnie przybyli do Torunia i stanowili o potędze Adio Mentor Session. Pozwoliłem ich sobie podzielić na trzy grupy.

POLACY

Ze oczywistych względów stanowiliśmy absolutną większość – nasze były trybuny, listy startowe, tylko niestety nie miejsca w pierwszej dziesiątce... Jednak co mnie zdziwiło, to większy luz w podejściu do contestu niż miało to miejsce w latach ubiegłych. Polaczków już nie stresowała tak bardzo obecność zagranicznych prosów, kilku z naszych pojechało jak typowi przedstawiciele Unii Europejskiej, a nie zaściankowej Polski. Widać, że pomału doganiamy europejski peleton i co najważniejsze, nabieramy coraz większej prędkości. Z naszych tzw. „gwiazd" nie zabrakło nikogo. Nie przyjechali tylko ci, którzy świadomie rezygnują z imprez tego typu. Uczestnicy bardzo chwalili sobie skatepark i o dziwo rzadko słyszało się jakiekolwiek narzekania.

EUROPEJCZYCY

Ta grupa była zdecydowanie mniejsza niż poprzednia. Jednak liczebność jej z roku na rok rośnie – i dobrze. W piątej edycji imprezy mieliśmy już do czynienia z całkiem pokaźną reprezentacją Starego Kontynentu. Był team D.C., Creme, kilku gości z Red Bulla (m.in. Philipp Schuster i Mack McKelton), Adio, była też ekipa z Rosji z Saszą Tuszewem na czele. Kibice w tym roku mieli na kogo się patrzeć, a skaterzy od kogo się uczyć. Poza wizytami teamów, wielu deskorolkowców zza granicy przybyło na własny koszt – byli to starzy kontestowi wyjadacze, m.in. Tobias Albert, Stefan Lenarht czy przyjaciel Polaków Georges z Francji.

AMERYKANIE

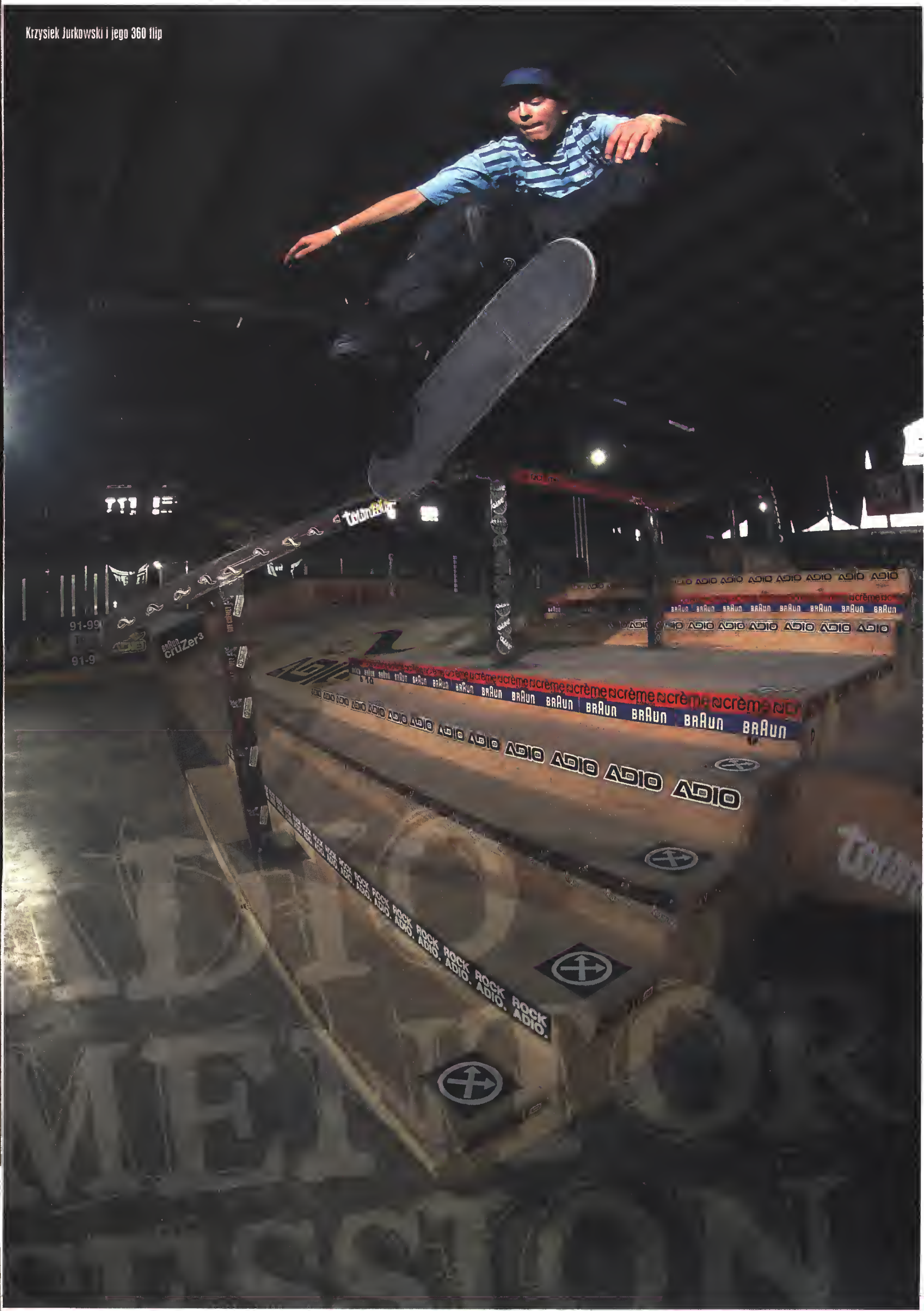
W tym roku w Toruniu zobaczyliśmy kilku mniej lub bardziej znanych Jankesów. Jeśli chodzi o moje prywatne preferencje, to nie zawiedli kolesie z 5Boro. Cały czas jeździli w naturalny dla siebie sposób, który idealnie pasuje do europejskiego stylu jazdy. Reszta Amerykanów wyraźnie nie za dobrze czuła się w małym jak na ich standardy skateparku, gdzie nie mogli zrobić croocksa na poręczy przy 20 schodach.

Wszystkie trzy grupy zgodnie jeździły i imprezowały ze sobą, obyło się bez ekscesów. Jak zwykle, moim ulubionym dniem zawodów była sobota. Dlaczego właśnie sobota? Dlatego mianowicie, że piątek z reguły jest dniem treningów i zazwyczaj mało osób wtedy jeździ, nikt nie chce się zanadto sforsować przed zawodami i oszczędza się jak może. W niedzielę (czyli dniu finałów) wszystko podporządkowane jest przejazdom w zawodach. Wtedy skaterzy myślą o nagrodzie i generalnie czuć w powietrzu kasę do wygrania. Natomiast w sobotę, w eliminacjach, wszyscy jeżdżą na totalnym luzie. Wtedy nawet Polacy potrafią wykrzesać z siebie pokłady energii i mieć bardzo dobry przejazd (jak w tym roku np. Gutek, Krzysiek Poskrobko czy Dominik Jaskółka). W sobotę jest jeszcze czas na wygłupy i bardziej spontaniczne zachowania.

Przy okazji Adio Mentor Session miały też miejsce różnego rodzaju kulturalne wydarzenia. W piątek można było posłuchać na kempingu (gdzie



Oba dwaj prekursorzy nowej odmiany skateboarding jazdy synchronicznej w parach. Tobias Albert i Chris Astrom są lepsi od tańca z gwiazdami.



Krzysiek Jurkowski i jego 360 flip

mieszkała większość skateboarderów przyjezdnych) koncertów punkowych. W jednym z zespołów (Claus Grabke Band) grała żywa legenda niemieckiej deskorolki – nie muszę chyba mówić, jak się ona nazywa... Kolejną atrakcją była wystawa artystów związanych z polską (i nie tylko) sceną deskorolkową. Prezentowali oni swoje obrazy, zdjęcia i inne prace, które wzbudzały niemały aplauz. Po wystawie zaproszone osoby udały się na premierę trzeciej części „Garażu" – deskorolkowego filmu z Polski.

Wróćmy jednak do wydarzeń w hali Tor Tor. Do niedzielnego półfinału zakwalifikowało się wielu Polaków. Okazało się, że potrzeba było pięciu lat, aby nasi rodacy mogli się przełamać i bezstresowo wystąpić w zawodach tej rangi. Oczywiście nie powinniśmy robić z tego wielkiego halo, bo tak naprawdę dla nikogo nie liczą się miejsca w zawodach (poza może sponsorami). Jak wiadomo, chodzi tylko o dobrą zabawę, jednak co by tu nie mówić, zawsze lepiej jest oglądać pewnie jadącego Polaka niż potykającego się o własne nogi przy napędzaniu...

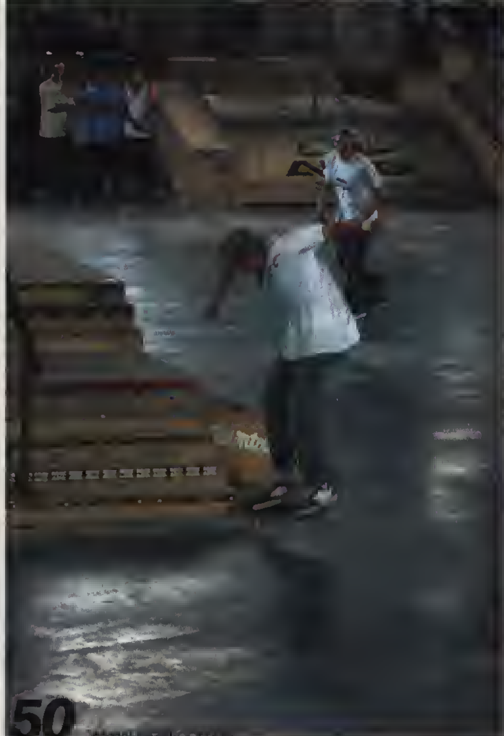
Półfinały przebiegały w nieco mniej wyluzowanej atmosferze niż eliminacje, jednak kilku skaterów pokazało, że i w przejeździe można jeździć na pełnym spontanie. Taką osobą był np. Philipp Schuster, który zjednał sobie całą publikę dzięki swojej charakterystycznej i oryginalnej jeździe. On nie robił trików, on się po prostu bawił deską. Wykorzystywał najbardziej dziwaczne miejsca w skateparku, tam gdzie inni lądowali – on się z tego wybijał. Jego skateboarding można było porównać tylko do reprezentanta 5Boro – Willy'ego Akersa, który podbnie jak Austriak jeździł na totalnym freestyle'u i nigdy nie było wiadomo, co zrobi zaraz.

Finał miał być rozgrywany w formule jamu. Pośród 40 półfinalistów wybrano najlepszą dziesiątkę (żaden z Polaczków się tam nie znalazł, mimo bardzo dobrych przejazdów), którą podzielono na dwie równe grupy. Każda z piątek miała do dyspozycji siedem minut i w tym czasie trzeba było pokazać się z jak najlepszej strony. W czasie trwania tych dwóch rund zobaczyłem skateboarding na najwyższym światowym poziomie, skaterzy jeździli jak w amoku. Chris Astrom, choć wszystkie jego numery znałem z poprzednich zawodów (od lat nie zmienia on repertuaru), robił wrażenie dzięki bardzo pewnemu stylowi. Kilian Heuberger, niemiecka maszyna, robił z właściwą dla siebie precyzją m.in. transfer nose blunt slide na poręczy. Georges też dawał z siebie wszystko – m.in. nollie fs. board na największym railu. Schuster z właściwą dla siebie gracją zaprezentował bardzo pomysłowy













i nowatorski przejazd i jak dla mnie zrobił dwa razy więcej trików niż inni. Każda zawrotka na banku była jakąś ewolucją – nie marnował czasu chłopak ani trochę.

Małoletni Ross McGouran, objawienie tego roku z Anglii, szalał po całym skateparku, jakby mieli mu go zaraz ukraść. Kiedy w pewnym momencie zrobił bs. flip 360 przez piramidę, myślałem, że oszaleję z zajawki. Zaraz później przyatakował największą hubbę bs. smithem i byłem pewien, że to on wygra Adio Mentor Session. Rzeczywistość jednak okazała się zupełnie inna, główną pulę zgarnął bowiem weteran zawodów, Chris Astrom, który jak zwykle nie posiadał się ze szczęścia po odczytaniu wyników. Większość widzów i startujących uznała te wyniki za oszukane, jednak przypominam, że zawody deskorolkowe są sędziowane przez nas samych i tak naprawdę miejsca są wynikiem bardzo subiektywnej decyzji. To, co nam się podoba, wcale nie musi podobać się komuś innemu.

Piąta impreza w Toruniu bardzo przypadła mi do gustu, jak co roku była najlepszą ze wszystkich. I właśnie o to chodzi, aby zawody te były coraz doskonalsze i dlatego mam nadzieję (a nawet pewność), że Adio Mentor Session w 2007 też będzie najlepszym kontestem. 



WYNIKI:

KATEGORIA OPEN:
01. CHRIS ASTROM
02. PHILIP SHUSTER
03. HENNING BRAATEN

KATEGORIA POLSKA:
01. TADEUSZ „GUTEK" SZYMAŃSKI
02. TOMEK DWORZAK
03. TOMEK GOŁAWSKI














CRIME
CRIME
CRIME
CRIME
CRIME
CRIME
CRIME



Prawda jest taka, że nie ma co czekać, aż ktoś zrobi coś za nas. Trzeba brać sprawy w swoje ręce i samemu działać, nie oglądając się na innych. Działać, działać, działać. Nie narzekać, tylko ruszyć tyłek, ubrudzić sobie ręce... A potem być dumnym, że coś się zrobiło...

CRIME JAM

foto Wojtek Antonów

Tak właśnie stało się we Wrocławiu, gdzie grupa zapaleńców bmx-owych z pomocą rolkarzy zakasała rękawy i sama zbudowała sobie miejscówkę. „Po prostu nie mogliśmy znaleźć dla siebie miejsca. W skateparku za dużo skejtów, na ulicy policja. Musieliśmy coś wymyślić, żeby mieć gdzie jeździć", mówią o swoim pomyśle. W ten sposób teren magazynów w pobliżu stacji PKP zaczął zmieniać się w zajawkowy teren dla bmx-ów, ale nie tylko, bo znajdą tu coś dla siebie także rolkarze i deskorolkowcy.

Wystarczyło nieco cementu i trochę pracy. To znaczy nie trochę, tylko sporo ciężkiej pracy – za co wielki respekt dla twórców miejscówy – i brukowane podjazdy zamieniły się w łagodne banki, przy których postawiono poręcze. Jeden z podjazdów jest zakończony przy drzewie idealnym do wszelkiego rodzaju wallride'ów, inny z kolei wyprofilowany jest na piękny quarterek. Oprócz tego, chłopaki poznosili palety, które pozbijali do kupy i z których powstały boxy do manuali i grindowania. Boxy można ustawiać, jak się chce, riderów ogranicza tylko fantazja. Poza tym wszystkim, jest kilka starych kolejowych podjazdów, które można traktować jak wybitki. Są też oczywiście plany na następne „prace budowlane".

Cała okolica jest trochę zaniedbana, asfalt „lekko" chropowaty, ale to tylko dodaje uroku miejscu, gdzie z niczego zrobiono coś. Z niczego – bo miejscowa załoga poradziła sobie bez sponsorów czy bogatych rodziców. „Wszystko trzeba było kombinować samemu: palety, narzędzia, cement. Parę złotych dał sklep z używaną odzieżą, który stoi tuż przy samej miejscówce i wielka piątka za to dla jego właściciela! A z całą resztą radziliśmy sobie własnymi, tajnymi sposobami", mówi Playbi, jeden z inicjatorów całej akcji, i puszcza porozumiewawczo oko. No właśnie, dla chcącego nic trudnego. Ciekawą i pozytywną rzeczą jest też to, że raczej nikomu nie przeszkadza, że właśnie to miejsce postanowili zaadaptować bmx-owcy.

Na nowej miejscówce, w ramach jej ogólnopolskiego odpalenia, odbył się Crime Street Jam, na którym pojawiło się kilkudziesięciu bmx-owców z całej Polski. Docenili oni pracę lokali i przy oldskulowym hip-hopie cały dzień i cały wieczór śmigali po przeszkodach.

Podsumowując ten krótki raport, trzy słowa: brawo dla chłopaków! Niektórzy dużo gadają, narzekają i nic nie robią, we Wrocławiu wzięli się do roboty. I jeżeli kiedyś znajdziecie się na tej lub podobnej miejscówce, pamiętajcie: to się nie zrobiło samo! I miejcie szacunek dla tych, którzy się napracowali, żeby takie miejsce mogło powstać! Respekt!

grass sliding

Impreza, która posiadła obiegową nazwę „grass slider". Ktoś wymyślił i poszło... Dla mnie to jednak „Other side of summer" i to dopiero jego pierwsza edycja. Oto króciutka relacja

tekst Niedźwiedź /brudnepoludnie.pl
foto kriwol.com

10. czerwca 4-metrowy box i 6-metrowa street'owa dwurura przybierają kształt ostateczny. Dzwoni telefon z informacją: „Śnieg załadowany, zabezpieczony", a droga nie była taka prosta, bowiem zdobycie śniegu w połowie czerwca nie jest wcale łatwe. Obok obecności śniegu, który był na pewno główną atrakcją, nie zabrakło miejsca na to, co chyba najważniejsze. Na relaks, na meeting znajomych w zacisznym plenerze nad kanałem Odry. Niby w mieście, a jednak na łonie letniej przyrody. Przyjechali rajderzy snowboardowi i narciarscy, pojawili się znajomi, wśród nich młodzi rodzice ze swoimi maluchami, przypadkowi przechodnie.

Dosłownie: były wózeczki, kocyki, koszyki piknikowe pełne niespodzianek, uśmiechnięte młode mamy oraz inne piękne kobiety. Z biegiem czasu ruszył grill, procenty w pełnym słońcu dały o sobie znać niektórym uczestnikom. Klasyka. Całość zdarzeń oczywiście w oprawie muzycznej dostarczanej za pośrednictwem dwóch komputerów i dwóch adapterów. Plac boju został odpowiednio przygotowany. Łąka nad rzeką została uprzednio skoszona, później kolejno ustawiono przeszkody oraz szereg leżaków i foteli.

Nie mógłbym nie dodać, że w zawodach nic nie można było wygrać. Nie było nagród, nie można było zdobyć pucharów, punktów itd. Żaden spiker nie podkręcał rajderów do łamania kości, a publiki do klaskania. Nie było ogłoszenia wyników. Było za to do dyspozycji after party i to mimo tego, iż niektórzy „after" mieli już „before"... Nie napiszę, kto był, kto jakie zrobił triki, mimo że szły najlepsze, bo chłopaki mieli wielką zajawę na dojeżdżanie śniegu w czerwcu, nie podam statystyk. Kogo to obchodzi?

Bądź co bądź rzadko jednak zdarza się, że zbierze się kilku ortodoksów, zorganizuje śnieg w lecie i pozwoli się dobrze bawić wielu innym. Szacunek dla wszystkich, którzy organizowali już wcześniej podobne eventy u siebie w mieście.



foto Modest Myśliwski / bs. flip na banku

Nowa twarz
Tomasz Ziółkowski

tekst Tojboj

Tomek należy do najmłodszej generacji deskorolkowców polskich. Jednak nie bierze on przykładu z większości swoich rówieśników i nie traktuje deskorolki jako sposobu na wyrwanie dziewczyn, tylko konsekwentnie rozwija swoje umiejętności. Nie ma chyba drugiej osoby, która by z takim zacięciem i poświęceniem atakowała przeszkody na swojej drodze. Dla niego nie ma znaczenia, co to jest – schody, murki, podjazdy, skatepark czy street, wszędzie potrafi się znakomicie odnaleźć.

Jego talent jako pierwsi odkryli goście ze sklepu Kamuflage, którzy zaproponowali, aby Tomek jeździł dla nich i jak się okazało, był to strzał w dziesiątkę. Dzięki temu nasz młody skater pojechał na kilka wyjazdów, poznał dużo nowych miejscówek i przede wszystkim jeszcze bardziej rozwinął skrzydła. Aż się boję pomyśleć, co będzie się działo za rok, jeśli utrzyma on ten progres...





Daniel z Froppa wykonuje turna na parkingu Multikina

Największy harpagan wyjazdu, Sony z Patriotsów, skacze konkretny gap na Motławie.



Pomysł na imprezę był - podobnie jak w „Hydrozagadce" - genialny w swojej prostocie. Wystarczyło zebrać tylko trzy najlepsze ekipy parkourowe i zlecić każdej z załóg nakręcenie około dziesięciominutowego filmu

tekst tOi Oi
foto Wojtek Antonów

Oczywiście wcześniej należało dołączyć do każdej z nich po dwóch kamerzystów (nie radziłbym jednak tak do niektórych z nich się zwracać – za „kamerzystę" byli w stanie się obrazić i trzeba było ich nazywać „operatorami"), jednego fotografa, jednego bardziej doświadczonego parkourowca, tzw. „ogarniacza" i „przedskoczka", oraz jednego technicznego.

W drodze eliminacji wyłonione zostały trzy ekipy: Black Traceurs z Tychów, Parkour Patriots z Kalisza i Łodzi oraz młoda warszawska grupa stworzona na potrzeby tej imprezy: SMC.

Zdjęcia kręcone były w trzech miejscach – Trójmieście, Warszawie i Krakowie. W każdym z nich ekipy miały po jednej miejscówce obowiązkowej (z reguły były to miejsca charakterystyczne dla danego miasta, kojarzące się na pierwszy rzut oka z nim). W Trójmieście były to: Stocznia, Skwer Kościuszki w Gdyni i gdańska starówka. W Warszawie: Pałac Kultury, starówka i mosty potraktowane jako jedna miejscówka, natomiast w Krakowie obowiązkowe były: Rynek i Wawel. Oprócz tego, każda z grup miała do wyboru wiele dodatkowych spotów, jednak trzeba było tak wybierać, aby miejsca te nie powtarzały się u różnych grup.

Pierwszym przystankiem było Trójmiasto. Tam cała nasza grupa – licząca kilkadziesiąt ludzi i nie do końca świadoma tego, co się będzie dziać przez następne dziesięć dni – zajechała do hotelu. Wieczorem na walnym zebraniu główny koordynator i ojciec tej imprezy, Wojtek Pańczyk, obwieścił wszystkim, o co chodzi. Do ekip parkourowych przyporządkowani zostali kamerzyści (to znaczy „operatorzy" – sorry, guys!), fotografowie (na wszelki wypadek napiszę też „fotograficy", gdyby i ci się też obrażali) oraz kierowcy (ci na pewno się nie obrażą za nazywanie ich w ten sposób, bo na co dzień zarabiają jako poważni managerowie w Red Bullu i pewnie dosyć już mają swojej pracy). Moja skromna osoba została przydzielona do warszawskiej ekipy, wybaczcie więc, że skupiać się będę na ich wyczynach, gdyż o tym co zrobiły inne ekipy, wiem jedynie z przekazów ustnych.

Pierwszy dzień nagrywek był na pewno dla wszystkich najtrudniejszy. Zarówno ci biegający, jak i ci kręcący nie wiedzieli, jak zabrać się do tematu. Trzeba było wszystkiego uczyć się w praniu. Nagle z dnia na dzień tracerzy opanowali trzy nadmorskie miasta. Wszędzie było ich pełno. Tego dnia ludzie musieli zdziwić się, gdy przechodząc przez port w Gdyni widzieli, jak trzech szaleńców skacze po pirackim statku i wykrada z niego plecak. Chciałbym też zobaczyć, jak nisko kopara zjechała ludziom, gdy zobaczyli, jak jeden z Patriotsów skacze ogromny gap nad Motławą (zdjęcie powyżej).

Ponieważ presja wyrobienia się w obowiązkowym czasie była wszechobecna, każdy chciał jak najwięcej zrobić. Do legendy przeszła już żelazna kondycja Patriotsów, którzy po całym dniu biegania i skakania szli sobie jeszcze na plażę poćwiczyć.

Każdego wieczora po zdjęciach Wojtek urządzał pokaz fotografii (materiały video były ultra-tajne, bo teoretycznie ekipy miały ze sobą rywalizować, choć i tak wszystko toczyło się w przyjaznej atmosferze), które wzbudzały wiele pozytywnych emocji. Jednak tym, z czym mi będzie kojarzyć się nagrywanie w Trójmieście, był ogromny upał na blaszanym dachu centrum handlowego „Manhattan". Nie można tam było się dotknąć niczego, bo jakikolwiek kontakt z dachem groził poparzeniem tysięcznego stopnia. Wielki szacunek dla chłopaków za to, że potrafili skakać w takich warunkach.





Następnym przystankiem była Warszawa. Tutaj zdecydowanie najpewniej czuli się miejscowi SMC ze swoim „ogarniaczem” Kubą. Znali oni prawie wszystkie miejscówki, choć i tak kilka ich mile zaskoczyło. Szczególnie pewna polana w lesie z mnóstwem ściętych drzew wywołała u nich maksimum zajawki. Ursynów i okolice również były bardzo owocnymi lokacjami. Poleciały tam bardzo duże gapy (szczególnie jeden, który skoczył Surdi, zasługuje na osobną wzmiankę).

Bardzo dużo też się działo w stolicy warszawskiej narkomanii, czyli grochowskim Pekinie. Znajdują się tam wymarzone tereny dla tracerów, przypominające swoją architekturą te znane nam z filmów „Yamakasi” czy „Trzynasta dzielnica”. Klimat pewnego długiego i bardzo krętego bloku z mnóstwem dziwnych przejść między klatkami i balkonami udzielił się również i mnie, i przez chwilę czułem się jak jeden z bohaterów filmu sensacyjnego, zwłaszcza że niebezpieczeństwo, które na nas czyhało, nie było wcale wymyślone i w każdej chwili mógł na nas wypaść desperat ze strzykawką...

Potem był Kraków. Dawna stolica Polski przywitała nas jak zwykle ogromnym upałem i pełnym węgierskich turystek hotelem. Wszyscy wiedzą, w którym państwie byłego bloku wschodniego znajduje się stolica branży porno... Niektóre z naszych sąsiadek – choć były jeszcze w wieku daleko przedmaturalnym – przejawiały wyraźne talenty w tym kierunku i dlatego wyglądając przez okno mojego pokoju byłem świadkiem wielu dziwnych scen ze wspinaniem się do okna na drugim piętrze włącznie.

Zarówno w Trójmieście jak i w Warszawie moja ekipa miała na koncie przejście po moście (tzn. po jego bocznych łukach, które nie wiem, jak fachowo się nazywają...). W Krakowie wyczyn ten bardzo chcieliśmy powtórzyć (tzn. biegający, bo my, media, mogliśmy tylko biernie im się przyglądać). Wybraliśmy sobie nawet pewien, wydawać by się mogło, ukryty most. Kiedy jednak chłopaki przebiegli po nim w jedną i drugą stronę, nagle ze wszystkich stron zostaliśmy otoczeni przez Straż Miejską, brakowało tylko helikoptera i spadochroniarzy.

Zostaliśmy w pięciu wrzuceni do co najwyżej dwuosobowej kabiny i w wielkim upale, bez najmniejszego otworu wentylacyjnego i w ogromnych korkach, przewiezieni na komisariat. Tam okazało się, że pani generał nas nie lubi, bo za często się śmiejemy i za karę zdecydowała, że wejście na most nie jest w rejonie jej komisariatu (most tak, ale nie miejsce, gdzie chłopaki na niego wbiegli) i musimy być przewiezieni do innego komisariatu. Na szczęście, nie straciliśmy dobrych humorów i aparatem, którego jakoś nam nie zabrano, zrobiliśmy sobie gangsterskie foty z kratami. Było śmiesznie, choć w pewnym momencie zrobiło się już trochę nudno. W rezultacie straciliśmy ponad pół dnia nagrywania i w bardzo minorowych nastrojach zakończyliśmy dzień.

Ostatniego dnia przypadła nam jako miejscówka opuszczona fabryka, w której aż roiło się od post nuklearnych okolic. Z powodzeniem można by tam nagrać kolejną część przygód Mad Maxa. My mieliśmy trochę trudniej, gdyż musieliśmy nagrywać parkour, a wszystko rozwalało się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Na szczęście chłopaki znaleźli kilka idealnych dla siebie miejsc, a kaskader Surdi znowu odszukał mrożący krew w żyłach gap, który zapamięta pewnie do końca życia.

I tak oto zdjęcia zostały zakończone. Kiedy to czytacie, montaż powinien być już skończony, więc nie pozostaje wam nic innego, jak czekać na rezultat naszych prac, czyli DVD z udziałem najlepszych polskich tracerów.

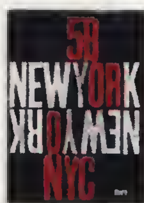
Dzięki za mile spędzony czas! 



Cała ekipa Parkour Patriots w zbiorowym speedzie



Adrian Halicki pokonuje bramę mimo wyraźnego zakazu przejścia



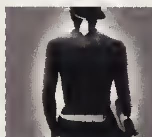
5BORO
NEW YORK MINUTE

Choć nie jest to pełnowymiarowy film tylko kilkuminutowa zapowiedź czegoś dłuższego, to i tak ze spokojnym sumieniem mogę go polecić. Wszystko dlatego, że 5Boro kojarzy mi się z prawdziwym skateboardingiem, który ma w nosie zawody, modę i inne podobne rzeczy. Chłopaki z tej firmy jeżdżą tylko dla własnej przyjemności, co widać. Na tej króciutkiej produkcji zobaczycie cały team firmy rozpierdzielający miejscówki w NYC w specyficznym dla siebie stylu. Dla wielbicieli bardziej kreatywnej jazdy to pozycja obowiązkowa, zwłaszcza że jest to darmówka... **tOi Oi**



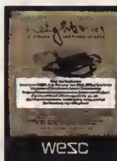
CIRCA
IT'S TIME

Od dawna już reklamy Circa głosiły, że „wkrótce nadejdzie czas" i światło dzienne ujrzy ich film. Kiedy chwila ta nadeszła, okazało się, że tak naprawdę nie było na co czekać. Otrzymaliśmy porcję typowego amerykańskiego skate video, w którym oprócz dobrej deskorolki nie znajdziemy niczego. Produkcja ta jest tak bezbarwna, że aż szkoda pisać jak bardzo. Klimatu nie znajdą tam nawet najbardziej oddani fani tej firmy. Jazda rzeczywiście jest zajebista, ale czy w każdym innym filmie nie jest ona równie dobra? W tej chwili poziom jazdy na deskorolce jest tak wysoki, że żaden film pod tym względem nie zawodzi, dlatego coraz bardziej zaczynam doceniać montaż i atmosferę skate-produkcji, a tego w „It's time" nie uświadczymy. **tOi Oi**



DIGITAL
GET TRICKS OR DIE TRYING

Nigdy nie byłem fanem produkcji spod znaku Digital, a tym jak zobaczyłem tytuł ich najnowszego dzieła, nawet nie chciało mi się odpalać go w swoim DVD... Jednak gdy się zmusiłem, okazało się, że video to nie jest tak dramatyczne, jak sugerowałby tytuł. To po prostu kolejny beznadziejny film z deskorolką na najwyższym poziomie trudności. Jak zwykle dominują tam triki typu „hammer", czyli flipy z kilkunastu schodów czy nose grindy na ogromnych poręczach. Jeżeli nie nudzą cię, drogi czytelniku, takie filmy, to jest to coś dla ciebie, ja wolę coś zrobionego z pomysłem. Film ratuje przejazd Aarona Snydera i Janiego Laitialli. Obaj panowie prezentują odmienny styl jazdy, jednak można go określić mianem kreatywnego. Nie jest to tępe napierdalanie coraz większych schodów. Niestety, cała reszta „Get tricks or die triyng" za bardzo przypomina mi grę „Tony Hawk Pro Skater" i nie mam siły go oglądać więcej niż raz w życiu. **tOi Oi**



NEIGHBOURS

To skandynawskie video jest wielkim zaprzeczeniem recenzowanej przeze mnie obok produkcji firmy Circa. Tutaj twórcy położyli ogromny nacisk na to, aby film był niepowtarzalny. Przede wszystkim riderzy nie są przypadkowi, tylko zostali wybrani według jednego klucza – wszyscy są ze Skandybnawii. Nie znajdziecie tu też idealnych spotów w stylu Kalifornii, bo zamiast tego w filmie roi się od industrialnych okolic, odrapanych murków, nierównego asfaltu, zimnej pogody. Wikingowie zawsze byli znani z ogromnego hartu ducha i tacy też są ich potomkowie na deskorolce. Od początku do końca „Neighbours" ogląda się znakomicie. Krótkie intra idealnie wprowadzają do przejazdów, każdy z występujących mówi kilka słów o sobie. Jazda jest znakomita, jest to „techniczny skateboarding na bardzo wymagających miejscówkach". Autorzy filmu pokazali, że Europa robi zupełnie inne rzeczy niż USA, a co jest lepsze – oceńcie sami. Ja już wiem... **tOi Oi**



PUZZLE
SUMMER 2006

Któż z nas nie chce być na bieżąco z tym, co dzieje się w skateboardingu na Starym Kontynencie? Najlepiej sięgnąć w tym celu co pół roku do magazynu „Puzzle", bo tam znajdziecie przekrój najważniejszych wydarzeń w Europie. Zaznaczam jednak, że należy potraktować to video tylko jako źródło informacji, bo jako film prezentuje się on bardzo słabo (nawet jak na magazyn). Znajdziecie tam pojedyncze nagrywki z Czech, USA, Francji i Niemiec. Obejrzycie relację z największych zawodów deskorolkowych w Melbourne w Australii, gdzie wystąpił również europejski team Globe. Riderzy Volcom wybrali się do Alicante w Hiszpanii i relacja z tego wyjazdu również znajduje się w wakacyjnym wydaniu „Puzzle". Na koniec filmu znajdują się dwa krótkie, ale treściwe przejazdy: Henninga Braatena i Matthieu Hilaire. Obaj reprezentują podobny sposób jazdy, który choć zbytnio mi nie przypadł do gustu, to z szacunkiem stwierdzam, że jest na co popatrzeć. Szczególnie mniej znany Mathieu daje z siebie wszystko. **tOi Oi**



PEEPHOLE
POŁUDNIE

Ostatnio w Polsce jak grzyby po deszczu powstają różnego rodzaju projekty filmowe. Na pewno wyróżnia się spośród nich projekt Peephole i ich najnowszy magazyn „Południe". Jak sama nazwa wskazuje, prezentuje on skateboarding z południa naszego kraju. Wystepują w nim skaterzy z Krakowa, Rzeszowa i Śląska. „Cocktail" jest odpowiednikiem „chaosu" z 411 i jest to mocna częśc filmu. Z przyjemnością oglądałem sobie triki mniej lub bardziej znanych skejcików. Moją uwagę najbardziej zwrócił małoletni Kwiatek, który zaprezentował ładną serię trików ze schodów. Dalej mamy relację z pobytu teamu Cliche w Krakowie. O tym jak dobrzy są panowie z tej firmy, przekonacie się po obejrzeniu materiału. Przemek Wardęga jest obiecującym talentem i dlatego twórcy filmu poświęcili mu osobny dział. Niestety, nie wszystkie triki są czysto wykonane i kręcenie pozostawia wiele do życzenia. Mimo tego widać, że o tym chłopaku już niedługo będzie głośno. Relacja z EEO Krakowa mogła zostać pominięta w tym filmie, bo każdy widział ją tysiąc razy w innych produkcjach. Ostatnia część należy do Tomka Warzechy z Krakowa. Jest on wszechstronnym skejcikiem z całkiem dużymi umiejętnościami. Minirampa, murki, schody, raile – wszystkie te rzeczy wykorzystał on w swojej jeździe, polecam. W filmie spodobało mi się to, że autorzy postarali się, jeśli chodzi o wartość wizualną. Nie ograniczyli się – jak większość innych polskich produkcji – tylko do włożenia trików. Choć widać, że są to ich początki i dużo technicznych rzeczy pozostawia wiele do życzenia, to na pewno dobrze wróży przed nastepnymi numerami tego magazynu. **tOi Oi**

txt: Rafał Skarżycki
gfx: Tomasz Lew Leśniak



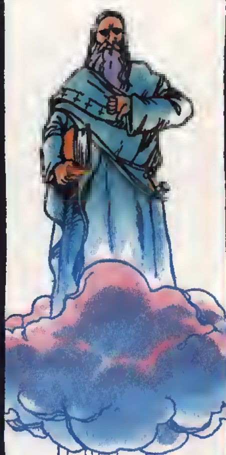


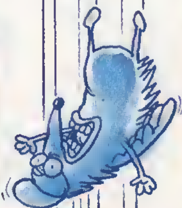









JERZY... JEŻ JERZY... PRZYKRO MI, SYNU, ALE NIE MA CIĘ NA LIŚCIE...
CZYLI, ŻE CO?




PIZD!
NIE MÓWCIE, ŻE JESTEM NA LIŚCIE!
SPOKO, CHŁOPCZE - BIERZEMY WSZYSTKICH! NIEWAŻNE Z JAKIEJ LISTY - MOŻE BYĆ I WILDSTEINA...

NiiiEEEEEEEEE!!!

O, W MORDĘ! TO DLATEGO OD TYGODNIA NIE ODPOWIADA NA TELEFONY...

TA... SKURWIEL WIEDZIAŁ, ŻE ZBLIŻA SIĘ TER-MIN ODDANIA ODCINKA I ZNO-WU DAŁ W PALNIK...

TO CO TERAZ ROBIMY ?

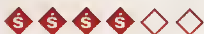
TO CO ZWYKLE - JA PRZEBIERAM SIĘ ZA JEŻA, TY ZA DRE-SIARZA...

...I TYM RAZEM JEŻ WYGRYWA!

recenzje muzyczne



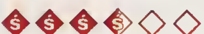
TEDE
ESENDE MYLFFON
WIELKIE JOŁ



Prawdopodobnie najlepsza płyta, jaką da się zrobić bez szczypty kreatywności. Mateo nieco za bardzo kocha amerykański mainstream, Tede zdecydowanie za bardzo kocha własną osobę (kuriozum jest cytowanie „Blasku" w „Zamknij pysk"), przy czym obaj w swoich kategoriach są po prostu profesjonalistami. Beaty więc brzmią zajebiście, rymy płyną kozacko (jeśli rapuje raper, nie producent) i tylko czasem człowiek chciałby dogrzebać się czegoś więcej między kolejnym „szjeaaaa" i „oooooo!". Chyba żeby nie chciał, bo „Mylffon" jest tak złożony, żeby dogodzić każdemu. Odbiorca twardogłowy i hermetyczny ma prawie hardcore'owego „Glokka" i „Łap tego loopa" z Wall-E'm, ciekawy ukłon w stronę rapu ery boom-bap. Rozgłośnie mają „Jakby jutra miało nie być", murowany hit (na czasie). Niepoprawni bezelofile mają szczególnie nudny i wtórny „Blask". I tak dalej. Nie oszukujmy się, nawet krytycy uśmiechną się z uznaniem przy pojazdach na „Fakt" i „Eskę". Być może to najlepsza solówka TDF'a. Gość jest przewożony do granic i irytujący, ale wreszcie ma równy album. A że mógłby mieć klasyka? Tak mu dopomóż Mateo. Przecież to jeszcze nie koniec. **(flint)**



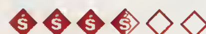
SKAZANI NA SUKCEZZ
NA LINII OGNIA
CAMEY RECORDS



Ta płyta mogła i powinna być jedną z lepszych pozycji tego lata. Dlaczego? Bo mc's nie ulegli kompromisom, zachowali swoje style, które bardzo ciekawie ze sobą współgrają. Bo wersy Pyskatego (np. ten o Manueli) zostają w głowie na długo (aż nie chce się wierzyć, że to debiut), a plastyczne opisy Piha – jak zwykle – wywołują nie tylko konsternację, ale i ciarki na plecach. A dlaczego „Na Linii Ognia" nie będzie taką płytą? Mniemam, że nie bez znaczenia było przy tworzeniu piętno wytwórni. Bity Davida Gutjara (tzw. bity po kastracji) i śpiew Honeys (o zgrozo!) są słodkie do porzygania i nie pasują. Dlatego, że „Hawajskie Koszule !!!" i „Prawdziwy Romans" na bank będą na następnej Rap Eskadrze. Dlatego, że wśród producentów za dużo jest płytkiej inspiracji cykającym, amerykańskim mainstreamem. Szkoda, że potencjał nie został w pełnie wykorzystany. „Na Linii Ognia" to jednak i tak dobry album, który warto sprawdzić chociażby dla takich kawałków jak „Szukaj mnie na projektach" (gdzie obydwaj raperzy pokazali się z innej, bardziej społecznej strony), „Mniam mniam" czy drapieżnego tytułowego numeru. **Med**



SOFA
MANY STYLEZ
KAYAX



Z toruńską Sofą człowiek nie ma prawa się nudzić. Neo soul i r'n'b stanowią dobry punkt wyjścia. Na kanwie ich subtelności, wysmakowania i kojącego basu budowane jest sporo więcej i gatunki mieszają się dalej. Całość świetnie zaaranżowano, doskonale zagrano, a ciężar wokalny rozłożono aż na trzy osoby. Niestety, po połowie płyty i tak zaczyna robić się nudnawo, eklektyzm traci rozmach, brak punktu zaczepienia. Nie można polegać na tekstach. Kiedy puszczasz Lari Fari, Kasię Klich czy Sistars, to w ich słowach jest trochę wdzięku i trochę treści, podczas gdy tu jest właściwie pustka. Również w szeroko obecnym na płycie rapie. O ile jestem jednym z nielicznych, których nie denerwuje głos, flow i akcent Stuba, to taka konwencja aż prosi się o to, żeby pobawić się formą, ponawarstwiać rymy, a jeśli nie, to chociaż uruchomić wrażliwość. Niezależnie od tego, jakim językiem się posługujesz. Póki co, przy Sofie siadasz z wrażenia, wzdychasz nad poligrafią, jesteś dumny, że tak zaczyna grać się w Polsce. Po kilkunastu minutach zaś zaczynasz czytać książkę. **(flint)**



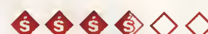
KUT-O
DON`T FUCK WIT US / MONEY / NAZIS (REMIX)
WAXWORK RECORDS



Staram się być w recenzjach możliwie chłodny i czepialski wobec wszystkich, ale to co robi z podkładami większość dolnośląskich producentów, zamienia mnie niemal w groupie. Kut-O idzie bardzo wbrew trendom. Wypuszcza klasyczny winylowy singiel, nie podąża za tendencjami w muzyce, nie polega na polskich mc. Jego warsztat jest mistrzostwem – brudne, dopracowane perkusje, które razem z basem niosą jak diabli, z wyczuciem cięte sample wpuszczone na beat w odpowiednim momencie. Niesterylne, magiczne brzmienie amerykańskiej czołówki sprzed kilkunastu lat – dobre na wstępie, z każdym kolejnym przesłuchaniem zaś jeszcze lepsze – rapem uzupełniają Earatik Statik z Chicago, Mykill Miers z Kaliforni i Sev Statik. Nie ma tu filozofii, jest za to flow i piękna chemia. Zwłaszcza godzien uwagi jest Miers, zasłużony kot doskonale znany fanom zachodniego podziemia, nie ustępujący choćby takiemu Rasco. To niby tylko trzy kawałki, wzbogacone o instrumentale i – gdzie potrzeba – brudne wersje. Ale nie tylko DJ'e powinni wydać na nie te 33 PLN. **(flint)**



DEEP / BOBIK
REFLEKSJE
UMC



Skąd dość dobra ocena? Ano, Deep ma w sobie gniew, ogień, pasję, która przykuwa do głośnika nawet po kilku przesłuchaniach. To jeden z raperów budujących swój odrębny świat i wpędzający do niego słuchacza za pomocą nieregularnego, zmiennego pod względem tempa flow. Razem z dużą dawką melancholii w solidnych, samplowanych beatach tworzy to płytę niezłą na noc, niezłą na dzień, ale najlepszą na zmierzch. Czemu więc nie wyżej? Bo Bobik jest zagubiony i na tle partnera wypada nie tyle blado, co szaro. Jest do jego świata dosztukowany i mimo paru niezłych wejść, mało wyrazisty. Poezja jest jednak indywidualna. Co do niej, to twórcy jakby przestraszyli się tego słowa i starali się nagrać parę kawałków, by upchnąć album w typowo hip-hopowe ramy. Obok rzeczy oryginalnych, mamy więc też skrajnie oczywiste. Album nie jest równy, nienajlepsza piosenka go otwiera, średni jest też singiel (!). Nawet deepowemu flow brakuje jeszcze dotarcia, a beatom brudu i ciężaru, by uzyskały ten „wu-tangowy" posmak. **(flint)**



LU
NIGHT MOVES
BLEND / ROCKERS

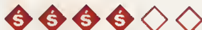


Pasuje do każdej pory i każdego nastroju, bo ma w sobie wszystko i to w doskonałych proporcjach. Nie wiercisz się przy niej niecierpliwie. Podziwiasz ją, ale miedzy nią a tobą nie ma dystansu, daje ci odetchnąć,

daje ci radość. Tak należy pisać o swojej dziewczynie i... tej płycie. Od współpracy Noona z Twisterem czekałem, aż pozbawiona granic gatunkowych, spójna, klimatyczna muzyka spotka się z wrzucanymi z gramofonu cutami. To jest sednem „Night Moves". Dodajmy muzyków i ich bas, saksofon, pianino, flet, gitary, skrzypce (niesamowite partie!), a nawet djembe, rap od Roszji i Jota, wokale od Kurnata (Tumbao) i Bianki oraz mastering od Cichego ze Skalpela. Trzy lata pracy wrocławianina Lu i spółki dały krążek na wiele lat. Brak mu mankamentów, nawet zupełnie nie pasujący track z Ostrym oddzielono do reszty sześcioma kawałkami ciszy, dając go ludziom, ale wypychając poza album z troski o kompozycję. Bo to nie z miłości do hajsu, a z miłości do dźwięku. **(flint)**



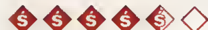
L.U.C.
HAELUCENOGENO--KLEKTYZM
KAYAX



Debiut L.U.C.'a, założyciela i głowy projektu Kanał Audytywny, jest tak samo ciężki do słuchania, jak jego tytuł do wymówienia. Wielu czepiać się będzie flow L.U.C.'a, będą też narzekający na to, że płyta jest mało komunikatywna, że dubluje psychorapowe koncepty. Jednak tworzy ona odrębną, spójną rzeczywistość tonącą w malignie. Dźwiękowo i lirycznie penetruje zakamarki ludzkiego mózgu. Docenić ją można dopiero po rzuceniu się w jej świat bez opamiętania, a przy odrobinie wysiłku przyjemność ze słuchania jest naprawdę duża. To pozycja, którą ciężko jednoznacznie sklasyfikować. Jednak z pewnością zadowoleni będą wielbiciele zadymionych downtempowych wibracji. Jeśli dodam, że album jest nienaganny pod względem produkcji, a gościnnie pojawiają się Leszek Możdżer, Igor Pudło, Magiera, Rahim, Andrzej Smolik czy Natalia Grosiak (która nota bene imponuje najbardziej), to z pozycji marginalnej „Haelucenogenoklektyzm" urasta do jednego z najbardziej interesujących krążków tego sezonu. **Tymoteusz Kubik**



CEE-LO
CEE-LO GREEN AND HIS PERFECT IMPERFECTIONS
ARISTA / SONY BMG



CEE-LO
CEE-LO GREEN IS THE SOUL MACHINE
ARISTA / SONY BMG



Dopiero wielki sukces i osiągnięcie popularności przez duet Gnarls Barkley doprowadziło do wydania w Polsce dwóch solowych płyt odpowiedzialnego za wokale w tym projekcie Cee--Lo. Dobry pomysł, bo w tym przypadku zdecydowanie lepiej późno niż wcale (no i cena też niezgorsza). Po odejściu z kolektywu Goodie Mob Cee-Lo poszedł swoją ścieżką, czego efektem był pierwszy z krążków artysty – nasycony elementami soulu, funku, rocka i hip-hopu przewodnik po jego „doskonałych niedoskonałościach". Doskonała jest na nim produkcja samego Cee-Lo wspomaganego przez L.A. Reida, doskonała jest warstwa liryczna, doskonała jest dojrzałość artysty jako wokalisty i rapera. Z tym że nie każdy będzie w stanie tych doskonałości doświadczyć... Specyfika tej wydanej w 2002 roku płyty polega bowiem na tym, że albo się człowiek zniechęci do niej po pierwszym przesłuchaniu, albo się przełamie, sięgnie po nią jeszcze raz i wtedy nie pożałuje, ponieważ wejście w zawarty na niej psychodeliczny świat Cee-Lo jest całkiem interesujące.

„Soul Machine" jest łatwiejsza w odbiorze. Po dwóch latach od solowego debiutu artysta postanowił otworzyć się na szerszą publiczność, zatrudnił Timbalanda, Jazze Pha czy DJ'a Premiera, a nawet The Neptunes, zaprosił Ludacrisa i T.I.'a. Pojawiły się aktualniejsze brzmienia, całość była bardziej przystępna, ale i tak nie znalazło to przełożenia na sprzedaż płyty, gdyż... sam Cee-Lo wciąż był sobą – niepokornym krzykaczem, eksperymentującym ze swoim charakterystycznym wysokim głosem, który nie każdy może zdzierżyć. Płyty polecam wszystkim, ale lojalnie uprzedzam: to nie zawsze jest muzyka lekka, łatwa i przyjemna, jak Gnarls Barkley. **GRB**



BUSTA RHYMES
THE BIG BANG
AFTERMATH



Busta wraca z nowym albumem i trzeba przyznać, że robi to w wielkim stylu. Można było podejrzewać, że ten krążek to wiele hałasu o nic, bo ile podobnych do siebie płyt wychodzi w ciągu jednego roku? Na szczęście tutaj udało się uniknąć tego błędu. Wszystko dzięki świetnym bitom, a tych nasz bohater nie miał ostatnio zbyt wielu. Jako że płyta wyszła w Aftermath, nie mogło zabraknąć produkcji Dr. Dre, który znów jest w formie. Słuchając kompozycji Erica Sermona czy Sha Money XL'a można odnieść wrażenie, że kopiują Doktorka, ale oni też stanęli na wysokości zadania. Doskonałą petardę zrobił Will.I.Am., Timbo pokazuje, jak potrafi bawić się perkusją, a Jelly Roll wysamplował niesamowity motyw fletu, który na długo wbija się do głowy. Nawet Swizzy pokazał się z bardzo dobrej strony. Tak więc muzycznie dostajemy cud, miód i orzeszki. Na mikrofonie Busta jak zwykle niszczy. Można się spierać o to, czy jest oryginalny, bo wciąż rymuje o pannach, życiu w gettcie i sytuacji hip-hopu w Stanach.

newsy

Witam wszystkich w IV Rzeczpospolitej, gdzie bycie wyższym niż 150 cm naraża na aresztowanie (prawo do obnoszenia się z bardziej godziwym wzrostem przysługuje tylko służbom porządkowym). Gdzie rządzą zakompleksieni i wyglądający identycznie maminsynek oraz kochający inaczej, ale jak im to powiesz w twarz, to trafisz do obozu dla Internowanych zbudowanym podobno pod Bieszczadami z przeznaczeniem dla wrogów politycznych (obóz ma około 20 milionów miejsc, planuje się utworzenie filii na kolejne 10 milionów). Gdzie ze słowników znika słowo na literę K, kończące się na A, a w środku zawierające litery ACZK (i tak na przykład znany niegdyś wierszyk o pewnej Dziwaczce trafił na listę ksiąg zakazanych, a o jego autorze można mówić tylko źle). Cóż, kwa, kwa i... miłej lektury newsów.



Wszyscy słyszeli o beefie **Płomienia 81 i Tedego** (na zdjęciu), w który nie wiedzieć dlaczego wplątał się nieszczęsny Nowator. Polecamy lekturę naszego materiału na ten temat w „Ślizgu". Ja tylko uzupełnię, że właśnie ukazały się kolejne numery. „Knebel w pysk" to ponoć ostatni już track na ten temat w wykonaniu członków Płomienia, a Tede zaatakował z „3 Koronami", też mówiąc, że na tym koniec. Fajnie, jak się coś dzieje w wakacje, nie?



Jak już zaczęliśmy „aferowo" i sensacyjnie, to idźmy dalej. Rozgorzała ostatnio kontrowersja dotycząca wykorzystania na płycie Eldo przez duet producencki **Bitnix** podkładów Wrocławian z Greenhouse. I niby pojawiło się oficjalne oświadczenie Janka i Tomka wyjaśniające i tłumaczące zamieszanie, ale jakiś niesmak po całej sprawie pozostaje. Oby takich sytuacji było w na naszej scenie jak najmniej.

Po dwóch latach przerwy Darek Malejonek, człowiek legenda polskiej sceny (między innymi jeden z twórców Izraela i lider Houk, o działalności w Arce Noego nie wspominając), razem ze zespołem **Maleo Reggae Rockers** wydaje nową płytę „Reggaemova". Singiel „Hasanoga" zapowiada się na wakacyjny hit, a krążek w sprzedaży już niebawem, bo w okolicach połowy sierpnia.

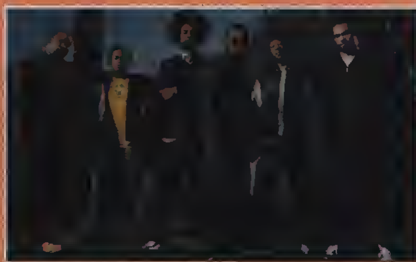


Po dosyć długim oczekiwaniu na wydanie albumu **Rakima** przez Dr. Dre w ramach Aftermath (oczekiwaniu, które było, jak już wiemy, na próżno...), raper ogłosił, że swój najbliższy krążek wyda samodzielnie. Płyta ma nosić tytuł „The Seventh Seal" i ukazać pod koniec lata. Na pewno Rakim zaprosił Nasa i, co ciekawe, nie wykluczył udziału wspomnianego Dre w tworzeniu materiału.

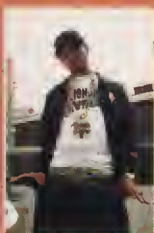


To, że **Christina Aguilera** (na zdjęciu od swojej ładniejszej strony) wydaje nowy album, nie jest może jakąś szczególną niespodzianką. Zaskakujące natomiast jest to, że na mającej ukazać się w sierpniu „Back To Basics" z wokalistką współpracował nie kto inny jak DJ Premier. Słynny hip-hopowy producent zrobił pięć podkładów na krążek. „To jest muzyka. Zawsze jestem obok hip-hopu, jazzu, soulu, country... Każdej muzyki, która niesie uczucie", stwierdził Preemo.

Po tym jak **Papoose** zdobył szacunek wielu fanów prezentując swoje umiejętności na niezliczonych mikstejpach, teraz szykuje się do wydania legalnej, pełnej płyty. Chłopak się jednak ceni. Zanim podpisze kontrakt, chce być pewny, że label, który będzie chciał wydać materiał, zapłaci mu 1,5 miliona dolarów. Chętnych nie brakuje, ale wciąż nie wiadomo, kto wyda debiutancką płytę Papoose'a.



A teraz informacja, na którą cieszy mi się morda. „Game Theory", czyli nadchodząca płyta **The Roots** ma już oficjalną datę premiery. Ukaże się 29 sierpnia. Album ma być „dojrzały, poważny i bardzo ciemny". Wiadomo, że zespół chce tym krążkiem oddać hold zmarłemu w lutym J Dilli. Co bardzo zachęcające, na płycie nastąpi zjednoczenie z byłym członkiem The Roots, Malikiem B. Ślinię się.



Pharrell Williams wydaje wreszcie długo oczekiwaną solówkę. Album „In My Mind", którego premierę przekładano już niezliczoną ilość razy (ostatnio w lutym na... czas nieokreślony), ukaże się 24 lipca. Płyta będzie miała swoją edycję również w Polsce, a „Ślizg" jest jednym z jej patronów medialnych. Oprócz Gwen Stefani i Kanye Westa, którzy pojawiają się na dwóch pierwszych singlach z płyty, gościnnie pojawią się na niej Slim Thug, Jay-Z, Daddy Yankee oraz Robin Thicke.

Jedna z najczęściej wspominanych przez mainstreamowych raperów postaci, czyli jubiler **Jacob The Jeweller**, został ostatnio aresztowany pod zarzutem prania pieniędzy. Jakov Aramov miał rzekomo przepuścić przez swój interes (oj, te wasze skojarzenia...) prawie 300 milionów dolarów należących do Black Mafia Family. Ponadto są podejrzenia, że ten rosyjski imigrant pomógł BMF w rozprowadzeniu prawie pół tony kokainy. Rzecznik Jacoba nazwał sprawę „wielkim nieporozumieniem" i wyraził nadzieję, że wszystko szybko się wyjaśni.

Ale po co? To, jak on nawija, jaką ma technikę, pokazuje, że należy do światowej czołówki. To ta sama energia i pasja, jaką znamy z poprzednich płyt. Nawet jak zwalnia tempo w „Touch It", robi to po mistrzowsku. Warto jeszcze wspomnieć o świetnych gościnnych udziałach Steviego Wondera i nieżyjącego już Ricka Jamesa. Póki co, najlepsza mainstreamowa płyta roku. **dill-o**



ICE CUBE
LAUGH NOW, CRY LATER
VIRGIN / EMI



Szesnaście lat po solowym debiucie, po sześcioletniej przerwie w wydawaniu autonomicznych płyt powraca Ice Cube. Najwyraźniej mocno wkurzony tym, że większość młodszych fanów rapu kojarzy go już tylko jako aktora i reżysera, postanowił pokazać, że na Zachodnim Wybrzeżu wciąż są weterani mogący skopać tyłki bezwstydnym rookies chcącym zabrać ich sławę. „Laugh Now, Cry Later" to dobra płyta, w wielu momentach zaskakująca. Może nie radykalizmem, z którego Cube był kiedyś znany, może nie niezwykłą błyskotliwością, może nie oryginalnością, bo tej tutaj nie mamy za dużo. Zaskakuje to, jak stary wyga Cube dobrał bity (m.in. Swizz Beatz, Lil' Jon, Budda, Scott Storch) i je okiełznał. Zaskakuje to, jak wiele w nim pasji, jak dużo chęci udowodnienia, że wciąż w tej grze jest kimś ważnym. Zaskakuje, że ten dorosły mężczyzna jedzie po niektórych raperach za ciągłe rymowanie o dupach i kasie, a sam opiera kilka kawałków o motyw „dżointy, gangsterka i panie lekkich obyczajów". Nade wszystko zaskakuje zaś przebojowość tej płyty. Gdyby nie kilka wypełniaczy (album trwa ponad godzinę i jest mocno przeładowany), to byłby zapewne powrót roku. No, a że jednak kilka wad można wymienić – to co najwyżej kandydat do tego zaszczytnego miana. **Cała / „Machina"**



INDIA.ARIE
TESTIMONY: VOL. 1, LIFE & RELATIONSHIP
MOTOWN / UNIVERSAL



Po singlowym, naprawdę świetnym „I Am Not My Hair" (nawet Akon w tym numerze wypada mocno in plus) spodziewałem się, że India nagra w końcu płytę z większym pazurem, mniej do bujania się przy ognisku, bardziej do bujania głową. Trochę się zawiodłem, bo równie porywających, energetycznych kawałków na płycie już nie ma. Jest bardzo typowo i bardzo charakterystycznie, w stylu, do jakiego India nas przyzwyczaiła na poprzednich krążkach. Piękne, mądre teksty z pozytywnym, inteligentnym przekazem, idą tu w parze ze spokojną, bardzo dopracowaną, balansującą pomiędzy soulem, bluesem i gospel muzyką. Ujmujący wokal hipnotyzuje i przyciąga swoją barwą. Dojrzałość muzyczna „Testimony..." nie pozwala na wychwycenie jakichkolwiek błędów, znalezienie słabości. Tak – to bardzo dobry album, ale zarazem album będący w 100% w stylu Indii.Arie i niczym więcej. A od wielkich wymaga się czasem właśnie czegoś więcej. **Cała / „Machina"**



DAEDELUS
DENIES THE DAY'S DEMISE
NINJA TUNE



Czasem słuchając utworów Daedelusa przychodzi do głowy takie pytanie – czy to jeszcze muzyka robiona dla ludzi i przez ludzi, czy zapanował już świat, w którym wszystkim rządzą maszyny, produkując brzmienia tak perfekcyjnie pocięte i hipnotycznie wciągające, że potrzeba nadludzkich wysiłków, by je zrozumieć. Nie wiem, wiedzieć nie chcę. Mi się to podoba. Podoba mi się ta szalona, surrealistyczna wizja latynoskiej muzyki pomieszanej z mikrosamplingiem, breakbeatem i abstrakcyjnym hip-hopem. Podoba mi się ten bajeczny świat, pełen kolorów, jasnych obrazów i muzycznych storytellingów. Podoba mi się to, że w przeciwieństwie do Prefuse 73, Daedelus nie stoi w miejscu, nie eksploruje wciąż tych samych rejonów, ale szuka nowych muzycznych terenów do podboju. Podoba mi się to, jak marzycielskie, pobudzającego wyobraźnię są kawałki na tym albumie, jak tętnią życiem i nieskrępowaną lekkością, powiewem świeżego powietrza. Za kilka lat zamiast czytać dzieciakom bajki na dobranoc, będzie się puszczało Daedelusa. Nie dlatego, że dobrze usypia, tylko dlatego, że uczy marzyć i przenosi w piękny, odległy świat. **AC**



SPANK ROCK
YOYOYOYOYO
BIG DADA



Big Dada to chyba najbardziej innowacyjny label, bo Anticon już jakiś czas temu zjadł swój ogon. Tym razem zagościli w nim nie Brytyjczycy, a ekipa z Baltimore. Czym na to zasłużyli? Płyta z pięcioma „yo" w tytule to niesamowity kolaż dźwięków i styli. Emce rapuje jak ze „złotej ery" (bardziej chodzi o styl niż tematykę), a muzycznie jest to przekrój przez klasyczny hip-hop, electro (którego jest na tym albumie aż nadto), po kawałki w stylu crunk (choć całe szczęście bez wokalu króla tego gatunku – Lil' Jona). Słucha się tego czasem z wypiekami na twarzy, ale przychodzi taki moment na płycie, że mówimy „dość". Tego materiału jest tak dużo – i nie chodzi wcale o jego długość – i jest on tak momentami „innowacyjny", że trzeba sobie robić przerwy. Każdy poszczególny kawałek (z małymi wyjątkami) to fajny singiel na dzień dobry, ale jako całość może nużyć, jak swego czasu Anti Pop Consortium. Na tę porę roku chyba najlepiej polecić „Backyard Betty". Tyle. **E**



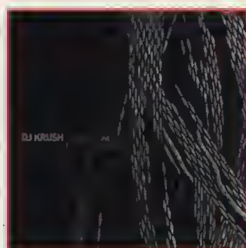
THE PROCUSSIONS

5 SPARROWS FOR 2 CENTS

RAWKUS



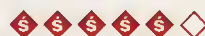
Pierwszy album w reaktywowanym Rawkusie i od razu mocne uderzenie. The Procussions to trio z Colorado, mocno zakorzenione w klasycznym hip-hopie, ale zarazem otwarte na inne gatunki. I słychać to na albumie. Produkcje Stro są przebojowe, soczyste, klimatyczne. Mają jazzowy posmak, czasem uciekają do soulu („I'll Fly"), czasem do electro („Rain Dance"), czasem do funku („Shabach"). Lirycznie płyta jest bardzo solidna, flow są wyrobione, pewne, ale niestety nie wyróżniają się absolutnie niczym. Res dobrze zgrywa się z bitami, po drodze im z takim głosem jak jego, gorzej z Mr. J, którego wysoki głos i emfaza we flow potrafią zirytować. Nie przeszkadza to jednak w słuchaniu tego albumu, a jest to duża przyjemność. Płyta ma „to coś", co sprawia, że włącza się ją kolejny raz. I kolejny, i kolejny... A „Miss January", „Simple Song" czy wspomniane „I'll Fly" to kawałki, których można słuchać do znudzenia. Reaktywacja legendarnego labela jak najbardziej udana. I dodatkowe pół „eśki" za dwa rewelacyjne remiksy. **Med**



DJ KRUSH

STEPPING STONES (THE SELF-REMIXED BEST)

SONY MUSIC



Mrok, ostrość wyrazu, szorstkość kompozycji. Jeśli słońce, to raczej takie palące, niedające wytchnienia i uśmiechu, wręcz przeciwnie. Jeśli złagodzenie brzmienia, to tylko po to, by za moment uderzyć w nasze odbiorniki ze zdwojoną siłą. To nie jest lekka, łatwa i przyjemna w słuchaniu kompilacja. To nie jest w żadnym wypadku „greatest hits". To zamknięcie pewnego rozdziału w twórczości genialnego muzyka (album to 2 CD – „Lyricism" z partiami wokalnymi i „Soundscapes"), który nie poszedł jednak na łatwiznę kompletując jedynie na chybił trafił nagrania z poprzednich płyt. Starsze numery poddane są „rekonstrukcji", najczęściej mocno zmieniającej ich oblicze. Np. „Shinjiro" z Mos Defem z czilautowej, bujającej głową kompozycji zmieniło się w walący z ogromną siłą młot pneumatyczny. Świetnie pasują tu utwory z ludźmi z kręgu Rawkus/Def Jux/Anticon – podobne poczucie estetyki i punktu widzenia na muzykę. Instrumentalne tracki przenoszą nas do świata zasnutego czarnymi chmurami, pogrążonego w mroku, chaosie, z widocznymi na niebie, przeszywającymi go piorunami. Skrecze wbijają w ziemię, zmiany tempa sprawiają, że odruchowo pytamy „o co tu w ogóle chodzi?!". No właśnie o to. O to, co od lat przyciąga tak bardzo w muzyce Krusha. Nieprzewidywalność, eklektyzm i autentyczną pasję tworzenia. **AC**



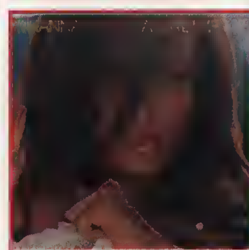
MR. LIF

MO' MEGA

DEF JUX



Mr. Lif to dobry mc, którego zawsze szanowałem. Charakterystyczny głos, dobre, wypracowane latami flow, ciekawe pomysły... Niestety, po bliższym zapoznaniu się z jego nowym solowym albumem, muszę stwierdzić, że od kilku ładnych lat Lif stoi w miejscu i zupełnie się nie rozwija. Praktycznie to samo można powiedzieć o głównym producencie tego albumu – El-P. Oklepane, schematyczne bity, nic nie wnoszące do twórczości obu panów. Można by wywnioskować, że Lif rozwinął swój styl na tyle, że może tylko kontynuować swoją twórczość, ale nie – to jeszcze nie jest ta klasa. Naturalnie nie brakuje tutaj perełki, jaką jest mistrzowski, bardzo szybki kawałek z Mursem (z kolektywu Living Legends) „Murs Is My Manager" (na bicie samego Lifa). Niestety, nie jest on w stanie uratować tego albumu, który właściwie niczym nie różni się od poprzednich. **Med**



RIHANNA

A GIRL LIKE ME

DEF JAM / UNIVERSAL



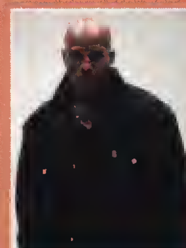
Drugi album młodziutkiej piękności z Barbadosu niczym nie zaskoczy odbiorców znających jej wcześniejsze dokonania. Pięćdziesiąt minut seansu z albumem upłynie wam w rytm brzmień z pogranicza r&b, popu i muzyki z Karaibów. Na albumie znajdą coś dla siebie zarówno fani przebojów w stylu Shaggy'ego czy Seana Paula („Break It Off" z tym drugim jako gościem, „Kisses Don't Lie") jak i wielbiciele hip-hopu („If It's Lovin' That You Want, Pt. 2" na bicie Trackmasters). Nie będą zawiedzeni ci słuchacze, którzy lubią proste, agresywne, ale przy tym megaprzebojowe i niemogące wyjść z głowy bangery („S.O.S."). Reszta materiału przede wszystkim miło i sympatycznie buja karkiem (świetne „We Ride", „Dem Haters") i tylko zamykające zasadniczą część płyty „A Million Miles Away" odbiega od tego klimatu, będąc popową balladą w stylu – daleko nie przymierzając – wczesnej Mariah Carey. Tak naprawdę średnio przeszkadza to, że Rihanna nie ma wyróżniającego głosu i warsztatu, bo nie tego tu oczekujemy. Jest ciepło, miło, słonecznie i bujająco. Na lato jak znalazł. **AC**



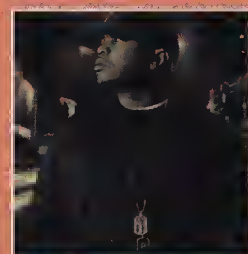
Nowości z pierwszej ręki od **Commona**. Otóż, już jesienią ma ukazać się następny album rapera po świetnie przyjętym „Be". Płyta „Finding Forever" – tak jak poprzedniczka – będzie w większości produkowana przez Kanye Westa, do tego dojdą produkcje nieodżałowanego J Dilli oraz Kareema Rigginsa. Ponadto Common ma zagrać czołową rolę w filmie „Smoking Acres", który wejdzie na ekrany na początku 2007 roku.



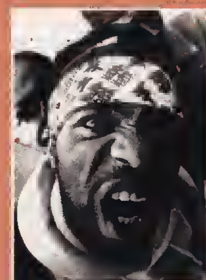
Jak **Masta Killa** długo nie wydawał solówek, tak teraz się rozkręcił i już niebawem będziemy mogli usłyszeć jego drugą po „No Said Date" płytę. Raper zaprosił na krążek Made In Brooklyn" wszystkich członków Wu-Tang Clanu, a wśród producentów mamy MF Dooma, Bronze Nazareth, PF Cuttin i Pete Rock. Album w sprzedaży już 8 sierpnia.



Nie ustają problemy **DMX'a** z prawem. Jak go nie zatrzymają za nieprzepisową jazdę, to go przyuważą, kiedy chowa pod siedzeniem samochodu broń. Na jego miejscu przesiadłbym się na rower, bo najwidoczniej raper jest na bakier z jazdą. Z bardziej radosnych wieści (o planowanym na 1 sierpnia nowym krążku już pisałem), DMX bierze właśnie udział w pracach nad nowym filmem ze swoim udziałem. Obraz „Death Toll" opowiada o przemocy w New Orleans z początku lat 90. Producenci chyba nie wróżą mu sukcesu, bo film od razu trafić ma na DVD. Do tego warto wspomnieć o reality show „Soul of a Man" z DMX'em w roli głównej, które ruszyło na BET.

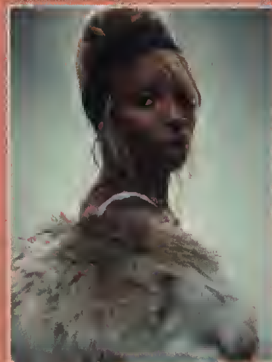


Drugi solowy album **Stylesa P**, „Time Is Money", ukazuje się już w sierpniu, ponad 4 lata po premierze debiutanckiego „A Gangster And a Gentelman". Wiadomo, że możemy spodziewać się produkcji od Alchemista, Lil' Jona, Hi-Teka, Havoca i Scotta Storcha. Na mikrofonie między innymi Marsha z Floetry, Talib Kweli, Jadakiss Akon i Jagged Edge. Czyżby kolejny bestseller?



Wu-Tang Clan rusza we wspólną trasę. Wezmą w nim udział wszyscy (oczywiście oprócz ODB) członkowie składu. Tu i ówdzie dołączą do nich inne sławy, jak Boot Camp Clik, Kanye West czy Talib Kweli. Ostatni album WTC ukazał się w 2001 roku, a coraz częstsze wspólne

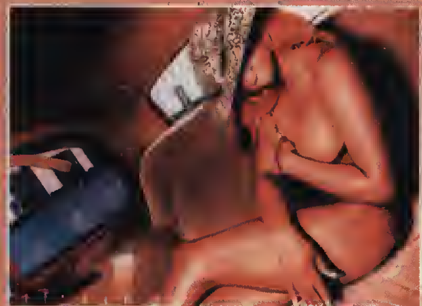
występy niosą nadzieję na nowe wydawnictwo. Póki co jednak szykujemy się na nową solówkę Method Mana (na zdjęciu). W zeszłym miesiącu napisałem, że ukaże się ona pod koniec lipca, ale premierę „4:21. The Day After" przesunięto na 22 sierpnia.



27 czerwca rozdano nagrody muzycznej telewizji BET, czyli **BET Awards**. A oto kilku zwycięzców: Missy Elliott (najlepsza raperka), Chris Brown, (najlepszy nowy artysta, nagroda widzów), Prince (najlepszy męski wykonawca r'n'b), T.I. (najlepszy raper), Mary J. Blige (na zdjęciu; najlepsza wykonawczyni r'n'b), Kanye West i Jamie Foxx (najlepszy duet za „Gold Digger"), Chaka Khan (nagroda za całokształt twórczości). Do tego Mary J. podzieliła się z Westem i Foxxem nagrodą za najlepsze video.

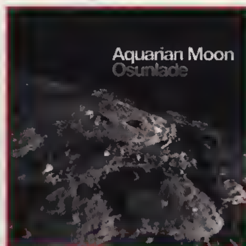


Album **Boot Camp Clik** już do kupienia (chociaż oczywiście nie w Polsce, bo u nas wydaje się Ramonę Ray i Beatę Psikubrak), artykuł w tym numerze „Ślizgu", a lider BCC, Buckshot, szykuje swój kolejny album. Znów – tak jak przy okazji zeszłorocznego „Chemistry" – będzie to kolaboracja z producentem 9th Wonderem, a nosić będzie tytuł „The Formula". Niestety, płyta ujrzy światło dzienne dopiero w pierwszym kwartale 2007 roku.



3 lipca był szczęśliwym dniem dla **Lil' Kim**, która, jak zapowiadałem w zeszłym miesiącu, opuściła więzienne mury. Kim wyszła z więzienia trzymając w rękach balonik i naręcze białych róż – jakże słodko. Ponoć wypuszczono ją nieco wcześniej w nagrodę za dobre zachowanie. Cóż, teraz pozostaje wbić się szybko do studia i pojechać na fejmie wydając płytkę. Ach, ten showbiz.

przygotował Grabiszczy



OSUNLADE
AQUARIAN MOON
BBE / SONIC



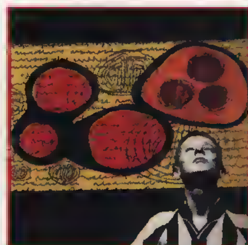
Osunlade to już żywa legenda progresywnej muzyki tanecznej i housu. Facet mający na koncie niezliczoną ilość platynowych singli i remiksów znanych pod każdą szerokością geograficzną, postanowił na trochę odpocząć od produkcji bangerów „pod nóżkę". Osu na kilka tygodni przeniósł się na grecką wyspę Santorini i tam nagrał „Aquarian Moon", album będący muzycznym krajobrazem tego uroczego miejsca. Słychać na tym albumie spokój, relaks, wytchnienie. Producencki talent Osunlade pozwolił mu stworzyć coś na kształt ambientowego soundtracku do nigdy nie nagranego filmu. Chillout, jazzowe naleciałości, szczypta brzmień etnicznych, czasem hip-hopowa pulsacja, nierzadko soulowa elegancja i ciepło. Dodając do tego fantastyczne partie trąbek, smyczków (wszystko to dzieło samego Osu), dostaliśmy materiał wręcz idealnie pasujący do słuchania w tle podczas wakacyjnego wypoczynku. **AC**



SWORN ENEMY
THE BEGGINNIG OF THE END
CENTURY MEDIA / EMI



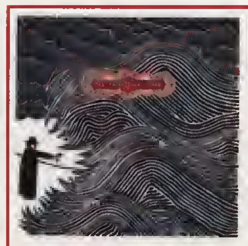
Nowy Jork w natarciu! Tuż po swych starszych ziomkach z Sick Of It All, inna ekipa z nowojorskiego Queens przypomniała o sobie nową płytą. Sworn Enemy dryfuje wprawdzie coraz bardziej w stronę metalu, ale podstawą jego muzyki pozostaje nadal rasowy, potężnie brzmiący hardcore. Hardcore oparty na masywnym rytmie (podwójna stopa!), z rzeźniczą gitarą i świetnym wokalistą na szpicy. Jedyne, czego nie sposób zaakceptować w muzyce zespołu, to gitarowe solówki. Za nie obniżam ocenę o pół eśki, żywiąc jednak nadzieję, że tytułowy początek końca zwiastuje kres podobnym popisom nadgorliwych instrumentalistów. Panowie, hardcore to hardcore, a nie gitarowe parafrazy dźwięków wydawanych przez latające insekty. **/Sebastian Rerak/**



POTTY UMBRELLA
ALL YOU KNOW IS WRONG
POST_POST / ROCKERS PUBLISHING



Zespół Potty Umbrella tworzą byli członkowie grup Tissura Ani i Something Like Elvis. Ostatnia płyta tego drugiego, „Cigarette Smoke Phantom", w pewien sposób określiła kierunek, w jakim podążyli muzycy z niewielkiego Szubina. Bliższe jazzowi niż szeroko pojmowanej gitarowej alternatywie eksperymenty z post-rockową formą, jakie wówczas rozpoczęli, znajdują swoje rozwinięcie w kompozycjach Potty Umbrella. Te z kolei imponują bogatą fakturą, zupełnym brakiem skrępowania ramami konwencjonalnej piosenki i dialogami instrumentów (pulsujący bas, elektryczne pianino, dwie perkusje). Psychodeliczna transowość muzyki Potty Umbrella powinna spodobać się zarówno fanom awangardowych odjazdów w stylu The Ex, jak i zwolennikom Radiohead. **/Sebastian Rerak/**



THOM YORKE
THE ERASER
XL RECORDINGS / SONIC



To było tak... Thom Yorke zwolnił się na jakiś czas z obowiązków lidera Radiohead i zaszył w domowym zaciszu. Uzbrojony jedynie w syntezator, zaczął komponować piosenki nie mieszczące się w repertuarze macierzystej grupy. Dziewięć z napisanych wówczas utworów nagrał następnie w studiu, gdzie do dyspozycji miał gitarę akustyczną i laptopa. No i oczywiście jeden z najbardziej rozpoznawalnych głosów we współczesnej muzyce około-rockowej. „The Eraser" nie jest jednak płytą rockową. To album, na którym skromnymi środkami – prostą grą na „pudle" i ascetycznie dawkowaną elektroniką – Yorke zaklina nostalgię i pobudza do refleksji nad kursem, jaki obiera cała nasza cywilizacja. Jeżeli też zdarza się wam nad tym dumać, pozwólcie uraczyć się tą elektroakustyczną melancholią. A nuż znajdziecie w wokaliście Radiogłowych pokrewną duszę. **/Sebastian Rerak/**

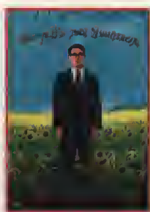


NOWY ŚWIAT
NOWY ŚWIAT
JIMMY JAZZ



Już okładka płyty sugeruje, z czym będziemy mieli do czynienia. Przywołuje skojarzenia z debiutanckim albumem The Clash. Szkoda, że na tym porównania z nieśmiertelną ekipą Joe Strummera muszą się zakończyć... Debiutancka płyta Nowego Świata to punk w czystej postaci. Muzyka jest dynamiczna, szybka, energetyczna i zagrana bez większych umiejętności, za to z pasją. Teksty czasem poruszają tematy ważne, częściej są jednak głupie, a w każdym przypadku – grafomańskie. Podpieranie się w jednym z kawałków muzyką Sex Pistols niewiele daje, bo oni też grać nie potrafili, za to mieli cwanego menedżera. Z pewnością przed Nowym Światem jeszcze sporo roboty, ale jest nadzieja, że kapela rozwinie jeszcze skrzydła. Dodatkowe pół „eśki" na zachętę. **hb**

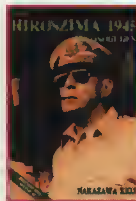
WSZYSTKO JEST ILUMINACJĄ



REŻ. LIEV SCHREIBER
WARNER

Solidny amerykański aktor Liev Schreiber (ostatnio remake „Omenu") debiutuje po drugiej stronie kamery ekranizacją bestsellerowej powieści Jonathana Safrana Foera. „Rodzi się nowa literatura holocaustowa, w której więcej jest literatury niż Zagłady" – pisal na lamach „Polityki" o tej książce Juliusz Kurkiewicz. W dramatycznym filmie Schreibera też jest na szczęście więcej filmu niż dramatu. Owa filmowa esencja przejawia się przede wszystkim w klimatycznych zdjęciach Matthew Libatique'a, nostalgicznej muzyce Paula Cantelona i piorunująco dobrej roli Eugene'a Hutza, frontmana kultowego ukraińskiego bandu Gogol Bordello, który przyćmiewa tu samego, skądinąd bardzo porządnego, Elijaha Wooda. Na prawdziwą gwiazdę tej poetyckiej tragikomedii wyrasta jednak pies Sammy Davis Jr. Wszystkie sceny z jego udziałem to perelki. Sam film też jest w sumie taką niecodzienną, rzadko spotykaną perłą kina. Żałuję, że śp. Zygmunt Kałużyński go nie doczekał. **Piotr Dobry**

HIROSZIMA 1945, TOM 4



SCENARIUSZ I RYSUNKI: NAKAZAWA KEIJI
WANEKO

komiks

Akcja czwartej części najbardziej poruszającego emocjonalnie komiksu świata rozgrywa się już po zakończeniu II wojny światowej. Ocaleni próbują zacząć nowe życie na gruzach nie tylko zrównanej z ziemią Hiroszimy, ale i rozbitego i zdemoralizowanego japońskiego społeczeństwa. O zakład idę, że „Hiroszima 1945" – jako dokumentalna relacja z pierwszej ręki – daje większą wiedzę o dramatycznym losie „bezimiennych" ofiar wojny niż niejedno naukowe opracowanie. Prosta mangowa kreska wzmaga jedynie doznania i w efekcie wstydem jest nie uronić łzy nad losem rodziny Nakaoka i tysięcy im podobnych ofiar największego absurdu, jaki wymyślił człowiek. **/Sebastian Rerak/**

MEAN CREEK



REŻ. JACOB AARON ESTES
VISION

Ten film miał wejść u nas do kin już w pierwszej połowie ubiegłego roku, potem dystrybutor kilkakrotnie przesuwał datę premiery, aż w końcu zdecydowal się go wypuścić od razu na DVD. Z marketingowego punktu widzenia to decyzja sluszna – „Mean Creek" jest produkcją niszową z dość leniwie toczącą się akcją i aktorami znanymi stosunkowo nielicznej garstce widzów. Poza tym, to jeden z tych filmów, które zdecydowanie bardziej nadają się do kontemplowania w samotności w fotelu domowym niż przy udziale osób trzecich (czytaj: siorbiących i mlaskających) w multipleksowym. Estes bez żadnych fajerwerków, przy użyciu prostych środków filmowych i takoż surowego scenariusza przejmująco opowiada o niechcianym, bolesnym, „szarpanym" wchodzeniu w dorosłość. A zupelnie przy okazji wychodzi na jaw fajna zależność – im mlodszy Culkin, tym bardziej utalentowany, bo ani Macaulay, ani nawet Kieran nie zagrali nigdy tak dobrej roli, jaką tutaj odgrywa Rory. Kawalek rzetelnego, uczciwego kina. **Piotr Dobry**

ESSENTIAL X-MEN TOM 1



RÓŻNI AUTORZY
MANDRAGORA

komiks

Album zbiera historie z komiksów „Giant-Size X-Men" #1 oraz „X-Men" #94-119. Podobnie jak w przypadku większości „Essentiali", przedstawiających przecież komiksy sprzed ładnych paru lat, treściowo i wizualnie to straszny oldskul. O ile jednak w „Conanie" ten staroświecki styl sprawdzał się znakomicie, a w „Daredevilu" był rozbrajająco zabawny, o tyle w komiksach o mutantach mniej odpornych czytelników może zniechęcić. Postaci są strasznie papierowe (można docenić, co po latach scenarzyści zrobili z X-Menów), dialogi drętwe, akcja szybka, ale nadto wydumana. Slowem: dla jednych obciach, dla drugich (czyli zagorzałych wielbicieli X-Men, fanatycznych kolekcjonerów i dla mnie) – coś wspaniałego. Polecam, ale tylko czytelnikom świadomym tego, co zobaczą w środku. Okladka – tradycyjnie – narysowana przez polskiego rysownika. Szkoda tylko, że utalentowany przecież Clarence Weatherspoon tym razem slabo sobie poradził. **hb**

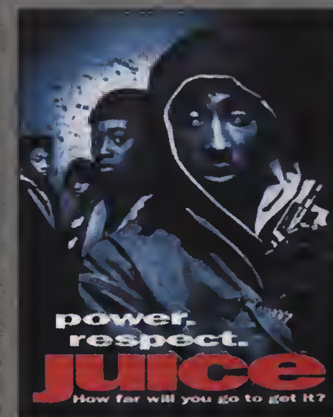
RÓŻA SELERBERGU



EWA BIAŁOŁĘCKA
RUNA

Ewa Białołęcka jest uznaną autorką w stale rosnącym światku polskiej literatury fantasy, ale okladka „Róży Selerbergu", przypominająca walentynkową pocztówkę, kazała mieć się na baczności w kontakcie z tym zbiorem trzech mini-powieści. W dodatku pierwsza z nich, opowiadająca o perypetiach nastoletniego rodzeństwa – uczniów szkoły z internatem (bardzo przypominającej Hogwart Harry'ego Pottera) – serwuje garść intryg niczym z młodzieżowego serialu. Czyżby lektura w stylu opowiadań z „Bravo Girl", tyle że

czarno widzę



JUICE (1992)
reż. Ernest R. Dickerson

Nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie ten film funkcjonował w obiegu wideo pod nazwą „Miasto Aniołów 2". Ów tytuł nawiązywał do taniej sensacji wypuszczonej na rynek dwa lata wcześniej – „Miasta Aniołów" Erica Karsona z Olivierem Grunerem. Było to o tyle dziwne, że oba filmy mają zupełnie inne fabuły i bohaterów, a łączy je tylko to, że rozgrywają się w getcie. Co więcej – obraz Karsona to naparzanka z ulic L.A., zaś film Dickersona opowiada o losach czterech młodych przyjaciół z Harlemu, który jak wiadomo położony jest w Wielkim Jabłku, nie zaś w Mieście Aniołów.
Te zawirowania z nazewnictwem nie przeszkodziły jednak ludziom zafascynowanym hip-hopową kulturą wyłuskać film z zalewu „wypożyczalnianego" szajsu i uczynić zeń obiekt kultu. Czy słusznie? I tak, i nie. Ani reżyseria, ani scenariusz nie wybiegają tu poza ówczesny standard proponowany przez kino klasy B. Postacie nakreślono pobieżnie, nie zadbano też o uzasadnienie nagłej przemiany psychologicznej Bishopa granego przez 2Paca. Do tego dramaturgia rozwijająca się ruchem sinusoidalnym i rozczarowujące zakończenie. „Juice" z pewnością nie wytrzymuje porównań z wczesnymi dokonaniami Singletona i braci Hughes. Broni się za to kapitalnym soundtrackiem (Eric B. & Rakim, Naughty By Nature, Cypress Hill) oraz zadziwiająco dobrym jak na tego typu produkcję aktorstwem.
„Juice" przeszedł do historii jako pierwszy film 2Paca (wcześniej artysta mignął tylko w maleńkim epizodzie komedii Dana Aykroyda „Same kłopoty" jako członek Digital Underground), ale dla mnie pozostaje ważny głównie dlatego, że jest ogólnie filmem debiutów. Nieprawdopodobne, ileż dzięki niemu ujawniło się talentów na filmowej mapie. I jeszcze bardziej niesłychane, ile z nich zostało niespełnionych. Debiutował w nim Omar Epps, jeszcze do niedawna za sprawą „Brothera" Kitano „wielka nadzieja czarnych", obecnie po serii występów w kilku kłapach terminujący w serialu telewizyjnym „Dom" (nie, nie ten „Dom"...). Debiutował też Khalil Kain, który wciąż – mimo niewątpliwych atutów aktorskich – nie potrafi się przebić chociaż do drugiej ligi. W niewielkich rolach debiutowali George Gore II (późniejszy syn Malika Yoby z „New York Undercover") i Donald Faison („Felicity" J. J. Abramsa). W epizodach błysnęło wiele gwiazd rapu, m.in. kolesie z EPMD, którzy potem nie pojawili się już w żadnym filmie. No i sam reżyser Dickerson, który nigdy później nie nakręcił nic lepszego. Jeszcze długo można by o tym pisać, ale limit znaków właśnie dobiegł końca. Do następnego.

Piotr Dobry

książką po mapie

Wycieczka do Japonii wymaga od podróżnika wielkiej cierpliwości i bardzo grubego portfela. Oskar Wilde uważał, że „Nie ma takiego kraju ani takich ludzi". Jest jednak sposób na podróż sporo tańszą, pozbawioną ryzyka, wygodną i satysfakcjonującą



ŚWIAT Z PAPIERU I STALI – OKRUCHY JAPONII

RÓŻNI AUTORZY

WANEKO

„Świat z papieru i stali" to napisana z pokorą i entuzjazmem antologia. Wiedza o Kraju Kwitnącej Wiśni przemycana jest tu w kilku zupełnie różnych rozdziałach. Aleksandra Watanuki w dziale „W normalnej Japonii" bardzo naturalnie miesza reportaż z felietonem umiejętnie pokazując proces oswajania się z odmiennym krajem, pracy i studiowania w nim. Barwna „Japonia dziś" ma już różnych autorów. I nic dziwnego, bo z jednej strony przemyca wiedzę odnośnie tego, jak Japończycy odbierają Polskę, z drugiej daje pogląd na rozwój technologiczny, a nawet modę i sposoby pielęgnacji ciała (zwykle takie rzeczy mnie nie interesują, ale tu potrafią zaciekawić i zaskoczyć). „Japonia od kuchni" dostosuje wyszukany jadłospis do polskich możliwości, zaproponuje dowcipną narrację i pozwoli działać nawet kulinarnym beztalenciom. Większy problem mam z działem historycznym i najobszerniejszą, poświęconą mandze częścią. Tu dobór tekstów jest zdawkowy, pozbawiony klucza i niestety potrafi znudzić. Wychodzi też największa wada wydawnictwa: częste, mocno łopatologiczne tłumaczenie, że manga to nie tylko blondynki o wielkich oczach, a Japonia wcale nie stanowi zbiorowiska odizolowanych od reszty świata wariatów, a do tego lament nad polską ignorancją. „Okruchy Japonii" smakują nieźle i pobudzają apetyt, czekamy więc na pełne danie, lepiej skomponowane i robione z większą wiarą w smak odbiorcy.



JAPOŃSKI WACHLARZ

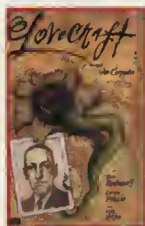
JOANNA BATOR

TWÓJ STYL

„Japoński wachlarz" Joanny Bator nie pozwoli Japonii odczuć (tu odsyłam do „Bezsenności w Tokio" Bruczkowskiego), ale pozwoli ją zrozumieć. Bynajmniej nie przekonuje się tu odbiorcy, że tych kilka wysp to najnormalniejsze miejsce na świecie. Przeciwnie – mamy nacisk na osobliwości języka, kuchni, teatry, w których pojęcie „płeć" wywrócone jest do góry nogami, mamy nawet szokujący daleko bardziej od japońskich horrorów rytuał upamiętniania nienarodzonych dzieci. Czasem brzmi to jak raport z Marsa, tyle że kontekst wyjaśniony jest tak umiejętnie, dociekliwie i z olbrzymią erudycją, że egzotyczne staje się zrozumiałe. Nienormalne, ale pojmowalne. Owszem, autorka trzyma akademicki dystans, może deprymować filozoficzno-antropologicznym podejściem i przesadzać z feministycznymi akcentami (Japonia jest bowiem ukazana przez pryzmat kilku bardzo rożnych przewodniczek). Jasne, dobór faktów i sytuacji bywa selektywny (fani mangi nie będą najszczęśliwsi). Wszystko to zrekompensuje świetny styl, wciągająca kompozycja i jasne odpowiedzi na trudne pytania, bo nawet kwestie seksu poruszane są tu bez pruderii i zbędnego podniecenia. Dla wszystkich, którzy chcą osiągnąć drugi stopień wtajemniczenia w Japonię, trochę przy tym pomyśleć i dobrze się bawić.

Marcin Flint

w kostiumie fantasy? Na szczęście nie. Pierwsze miłostki i problemy okresu dorastania to tylko pretekst dla snucia humorystycznej opowieści szydzącej z utartych gatunkowych schematów. Dwie kolejne historie opowiadają zresztą już nie o sfrustrowanych nastolatkach, lecz o smokach i ich nieudacznych prześladowcach, a wyłowić z nich można odrobinę pure nonsensu, sporo nawiązań do znanej nam rzeczywistości i kilka intertekstualnych żartów. Rzecz jak znalazł na lato, bo „Róża Selerbergu" jest pogodną, lekką (by nie rzec lekkostrawną) książką, która dobrze sprawdza się jako literacki odstresowywacz. **/Sebastian Rerak/**





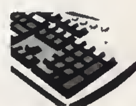
LOVECRAFT

SCENARIUSZ: HANS RODIONOFF, KEITH GIFFEN
RYSUNKI: ENRIQUE BRECCIA

EGMONT

Absolutna rewelacja. Nietypowa biografia jednego z najważniejszych autorów powieści grozy, Howarda Phillipsa Lovecrafta. Nietypowa, bowiem na swojej drodze pisarz spotyka potwory, które sam powołał do życia na kartach swoich opowiadań. Czy też raczej – jak chcą autorzy komiksu – opisywał to, z czym się spotkał. Nie jest to też – jak mogłoby się wydawać – prozaiczny horror czerpiący z biografii i dokonań Lovecrafta. Wyraźne sugestie, że mitologia Wielkich Przedwiecznych zrodziła się w umyśle pisarza z wolna popadającego w obłęd, pozwalają na odczytanie „Lovecrafta" jako ponurego dramatu psychologicznego. Bardzo dobry scenariusz zyskał też tu znakomitą wprost oprawę graficzną: Enrique Breccia zmienia styl rysowania w zależności od nastroju opowieści, co daje fantastyczny efekt. Naprawdę warto przeczytać, zwłaszcza że „Lovecraft" otwiera nową serię „Obrazy grozy", w której będziemy mogli w przyszłości przeczytać m.in. albumy Neila Gaimana i komiksowe adaptacje prozy Clive'a Barkera. **hb**





HEROES OF MIGHT & MAGIC V

UBISOFT/CD PROJEKT

Wszyscy fani starych Herosów (czyli do części III) będą usatysfakcjonowani. Grę stworzył rosyjski zespół Nival odpowiedzialny m.in. za Etherlords, który od samego początku zapowiadał, że będzie się starać odtworzyć dawną magię gry i słuchać opinii fanów. Takoż się stało i dlatego właśnie wszyscy fani serii, którzy albo już postawili krzyżyk po czwórce, albo z ogromnym niepokojem oczekiwali części piątej, mogą spać spokojnie, a właściwie grać. Akcja gry toczy się w nowej krainie Ashan, zaś sama rozgrywka przypomina bardziej trójkę niż czwartą odsłonę Herosów. Nie można nie wspomnieć o nowej oprawie graficznej, w pełni trójwymiarowej, która to robi naprawdę spore wrażenie (oczywiście jeśli myślimy o strategiach). Cóż więcej dodać? Jeśli się wam znudzi kampania single-player, to możecie sobie jeszcze pograć w całkiem udany multi. Gra oczywiście jest skierowana raczej do lubiących strategie bądź inne RTS-y, więc fani strzelanek raczej sobie powinni ją odpuścić. **gad**



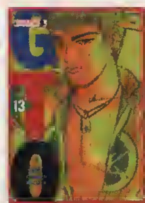


WU-TANG CLAN

LEGEND OF THE WU-TANG CLAN: THE VIDEOS

SONY BMG

Tytuł tego DVD jest bardzo adekwatny. Wu-Tang Clan to w tej chwili faktycznie legenda. W szczególności zaś dla tych, którzy pamiętają zajawkę towarzyszącą początkom działalności składu. I to właśnie oni będą mieli największą radość z oglądania materiału zawartego na tym wydawnictwie. Obok bowiem wszystkich klipów, jakie kiedykolwiek WTC wypuścili – a jest ich czternaście, z czego aż sześć pochodzi z pierwszego krążka „Enter The Wu-Tang (36 Chambers)" – mamy na DVD ponad dwudziestominutowy dokument nagrany w 1994 roku u progu sławy składu. Wypowiedzi młodych wówczas raperów w połączeniu z fragmentami kameralnego koncertu przywołają nostalgiczny uśmiech na twarzy niejednego starego fana Clanu. A młodsi? Też niech sprawdzą – zawsze to cenna lekcja z przeszłości rapu. **GRB**





GTO, TOM 13

SCENARIUSZ I ILUSTRACJE: TORU FUJISAWA

WANEKO

Eikichi Onizuka jest wprawdzie nauczycielem, ale jego metod dydaktycznych nie pochwaliliby nobliwi japońscy belfrowie ani tym bardziej polski minister edukacji. Ten były członek gangu motocyklowego wszedł do krainy oświaty niezbyt etycznymi sposobami, a teraz wykorzystuje swoją pozycję, by oddawać się ulubionemu zajęciu – podglądaniu młodych dziewcząt. Okazji ku temu nie zabraknie podczas wyprawy na tajemniczą wyspę, na którą udaje się klasa Onizuki. Już na miejscu, niekonwencjonalny pedagog zmusi swoich podopiecznych do... poszukiwania skarbu. „GTO" nie kładzie na łopatki rysunkami, bo ciężko uznać Toru Fujisawę za mistrza ołówka i rapitografu, ale zwariowanych pomysłów, humoru z okolic gumki od majtek i trzymającej w napięciu akcji jest w tej mandze pod dostatkiem. W niniejszym tomiku polecam waszej uwadze zwłaszcza pyszne nawiązanie do kultowego „Ringu". Wspominałem już, że wśród pozornie zrównoważonych i supergrzecznych Japończyków trafiają się nieźli wariaci? No cóż, Fujisawa i jego bohater to dobre na to dowody. **/Sebastian Rerak/**

SUMMER MIX GALLERY



MASH - DJESO Nancy


MASH


SADER Trier


MASH



NASK - Trier


MASH - DJESO - Nancy


???


MASH

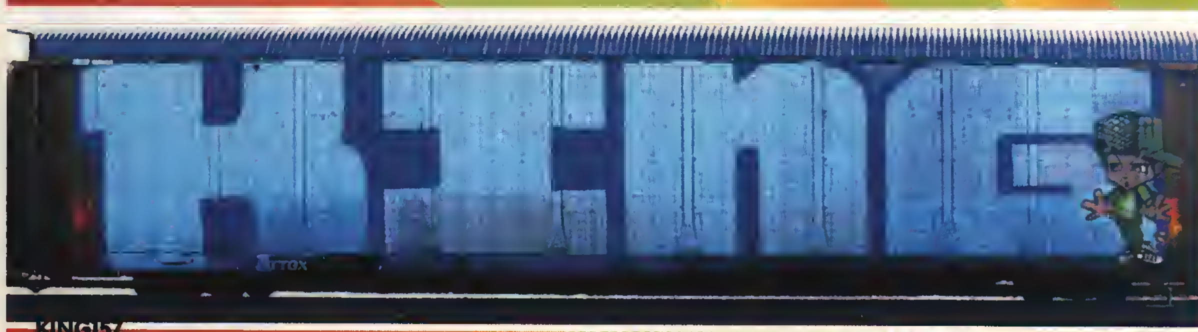

???


MASH



CHEZ - KEM - KING157

SUMMER GALL



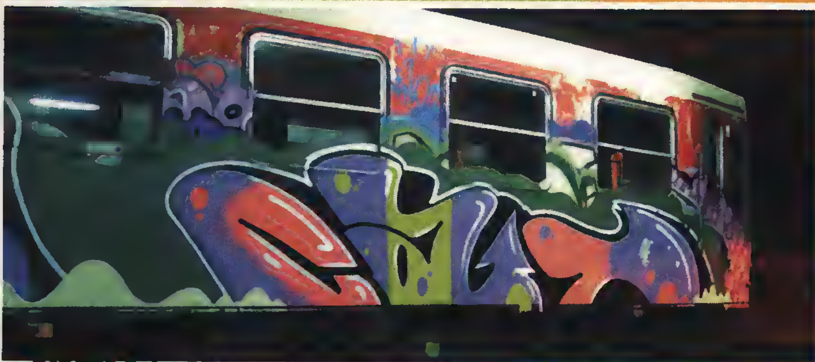
KING157



POSTER/ZSE



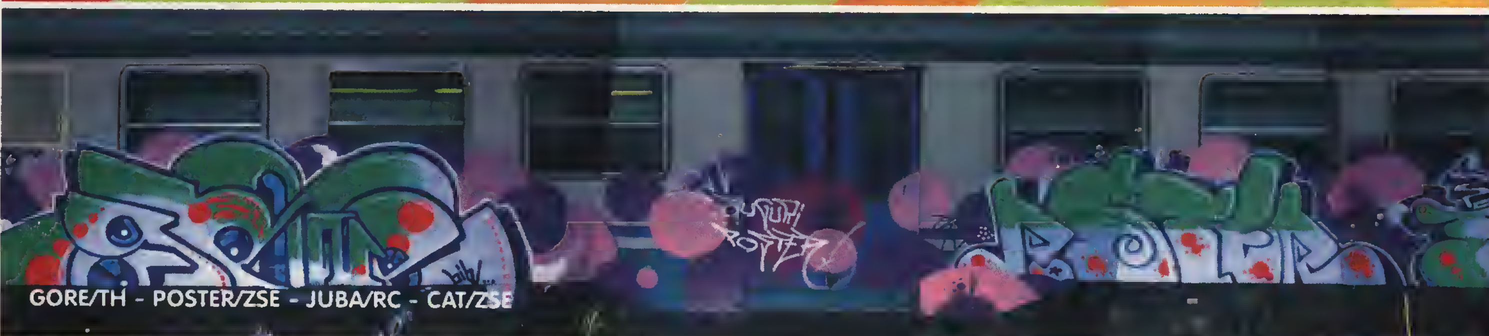
SIRIO/ZSE



CAT/ZSE Salerno



CAT/ZSE Salerno



GORE/TH - POSTER/ZSE - JUBA/RC - CAT/ZSE





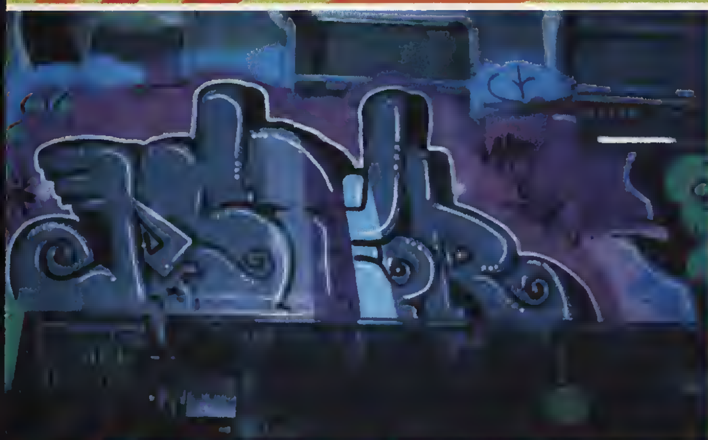
CRASH17 - NEYM



CYEZ



SIRIO



STER/ZSE



POSTER/ZSE



AT/ZSE Salerno



CAT/ZSE Salerno

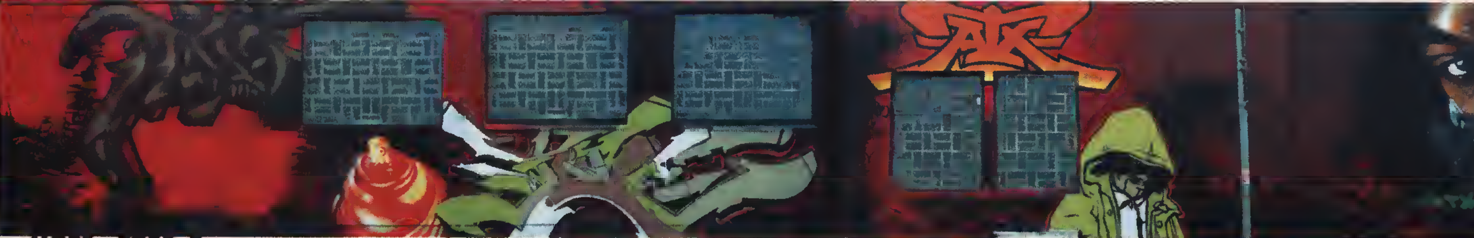




SUTE - MENS- MORE - TOBE Bremen


TEMA - TOBE - ADEM - MORE Bremen


TEMA - TOBE - ADEM Bremen


MORE - TOBE Bremen


MORE - TOBE - ADEM Bremen

Różnorodność, eksperyment, wielobarwność, ale wszystko to w granicach pozwalających na dotarcie nawet do ludzi, którzy nie odróżniają muzyki dobrej od złej czy też rozróżnienie to mają głęboko w poważaniu. To recepta Nelly Furtado na sukces. Raczej zasłużony sukces

tekst Krzysiek Grabowski (Grabiszczy)

Z powyżej wymienionego powodu opisu tej 28-letniej obecnie Kanadyjki (jej rodzicami są Portugalczycy) nie da się zamknąć w kilku słowach. Wokalistka popowa? Za mało. Twórczyni i propagatorka „punk-hopu" (co to jest, dowiecie się czytając dalej)? Zbyt niejasne. Piękna, naturalna, uśmiechnięta dziewczyna? Owszem, ale nie sprowadzajmy jej tylko do takiej roli.

Jej dorobek artystyczny to trzy płyty, w tym ostatnia, „Loose", która właśnie święci triumfy na wielu listach przebojów. Każdy krążek jest jednak odmienny. Debiutancka „Whoa, Nelly!" łączy elementy standardowego popu, tu i ówdzie okraszone rytmami hip-hopowymi, ale cały smaczek stanowią pojawiające się elementy folku i bossa novy. Bardzo popularna w dzisiejszych czasach „multikulturowość" ujawnia się na tym albumie w pełnej krasie. Hity? A jakże – „I'm Like A Bird", „Turn Off The Light" i „...On The Radio" do dziś grają nawet eski i zetki. Śmiało można powiedzieć, że bez nich mało kto słyszałby o Nelly. I tak przecież Questlove śmiał się z sytuacji, kiedy mnóstwo ludzi myślało po wspólnym kawałku z wokalistką na płycie „Phrenology", że The Roots nagrali numer z raperem Nellym...

„Folklore" to inna historia. Niby wciąż mamy tu eklektyzm, nieźle broniące się teksty (ich łagodność i głębia, jak stwierdziła sama wokalistka, wynikła z faktu, że była w czasie nagrywania w ciąży ze swoim pierwszym dzieckiem), ale mimo dobrych ocen krytyków krążek jednak nie odniósł takiego sukcesu komercyjnego jak jego poprzednik. Dlaczego? Cóż, single mniej przebojowe, a duży udział miała w tym także kiepska promocja ze strony upadającego labela DreamWorks Records i gdyby nie to, że „Forca" Nelly była oficjalnym kawałkiem Mistrzostw Europy w piłce nożnej w 2004 roku, ze sprzedażą mogło być jeszcze gorzej.

Pierwsze dwie płyty Furtado powstały pod okiem duetu producenckiego Track & Field (Brian West i Gerald Eaton). Sama artystka też brała czynny udział w popełnianiu podkładów pod swoje teksty. Wspierał ją ówczesny partner (również ojciec wspomnianego dzieciaka) Lil' Jaz, DJ z kanadyjskiego turntablistycznego składu Turnstylez. Mówiło się często, że zróżnicowanie twórczości Nelly Furtado miało duży związek z jej miejscem zamieszkania, czyli Toronto, największym miastem Kanady, które uważane jest za najbardziej kosmopolityczne miejsce świata. Jeśli to miało być prawdą, to najnowszy krążek „Loose" może rzucić nieco inne światło na całą sprawę.

Teraz Nelly powróciła bowiem płytą, do której można mieć bardzo różnoraki stosunek. Jedni stwierdzą, że Furtado poszła na łatwiznę angażując topowego producenta (chodzi rzecz jasna o Timbalanda) czy też wybierając na promujący singiel w Europie cover starego przeboju „Maneater" z repertuaru Daryla Halla i Johna Oatesa. Inni zauważą, że płyta jest inna od dotychczasowych – może nie łatwiejsza w odbiorze, ale mniej pretensjonalna, bardziej rozrywkowa, imprezowa, z dużą dozą dystansu do samej siebie. A czy to dobrze? To już inna kwestia. Choć nie można zarzucić „Nelce" braku popularności, to na dobrą sprawę dopiero „Loose" zdobyła dla niej rynek amerykański (co ciekawe, w USA płytę promował nie „Maneater" a numer „Promiscous" z Timbalandem na mikrofonie), osiągając pierwsze miejsce na liście „Billboardu". Więcej szczegółów na temat „Loose" macie w dziale recenzji.

Na koniec niech sama bohaterka wyjaśni wam, co znaczy tak naprawdę tajemniczy termin „punk-hop" wspomniany na początku tekstu. „Tak nazwaliśmy z Timbalandem brzmienie nowego albumu. Pomyśleliśmy – zróbmy coś w stylu nowoczesnych Eurythmics, ty będziesz Dave'em, a ja Annie (Dave Stewart i Annie Lennox – przyp. red.). Stwórzmy taką nowoczesną, złowieszczą muzykę." Jak zwał, tak zwał. Teraz się to podoba i sprzedaje, ale możemy być prawie pewni, że na następnym krążku zobaczymy kolejne oblicze Nelly Furtado.



India.Arie

Największym plusem (a może smaczkiem?!) naszego „Ślizgowego" deseru jest to, że nie dobieramy prezentowanych tu postaci tylko i wyłącznie pod względem ich fizycznych atrybutów. Poza tym – ponoć – „to ładne, co się komu podoba"

tekst Andrzej Cała / „Machina"

India.Arie urodą zdecydowanie nie może się równać z taką Rihanną czy Nicole z Pussycat Dolls. Nie ma sztucznych piersi i nóg długości tryliona centymetrów. Zdarza się jej śpiewać o tym, że jako wolna i wyzwolona kobieta może czasem nie mieć ochoty ogolić sobie nóg czy innych partii ciała (a feeee!). Pomimo tego kochamy ją i z niecierpliwością oczekujemy kolejnych produkcji. India.Arie ma bowiem to, czego zazdrościć może jej dziewięćdziesiąt procent innych wokalistek: czystej wody talent. Coś, czego nie da ci nawet najlepszy chirurg plastyczny ani Photoshop. Coś, z czym trzeba się urodzić i co należy pielęgnować, a w odpowiednim momencie wykorzystać.

India.Arie przyszła na świat 3 października 1975 r., w metryce wpisano India Arie Simpson. Córka wokalistki gospel i jazzowej oraz ... znanego niegdyś koszykarza ABA i NBA Ralpha Simpsona. Urodziła się w Denver, ale szybko – w związku z rodzinną przeprowadzką – zamieszkała w Atlancie. Bakcyl muzyczny wyssany wraz z matczynym mlekiem zaowocował lekcjami gry na gitarze i ćwiczeniem wokalu, zanim jeszcze India nauczyła się właściwie posługiwać mową i pismem. „Od kiedy tylko pamiętam, muzyka była moim prawdziwym życiem. Jako malutka dziewczynka nie bawiłam się z innymi dziećmi, tylko chodziłam na lekcje gry albo koncerty. Nie musiałam tego robić, nikt mnie do tego nie zmuszał. Gdy już trochę dorosłam i zaczęłam powoli rozumieć, na czym polegają stosunki między ludźmi i to wszystko, co dzieje się naokoło i jest naszym udziałem, zaczęłam pisać teksty. To było dla mnie zupełnie naturalne. Chciałam krok po kroku budować swoją muzykę, układać melodie, komponować nagrania i pisać do nich wiersze". Ot, tak – po prostu. Z naturalną, wrodzoną lekkością. Mogło się nie udać?!

Chwilę po skończeniu Savannah College of Art and Design (Savannah to miasteczko w Georgii znane z najbardziej konserwatywnych, rasistowskich i radykalnych postaw; członkowie grupy Outkast powiedzeli kiedyś o nim: „Najpiękniejsze i najbardziej ucywilizowane piekło na ziemi. Gdzie się nie ruszysz, czekają na ciebie cudownie przystrzyżone trawniki i ogródki z cudownymi kwiatami, które hoduje się po to, by obsypać nimi groby czarnych") rozpoczęła pracę nad taśmą demo, regularnie też grywała w klubach w Atlancie, zdobywając tam dużą popularność. Doszła do tego, że przyuważył ją wysłannik wytwórni Motown. Kedar Massenburg, odkrywca talentu Erykah Badu, bliski współpracownik Motown, wspomina po latach: „Pewnego dnia zadzwonił mój człowiek z Atlanty, informując wprost, że ma nową divę soulu, kogoś o fantastycznym głosie i ogromnym potencjale. Wystarczyło kilka minut w towarzystwie Indii, jeden kawałek, który zaśpiewała i byłem pewien – tak, warto mieć tę dziewczynę". No i tak to poszło. Proste?!

To, że India ma ogromny talent, wspaniały głos i ciekawy sceniczny image, wie każdy, kto miał okazję, pardon – przyjemność, zetknąć się z jej muzyką. Łączy w sobie zmysłowość, delikatność, dziewczęcość połączoną z dojrzałością dorosłej kobiety, która wie, czego chce od życia. Przepiękny wokal stanowi idealne uzupełnienie z muzyką, w której soul, blues, hip-hop i gospel idą równym rzędem, w wysmakowany i idealny sposób łącząc się w mistyczną całość. Debiutanckie dzieło Indii.Arie, wydany w marcu 2001 r. krążek „Acoustic Soul", okrył się podwójną platyną i przyniósł wokalistce aż siedem (sic!) nominacji do Grammy. Rok później, po albumie „Voyage To India" zdobyła dwie nagrody Grammy. Teraz wydała krążek „Testimony: Vol. 1, Life & Relationship". Z miejsca podbiła listę „Billboardu" (400 tysięcy w pierwsze dwa tygodnie), spychając ze szczytów Nelly Furtado i Shakirę. Bez pompy, teledysków z odkrytym dekoltem i komputerowo powiększanym biustem, bez koncertów transmitowanych do wszystkich krajów świata i okładek pism dla nie do końca dojrzałych panów. India ujęła Amerykanów swoją osobowością, naturalnością, ciepłem i dystansem do świata, a – może przede wszystkim – również do siebie. Czasem w tym całym zalewie hedonistyczno-plastikowego gówna potrzebny jest ktoś przypominający ci przyjaciółkę z liceum, dziewczynę z sąsiedztwa, kogoś zupełnie normalnego. Kogoś mogącego być twoim lustrzanym odbiciem, tyle że z wielkim muzycznym talentem. Ona taka właśnie jest. Nie wygląda jak milion dolarów, ale zarabia je. Nie śpiewa o tym, [illegible] ma cudowne ciało, a i tak stanowi dla tysi[illegible] ideał. Szokująco normaln[illegible] dziew[illegible] na[illegible]

tu kupisz Ślizg

Jeśli chcesz zamieścić na tej stronie logo swojego sklepu, skontaktuj się z nami pod numerem 022 635 84 10 wew. 131 lub na mail monika@slizg.com.pl

PRENUMERATA

Prenumeratę „Ślizgu" możecie zamówić na dowolny okres, wpłacając na konto odpowiednią kwotę 6,90 x liczba egzemplarzy. Dane potrzebne do przelewu (adres wydawnictwa i numer konta) znajdziecie w stopce redakcyjnej na stronie 6.

Nie zapomnijcie na przelewie podać swoich danych (jeszcze raz przypominamy o dokładnym adresie!!!) i numeru, od którego chcielibyście rozpocząć prenumeratę.

Prenumeratę zagraniczną można zamówić w Ruchu. Szczegóły znajdziecie pod tym adresem internetowym:

http://www.ruch.noria.pl/s/sklep.swp

W redakcji możecie również zamówić archiwalne numery „Ślizgu", w tym „Ślizg Limited Edition" z płytą DVD „Adio Rock". W tym celu skontaktujcie się z redakcją pod numerem telefonu

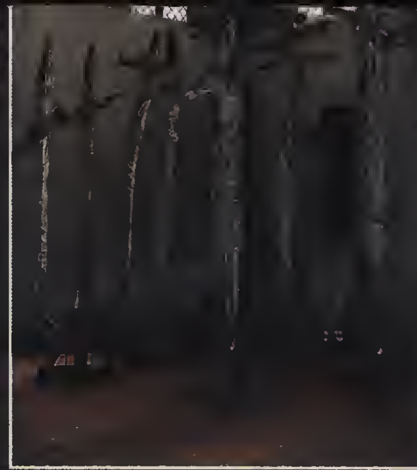
022 635 84 10, wew. 131.



ELDO
KS. MICHAŁ CZAJKOWSKI







Zgodziliśmy się z Eldo, że lustracja księży to temat na dobry kryminał. Sporo lepszy niż ten, jaki wygrzebał Dan Brown. O atmosferze spisku i nagonki w zderzeniu z zasługami ks. Czajkowskiego, wielkiego zwolennika dialogu i tolerancji, który za sprawą wystąpień uniwersyteckich, książek oraz publikacji w „Więzi" i „Tygodniku Powszechnym" mógł odmienić oblicze rodzimego kościoła rozmawiamy przed werdyktem w sprawie jego domniemanej współpracy z SB

tekst Marcin Flint
foto Cess (Eldo)

Postanowiłeś rozmawiać o Michale Czajkowskim. To ciekawy pomysł. Muzułmanin mówi o księdzu katolickim posądzonym o blisko 25-letnią współpracę z SB. I to w dziale mającym za zadanie prezentować autorytety.

Żyjemy w kręgu kultury judeo-chrześcijańskiej, tak zostaliśmy wychowani, tak wychowały nas lektury, które nam podkładano pod nos w szkole i w jakimś tam stopniu rodzice. Zwyczajnie interesuję się krajem, w którym żyję, nie arabizuję życia. Przechodząc zaś do tematu właściwego i przykrego – na koncercie KRS-One'a rozmawiałem o tym z Łoną. Dla Adama postać ks. Czajkowskiego również jest ważna za sprawą postaw, jakie prezentuje on wobec niektórych zjawisk, i poglądów, jakie wygłasza. Nagle wybucha bomba, nad którą trzeba się zastanowić. O ile posądzenia są prawdziwe. Czekam jeszcze na opracowanie redakcji „Więzi" wraz z historykami IPN-u. Jeżeli to wszystko okaże się prawdą i życiorys ks. Czajkowskiego jest tak bardzo pogmatwany, trzeba będzie przewartościować tę postać. Każdy będzie musiał zrobić to osobiście. Ja jestem daleki od osądzania ludzi przez kontekst jednego wydarzenia z ich życia, jednego błędu.

To raczej ćwierćwiecze błędów...

Cały czas mówimy o opracowaniu jednego polonisty nieprzychylnie do osoby księdza nastawionego. To tylko interpretacja materiałów, do których miał dostęp. Ponadto nie możemy za stuprocentową prawdę brać materiałów fabrykowanych przez Służbę Bezpieczeństwa. Ta instytucja z założenia miała krzywdzić ludzi, niszczyć ich życiorysy. „Tygodnik Powszechny" przypomina, iż wielokrotnie dochodziło do sytuacji, w których swoją teczkę z IPN-u otrzymywali ludzie, którzy nie mieli bladego pojęcia odnośnie tego, że gdziekolwiek zostali zarejestrowani, ale ich nazwisko służyło do podpierania się przy okazji różnych raportów. Byłbym ostrożny. Szkoda, że w Polsce nie zrobiono tego na wzór czeski: od razu po zmianie systemu, zdecydowanie, gwałtownie, ale rzetelnie. U nas wiele materiałów mogło zniknąć i zostać sfałszowanych.

Mamy w tej chwili potężny kryzys autorytetów. Otwierając dzisiejszy „Tygodnik Powszechny" widziałem kolejną sprawę księdza oskarżonego o współpracę z reżimem. Polski charakter sprzyja temu, żeby lustrację robić na dziko, siejąc kilkunastomiesięczny zamęt. Czy jako społeczeństwo doświadczane kolejnymi wojnami na górze jesteśmy na to gotowi?

Nie jesteśmy. Dopiero tworzy się społeczeństwo obywatelskie, które ma świadomość, w jakiej sytuacji żyje i umie krytycznie na siebie spojrzeć. Póki co, dominują skrajne stanowiska – albo ktoś jest zdrajcą, albo jest czysty. Ciekawe, że nikt z takim pietyzmem nie atakuje urzędników Służby Bezpieczeństwa, których nazwiska widnieją na dokumentach. Wielu z nich żyje spokojnie z dostatnimi emeryturami. Nikt nie wywleka ich na pierwsze strony gazet z podpisem „oprawca". Wyciąga się takich, którymi historia się posłużyła, którzy byli wykorzystani. Większość to nie historia dobrowolnych współpracy. Takie też się zdarzają, takich ludzi należy piętnować, ale też w jakiś sposób im wybaczyć, zrozumieć ich motywy. Łatwo wydaje się wyroki, nie dając wytłumaczyć się osobie posądzonej.

Uwaga, proponuję spiskową teorię. Ks. Czajkowski to orędownik pojednania chrześcijańsko-żydowskiego, często piętnujący antysemityzm w polskim kościele, czego nie mógł wybaczyć mu choćby abp. Glemp...

I przyczynił się usunięcia go z katedry Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego...

Nie ma się co dziwić. Czajkowskiego słuchano – to nie tylko nauczyciel uniwersytecki, ale współpracownik cenionych tytułów prasowych, pisarz, specjalista od Nowego Testamentu. Radio Maryja z przyjemnością zdyskredytowałoby kogoś takiego. A ma władzę...

Dyskredytowanie go jest bardzo wygodne dla kościoła katolickiego w Polsce. Był niepopularny również przez duszpasterstwo wśród środowisk homoseksualnych. Chociaż zdawał sobie sprawę, że programowo jest to grzech, to nie odmawiał ewangelii nawet tym ludziom. Możesz mieć trochę racji. U nas osoby otwarcie sprzeciwiające się antysemityzmowi nie są wcale odbierane jako humaniści, ludzie, dla których najważniejszy jest człowiek, a nie jakaś forma wyznawanej religijności. Traktuje się ich jako „miłośników Żydów", filosemitów. To obrzydliwe. Ja, jako warszawiak, wyrosłem na historiach polsko-żydowskich, w których Żydzi nie chcieli zawładnąć światem albo porywać chrześcijańskie dzieci na macę, tylko byli normalnymi obywatelami miasta: lekarzami, sklepikarzami, ale i biedakami, żebrakami, miejskim proletariatem. Jestem bardzo zdziwiony, że w roku 2006 w Polsce ktoś ma odwagę podsycać nienawiść, jak Stanisław Michalkiewicz. Ma prawo mówić, co chce, tylko że język, którego używa, sformułowania pokroju „pejsata piąta kolumna" są obrzydliwe, wskazują na kompleksy.

Smutne jest to, że język ataków jest bardzo mocny, zapada w pamięć, a posądzeni bronią się tak jak ks. Czajkowski, na zasadzie „Nie, nie współpracowałem, to mogła być moja naiwność i nieroztropność". Nie ubiegał się nawet o status pokrzywdzonego, może teraz to dopiero zrobi.

Zgoda. Rada Naczelna Episkopatu Polski niczego nie ułatwia. Mieliśmy słynne wystąpienie kardynała Dziwisza, który zamknął usta księdza Zalewskiego i dopiero po spotkaniu z nim i prezydentem okazał się na tyle wstrząśnięty, żeby zacząć działać. Polski kościół ma wspaniałe karty w swojej historii, nie należy się wstydzić błędów. Przyznajmy się do nich, zamiast wypierać się własnej tożsamości. Kościół powinien być dużo odważniejszy. 


CERVEZA